

NORA ROBERTS

ZAGINIONA GWIAZDA

ROZDZIAŁ 1

Dzień, w którym do biura Cade'a Parrisa wkroczyła kobieta z jego snów, zdecydowanie nie należał do udanych. Poprzedniego dnia odeszła jego sekretarka i choć pożytek był z niej niewielki, bo bardziej dbała o swój manicure niż o cokolwiek innego, Cade przecież potrzebował kogoś, kto trzymałby rękę na pulsie i wrzucał papiery do właściwych szuflad. Nawet podwyżka, którą zaproponował z czystej rozpaczy, nie odwiódła jej od nagłej i kategorycznej decyzji, żeby rzucić wszystko w diabły i zostać sensacyjnym odkryciem piosenkarskim.

Tak więc, przyszła gwiazda country zmierzała właśnie rozklekotaną furgonetką w stronę Nashville, a biuro Cade'a wyglądało jak kilometry koszarnej drogi, która, (taką miał przynajmniej nadzieję) będzie musiała pokonać jego zdradliwa sekretarka.

Już przez ostatnie dwa miesiące myśli jej zdawały się krążyć wokół wszystkiego, tylko nie pracy. Cade utwierdził się jeszcze w podejrzeniach, kiedy w jednej z szuflad na dokumenty znalazł kanapkę z wędzoną kiełbasą (takie odniósł wrażenie, kiedy zobaczył plastikową torebkę, zawierającą jakąś rozmiękłą papkę). A wszystko to pod literą L - chyba jak lunch?

Nawet nie chciało mu się kłąć. Nie ruszył się też z miejsca, żeby odebrać telefon, którego uporczywie powtarzający się dzwonek dochodził z biurka w recepcji. Zaczął właśnie przepisywać raporty, a ponieważ, niestety, nie był w tym zbyt biegły, nie chciał sobie przerywać.

Agencja Detektywistyczna Parrisa to nie było jakieś szczególnie imponujące przedsiębiorstwo. Jemu jednak w zupełności wystarczało, podobnie jak zaniedbane, dwupokojowe biuro na ostatnim piętrze wąskiego budynku z cegły w północno - zachód niej dzielnicy Waszyngtonu, o wyjątkowo źle funkcjonującej kanalizacji.

Nie łaknął puszystych dywanów i wypolerowanych parkietów. Dorastał w takich luksusach, wśród wielkiej pompy i parady, i kiedy skończył dwadzieścia lat, miał już tego wszystkiego po dziurki w nosie. Teraz, w wieku lat trzydziestu, mając za sobą jedno nieudane małżeństwo oraz rodzinę, której nadzieje srodze zawiódł, wybierając sobie takie a nie inne zajęcie, uważał się, ogólnie rzecz biorąc, za człowieka sukcesu.

Zdobył licencję, cieszył się reputacją detektywa. Mury dobrze wykonuje swoją robotę, oraz miał całkiem przyzwoite dochody, które pozwalały jego agencji utrzymać się na powierzchni.

Choć, prawdę mówiąc, z tym akurat było w tej chwili dość krucho. Cade lubił to określać jako chwilowy zastój.

Większość spraw, jakimi się zajmował, wiązała się z ubezpieczeniami albo z konfliktami rodzinnymi - trochę poniżej tych frapujących atrakcji, jakie sobie wyobrażał, kiedy postanowił zostać detektywem. Właśnie zakończył dwie sprawy, w których chodziło o drobne szwindle ubezpieczeniowe i których rozwikłanie nie wymagało ani specjalnego wysiłku, ani inteligencji.

Nic nowego na razie się nie kroilo, a tymczasem ten chciwy krwio pijca, jego gospodarz, po raz kolejny podniósł mu czynsz, silnik w samochodzie zaczął ostatnio wydawać jakieś wysoce niepokojące odgłosy, a klimatyzacja szwankowała. Nie mówiąc już o tym, że dach znowu przeciekał. Chwycił donicą z żółknącym filodendronem, który zostawiła mu jego zdradliwa sekretarka, i postawił ją na podłodze, pod miejscem, z którego lała się ciurkiem woda. Może do reszty zatopi tę paskudną roślinę.

Jakiś głos zaczął się nagrywać na automatyczną sekretarkę. To był głos jego matki. Mój Boże, pomyślał, czy jest na tym świecie ktoś, komu udało się kiedykolwiek uciec przed matką?

„Cade, kochanie, mam nadzieję, że nie zapomniałeś o balu w ambasadzie. Chyba pamiętasz, że masz towarzyszyć Pameli Lovett. Jadłam dziś lunch z jej ciotką. Powiedziała mi, że po krótkim wypadzie do Monaco Pamela wygląda wręcz cudownie”.

- Taak, taak, taak - mruknął i mrużąc oczy, zapatrzył się w ekran komputera. Nie lubił żadnych mechanicznych urządzeń i raczej im nie ufał.

Usiadł, nie przestając patrzeć w ekran, a tymczasem jego matka trajkotała jak najęta: „Czy oddałeś smoking do czyszczenia? Znajdź czas, żeby się ostrzyć, ostatnim razem, kiedy cię widziałam, byłeś straszliwie zarośnięty”.

I nie zapomnij umyć się za uszami, pomyślał z goryczą, po czym wyłączył sekretarkę. Wiedział doskonale, że matka za nic na świecie nie pogodzi się z faktem, iż styl życia rodziny Parrisów nigdy nie był i nie będzie jego stylem. Nie miał ochoty ani na obiady w klubie, ani na pokazywanie znudzonym paniąkom z dobrego domu uroków jego miasta. I nie miał też zamiaru zmienić zdania pod wpływem jej perswazji.

Pragnął ekscytujących przygód i choć przepisywanie raportu o rzekomo nadwreżonym karku jakiegoś biednego niedołągi raczej nie było domeną Sama Spade'a, wykonywał bez szemrania swoją robotę. Na ogół jednak nie czuł się ani bezużyteczny, ani znudzony czy nie na miejscu. Lubiał uliczny gwar za oknami, chociaż okno otwarte było tylko z powodu skąpstwa gospodarza: budynek nie miał centralnego systemu chłodzenia, a klima-

tyzator na jego piętrze był akurat zepsuty. Upał panował niehumanitarny i deszcz padał do pokoju, ale gdyby zamknął okno, w biurze natychmiast zrobiłoby się niewiarygodnie duszno.

Pot spływał mu po plecach. Z narastającą irytacją stwierdził, że wszystko zaczyna go swędzieć. Zdjął marynarkę i koszulę i został tylko w podkoszulku. Jego smukłe palce błądziły niepewnie po klawiszach klawiatury komputera. Co jakiś czas musiał odgarniać włosy, które łaskocząc, opadały mu na czoło. Matka miała jednak rację. Powinien się ostrzyć.

Kiedy po raz kolejny wilgotny kosmyk opadł mu na oczy. Cade postanowił nie zwracać na niego uwagi, tak jak przestał zwracać uwagę na upał, szum ulicy i uporczywe kapanie z sufitu. Tkwił przy komputerze, metodycznie wciskając klawisze - uderzająco przystojny mężczyzna z grymasem niechęci na twarzy.

Urodę odziedziczył po Parrisach. Miał bystre, zielone oczy. których spojrzenie, w zależności od nastroju, potrafiło być ostre jak sztylet albo miękkie jak nadmorska mgła. Włosy, które prosiły się o fryzjera, były ciemnobrązowe i miały skłonność do układania się w fale. Teraz na przykład zwijały się w loczki na karku i nad uszami, co zaczynało być dość irytujące. Nos miał Cade prosty, arystokratyczny, a usta pełne i skore do uśmiechu, kiedy był rozbawiony. A także do grymasów, kiedy był w złym nastroju.

Mimo że od wstydliwego okresu wczesnej młodości, w którym przypominał cherubinka, rysy mu się wyostrzyły, to jednak na jego twarzy pozostały ślady uroczych dołeczków. Cade nie mógł się już doczekać, kiedy wejdzie w średni wiek i wtedy, jeśli będzie miał szczęście, dołeczki zmienią się w poważne bruzdy.

Chciał mieć męską, surową urodę, a tymczasem wciąż wyglądał jak model z okładki luksusowego magazynu, dla którego pozował, mając dwadzieścia kilka lat, mimo wielkich protestów rodziny.

Znowu zadzwonił telefon. Tym razem usłyszał głos siostry. Beształa go z furią za to, że nie przyszedł na jakiś beznadziejny koktajl na cześć jakiegoś popieranego przez nią senatora o spasionym brzuchu.

Pomyślał, że najchętniej wyrwałby sznur z gniazdka i wyrzucił tę przeklętą, automatyczną sekretarkę, wraz z natarczywym głosem jego siostry, przez okno, na ruchliwą Wisconsin Avenue.

A potem deszcz, który wzmagął tylko morderczą duchotę, zaczął mu kapać na głowę. Komputer zamigotał i zgasł bez żadnej wyraźnej przyczyny poza czystą złośliwością. W tej samej chwili kawa, którą dawno nastawił i o której zupełnie zapomniał, zaczęła kipieć z nienawistnym sykiem.

Zerwał się i chwytając ekspres, oparzył sobie rękę. Zaklął wściekle i upuścił szklany dzbanek, który roztrzaskał się na podłodze, opryskując wszystko wrzącą kawą. Jednym szarpnięciem otworzył szufladę i chwycił pęk ligninowych chusteczek, rozcinając sobie przy okazji kciuk o śmiertcionośne ostrze pilnika do paznokci jego dawnej - a teraz bez wątpienia skazanej na wieczne potępienie - sekretarki.

Kiedy kobieta jego snów wkroczyła do biura, wciąż przeklinał i krwawił, a do tego właśnie przewrócił filodendron na środku pokoju, więc nawet nie podniósł na nią wzroku.

Nic więc dziwnego, że stała po prostu w progu, ociekając deszczem, z twarzą bladą jak śmierć i oczyma szeroko otwarte mi z przerażenia.

- Przepraszam pana. - Głos miała zachrypnięty, jakby go od dłuższego czasu nie używała. - To chyba jednak nie to biuro.

- Cofnęła się lekko i wielkimi, ciemnymi oczyma, spojrzała na wizytówkę na drzwiach. Zawahała się, a potem znowu zwróciła się do Cade'a: - Czy to pan Parris?

Przez jeden oślepiający moment nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Czuł, że gapi się na nią bezwstydnie, ale nie mógł nic na to poradzić. Serce po prostu zamarło mu w piersi i ugięły się pod nim kolana. A jedyne, co przyszło mu do głowy, to: „Więc jesteś nareszcie. Czemu cię tak długo nie było, u licha?”

Żeby się nie ośmieszyć, z najwyższym trudem przybrał obojętną, a nawet cyniczną minę detektywa.

- Tak? - mruknął i przypomniał sobie, że ma w kieszeni chustkę do nosa, więc owinął nią obficie krwawiący kciuk.

- Miałem tu mały wypadek.

- Widzę. - Wciąż wpatrywała się w jego twarz. - Chyba przyszedłam nie w porę. Nie byłam umówiona, ale pomyślałam sobie, że może...

- Mój kalendarz i tak jest pusty...

Chciał, żeby weszła do środka. Bez względu na jego odruchową, absurdalną reakcję, wciąż była potencjalną klientką. A poza tym jednego był absolutnie pewny; żadna z dam, które kiedykolwiek przekroczyły próg biura Sama Spadea, nie była bardziej doskonała.

Nieznajoma była piękną blondynką i była przerażona. Mokre włosy opadały jej na ramiona, i były proste jak strugi deszczu. Oczy miała czekoladowe, a jej twarz w kształcie serca, której przydałoby się trochę więcej koloru, była delikatna jak u wróżki. Miała wdzięcznie zarysowane policzki i pełne usta, poważne i nie umalowane.

Deszcz zmoczył jej kostium i buty - wszystko w najlepszym gatunku, odznaczające się tą spokojną elegancją, właściwą tylko najlepszym, markowym salonom mody. Płócienna

torba, którą obiema rękami tuliła kurczowo do piersi, była na tle niebieskiego jedwabiu bluzki kompletnie nie na miejscu, a zarazem wyglądała bardzo intrygująco.

Dama w tarapatkach, pomyślał rozbawiony, a usta lekko mu drgnęły. Czy nie taką właśnie kurację przepisał mu lekarz?

- Czemu pani nie wejdzie i nie zamknie drzwi, panno...? Serce dwukrotnie szybciej załomotało jej w piersi. Mocniej ścisnęła w rękach torbę.

- Czy pan jest prywatnym detektywem?

- Tak przynajmniej jest napisane na drzwiach. - Cade znowu się uśmiechnął, bezczelnie używając swoich dołeczków, i patrzył, jak dziewczyna przygryza prześliczną, dolną wargę. Niech go diabli, sam miał ochotę wgryźć się w nią zębami.

Taka reakcja, pomyślał z pewną ulgą była całkiem naturalna. Żądza to uczucie, które zawsze jest w stanie zrozumieć.

- Wejźmy do biura. - Jednym spojrzeniem ogarnął najświeższe zniszczenia: stłuczone szkło, rozsypaną ziemię z doniczki, kałużę kawy. - Zaraz to wszystko sprzątnę.

- W porządku. - Zaczerpnęła tchu, przekroczyła próg i zamknęła za sobą drzwi. Pomyślała, że i tak gdzieś trzeba zacząć.

Stąpając ostrożnie nad całym tym gruzowiskiem, przeszła do sąsiedniego pokoju. Stało w nim tylko biurko i kilka foteli, pochodzących najpewniej z garażowej wyprzedaży. Pomyślała, że raczej nie powinna zwracać uwagi na wystrój. Poczekała, aż mężczyzna usiądzie za biurkiem, odchylił się w krzesło i znowu uśmiechnie się do niej szybkim, pokrzepiającym uśmiechem.

- Czy pan... Czy mogłabym... - Zacisnęła mocno powieki, próbując się skoncentrować.
- Czy mogłabym zobaczyć pańskie referencje?

Bardziej jeszcze zaintrygowany, wyjął licencję i podał ją nieznajomej. Zauważył przy tym, że ma dwa piękne pierścionki, po jednym na każdej ręce - cytryn o kwadratowym szlifie w antycznej oprawie i drugi, z trzech barwnych, szlachetnych kamieni. Miała też kolczyki, stanowiące komplet z drugim pierścionkiem. Zauważył to, kiedy założyła włosy za ucho i zaczęła starannie studiować jego licencję, jakby ważyła każde słowo.

- Czy zechciałaby mi pani powiedzieć, jakie ma pani problemy, panno...?

- Myślę... - Oddała mu licencję, a potem znowu obiema rękami chwyciła torbę. - Myślę, że chciałabym pana wynająć. - Czekoladowe oczy znowu spoczęły na jego twarzy i zaczęły ją studiować równie uważnie jak przed chwilą licencję. - Czy zajmuje się pan też osobami zaginionymi?

Kto ci zginął, kochanie? - pomyślał. Ze względu na nią oraz na ten mały plan, który rodził się w jego głowie, miał nadzieję, że nie chodzi tu o męża.

- Owszem, zajmuję się takimi przypadkami.

- A jakie jest pańskie... honorarium?

- Dwieście pięćdziesiąt za dzień, plus wydatki. - Kiedy skinęła głową, sięgnął po formularz i wziął pióro. - Kogo mam dla pani odnaleźć?

Nieznajoma westchnęła urywanie.

- Mnie. Chcę, żeby pan odnalazł mnie.

Patrząc na nią, zastukał ołówkiem w tekturową podkładkę.

- Chyba już to właśnie zrobiłem. Mam pani wystawić rachunek czy chce pani teraz zapłacić ?

- Nie. - Jakoś' udało jej się dotąd utrzymać na powierzchni, ale teraz czuła, że wątła gałąź, której się uchwyciła, kiedy świat usunął jej się spod nóg, zaczyna niepokojąco trzeszczeć;. - Ja nic nie pamiętam. Nic... Ja... - Głos zaczął jej się załamywać. Puściła torbę i ukryła twarz w dłoniach. - Nie wiem, kim jestem. Naprawdę nie wiem, kim jestem. - A potem rozplakała się. - Nie wiem, kim jestem - zaczęła powtarzać przez łzy.

Cade wiedział, jak postępować z rozhisteryzowanymi kobietami. Dorastał wśród pań, które reagowały potokami łez i rozpaczliwym szlochem na wszystko, od złamanego paznokcia po rozbite małżeństwo. Wstał wobec tego zza biurka i uzbrojony w pudełko chusteczek do nosa przykucnął przed nieznajomą.

- Uspokój się, kochanie. Nie martw się, wszystko będzie dobrze. - Mówiąc to, z dużą wprawą ocierał jej moką twarz. Potem poklepał ją po ręce, pogłaskał po głowie i spojrzał w zapłakane oczy.

- Przepraszam, ale nie mogę...

- Niech się pani wypłacze - powiedział. - Zaraz się pani lepiej poczuje. - Podniósł się i poszedł do łazienki wielkości szafy, żeby nalać wody do papierowego kubka.

Kiedy na kolanach nieznajomej leżały już trzy pogniecione kubki i cały stos mokrych chusteczek, z jej piersi wyrwało się ciche westchnienie.

- Przepraszam. Dziękuję. Już mi lepiej. - Z zaróżowionymi ze wstydu policzkami zgarniała mokre chusteczki i kubki. Cade wziął od niej śmieci i wrzucił do kosza, a potem oparł się o biurko.

- Może teraz zechce mi pani o wszystkim opowiedzieć ?

Skinęła głową, a potem splotła palce i zaczęła je z trzaskiem wyłamywać.

- Ja... Nie mam dużo do powiedzenia. Po prostu nic nie pamiętam. Ani kim jestem, ani co robią, ani skąd pochodzę. Żadnych przyjaciół, znajomych, rodziny. Nic. - Znowu zaczerpnęła tchu, a potem powoli odetchnęła. - Kompletnie nic - powtórzyła.

To jak sen, który miał się wreszcie ziścić, pomyślał Cade. Piękna kobieta bez przeszłości przychodzi z deszczu prosto do jego biura. Spojrzał na torbę, którą wciąż trzymała na kolanach. Zaraz dojdą i do tego.

- A może mi pani powie, co pani w ogóle pamięta?

- Obudziłam się w pokoju - w małym hoteliku na Szesnastej Ulicy. - Odchyliła głowę na oparcie fotela, zamknęła oczy i spróbowała się skoncentrować. - Choć nawet to nie jest całkiem jasne. Leżałam skulona na łóżku, a klamka była zablokowana krzesłem. Padał deszcz. Słyszałam to wyraźnie. Byłam dziwnie zamroczona i zdezorientowana, ale serce biło mi tak mocno jakbym się obudziła z jakiegoś koszmaru. Na nogach wciąż miałam buty. Pamiętam moje zdumienie, że położyłam się do łóżka w butach. Pokój był mroczny i duszny. Wszystkie okna były zamknięte. Czułam się taka zmęczona i ociężała, że poszłam do łazienki, żeby sobie obmyć twarz.

Otworzyła oczy i podniosła na niego wzrok.

- Zobaczyłam moją twarz w lustrze - małym, odrapanym, z ciemnymi plamami w miejscach, gdzie powinno być na nowo posrebrzone. I ona nic mi nie mówiła. Moja twarz. - Podniosła rękę i przesunęła nią po policzku i po podbródku. - Moja twarz nic mi nie mówiła. Nie mogłam sobie przypomnieć żadnego imienia, które by się z nią wiązało, żadnych planów, myśli czy przeszłości. Nie mogłam sobie przypomnieć, w jaki sposób znalazłam się w tym okropnym pokoju. Przejrzałam szuflady i zajrzałam do szafy, ale nic w nich nie było. Żadnych ubrań. Bałam się tam zostać, ale nie wiedziałam, dokąd mogłabym pójść.

- A ta torba? Czy to wszystko, co pani miała ze sobą?

- Tak. - Jej dłonie znowu zacisnęły się na płóciennych rączkach. - Nie miałam przy sobie żadnej torebki, portfela czy kluczy. W kieszeni znalazłam tylko to. - Sięgnęła do kieszeni żakietu po mały strzępek papieru.

Cade wziął od niej karteczkę i zerknął na pospiesznie nagryzmołoną notatkę:

Bailey, sobota o 7, dobrze?

MJ

- Nie mam pojęcia, co to znaczy. Widziałam gazetę. Dziś mamy piątek.

- Aha. Proszę to napisać - powiedział Cade, wręczając jej podkładkę i pióro.

- Co?

- Proszę jeszcze raz napisać to, co jest na karteczce.

- Och. - Przygryzając wargę, spełniła polecenie. Chociaż wcale nie musiał tego robić, żeby dojść do jedyne go możliwego wniosku, wziął od niej podkładkę i porównał obie karteczki.

- Skoro nie jest pani MJ, to pewnie jest pani tą Bailey.

- Co takiego?

- Sądząc po piśmie MJ, on - albo ona - to mańkut. A pani jest praworęczna. Pani pismo jest staranne i proste, a MJ pospieszne i zamaszyste. Wszystko przemawia za tym, że pani to Bailey.

- Bailey. - Spróbowała zaakceptować to imię oraz wiążące się z nim nadzieje i smak na nowo odzyskanej tożsamości. Ale brzmiało tak sucho i obco. - Ono nic dla mnie nie znaczy - westchnęła.

- Ale znamy imię i możemy się do pani zwracać po imieniu. I mamy też jakiś punkt zaczepienia. Powiedz mi, Bailey, co zrobiłaś potem?

Rozkojarzona, zamruwała nerwowo.

- Ach, ja... W sąsiednim pokoju była książka telefoniczna. Znalazłam w niej adresy agencji detektywistycznych.

- A dlaczego wybrałaś akurat mnie?

- Ze względu na nazwisko. Brzmiało tak twardo i zdecydowanie. - Po raz pierwszy na jej twarzy ukazał się uśmiech. Błady, ale zawsze uśmiech. - Zaczęłam telefonować, ale potem pomyślałam sobie, że pewnie będą mnie chcieli spławić. Więc będzie rozsądniej, jeżeli po prostu przyjdę... Poczekalam w hotelu aż do otwarcia biur, a potem przeszłam się trochę, i na koniec wzięłam taksówkę. No i jestem.

- Czemu nie pojechałaś do szpitala? Albo nie wezwałaś lekarza?

- Myślałam o tym. - Spuściła wzrok i popatrzyła na swoje dłonie. - Ale tego nie zrobiłam.

Pomyślał, że w jej opowieści brakowało wielu rzeczy. Obszedł biurko, otworzył szufladę i wyjął z niej batonik.

- Nie wspomniałaś ani słowem o tym, że wstąpiłaś gdzieś na śniadanie. - Patrzył, jak ze zdumieniem i rozbawieniem ogląda czekoladkę. - To cię trochę pokrzepi, zanim będziemy mogli sobie pozwolić na coś większego.

- Dziękuję. - Szybkimi, zręcznymi ruchami rozwinęła folię i wyjęła batonik. Może ten dziwny skurcz w żołądku to był głód.

- Panie Parris, może jest ktoś, kto się o mnie martwi. Moja rodzina, przyjaciele. Może mam dziecko. Nie wiem. - Wbiła wzrok w jakiś punkt nad jego ramieniem. - Chociaż, chyba

nie. Nie wierzę, żeby można było zapomnieć o swoim dziecku. Niemniej jednak ktoś może się denerwować i dziwić, dlaczego nie wróciłam na noc do domu.

- Mogłaś pójść na policję.

- Nie chciałam iść na policję. - Tym razem jej głos brzmiał twardo i zdecydowanie. - Nie, dopóki... Nie, nie chce w to mieszać policji. - Otarła palce czystą chusteczką, a potem zaczęła ją drzeć w wąskie paski. - Może szuka mnie ktoś, kto wcale nie jest moim przyjacielem czy rodziną. Ktoś, komu wcale nie chodzi o moje dobro. Nie wiem, dlaczego mam takie uczucie, ale jedno wiem na pewno: boję się. A to znacznie gorsze niż zanik pamięci. I nie będę w stanie niczego zrozumieć, póki się nie dowiem, kim jestem.

Może sprawiły to wpatrzone w niego łagodne, zamglone oczy, a może zdenerwowanie damy w tarapatach i jej nerwowe ruchy rąk. Cokolwiek to było, Cade nie mógł się powstrzymać, żeby się przed nią troszeczkę nie popisać.

- Już teraz mogę powiedzieć kilka rzeczy. Jesteś kobietą inteligentną, trochę po dwudziestce. Masz wycucie koloru i stylu i wystarczające konto, żeby sobie pozwolić na włoskie buty i jedwabne kostiumy. Jesteś schludna i dobrze zorganizowana. Wolisz niedopowiedzenia od nagiej prawdy. A ponieważ nie jesteś zbyt dobra w robieniu uników, podejrzewam, że marny z ciebie kłamca. Masz głowę nie od parady i potrafisz wszystko przemyśleć. Niełatwo wpadasz w panikę. No i lubisz czekoladę.

Machinalnie zrolowała w palcach papierek po batoniku.

- Skąd pan to wie?

- Wyrażasz się poprawnie, nawet kiedy jesteś przerażona. Logicznie, krok po kroku, przemyślałaś sobie wszystko, co należy zrobić w sytuacji, w jakiej się znalazłaś. Ubierasz się dobrze, masz znakomity gust. Masz staranny manicure, ale nie przesadnie krzykliwy. Twoja biżuteria jest unikatowa, ale nie nazbyt ozdobna. A poza tym, nie chciałaś mi udzielić żadnej informacji, póki nie weszłaś do biura i nie zadecydowałaś, czy i na ile możesz mi zaufać.

- A na ile mogę panu zaufać?

- Przecież do mnie przyszłaś.

Przemyślała to, a potem wstała i podeszła do okna. Deszcz bębnił o parapet, potęgując jeszcze ćmiący ból, który gromadził się pod jej powiekami.

- Nie poznaję tego miasta - mruknęła - choć czuję, że powinnam. Wiem, gdzie się znajduję, bo w kiosku widziałam „Washington Post”. Wiem, jak wyglądają Biały Dom i Kapitol. Znam wszystkie pomniki, ale przecież mogłam je widzieć w telewizji albo w książce.

Mimo że parapet był mokry od deszczu, oparła na nim dłonie, napawając się jego chłodem.

- Mam uczucie, jakbym spadła znikąd wprost do tego paskudnego hotelowego pokoju. A jednak umiem czytać i pisać, umiem chodzić i mówić. Taksówkarz miał włączone radio, a ja rozpoznałam muzykę. Rozpoznałam drzewa. Nie dziwiło mnie to, że deszcz jest mokry. Wchodząc do pańskiego biura, poczułam aromat palonej kawy - i nie był mi obcy. Wiem, że ma pan zielone oczy. I wiem też, że kiedy przestanie padać, niebo znowu będzie niebieskie. - Przygryzła wargi, a potem cicho westchnęła. - Tak więc sam pan widzi, że nie mogłam spaść znikąd. Są rzeczy, które wiem na pewno. Ale moja własna twarz nic mi nie mówi, a to, co się poza nią kryje, to tylko pustka. Mogłam wyrządzić komuś krzywdę albo zrobić coś złego. Może jestem samolubna i wyrachowana, a nawet okrutna. Może mam męża, którego oszukuję, albo sąsiadów, od których chciałam się uwolnić.

Odwróciła się, a jej ściągnięte, zdecydowane rysy dziwnie kontrastowały z delikatną firanką rzęs, mokrych od łez.

- Nie wiem, czy spodoba mi się ta osoba, którą pan dla mnie odnajdzie, panie Parris, ale muszę wiedzieć, kim jestem. - Postawiła torbę na biurku, zawahała się, a potem szybko ją otworzyła.

- Chyba jest w niej dość pieniędzy na pańskie honorarium.

Cade pochodził z rodziny, która zawsze, miała pieniądze i z pokolenia na pokolenie skutecznie je pomnażała. Jednak nawet on nigdy nie widział naraz takiej sumy. Płócienna torba pełna była plików studolarówek - a wszystkie były nowiutkie i szeleszczące. Zafascynowany, wyjął jeden i szybko go przejrzał. Na każdym z banknotów widniała znajoma, pełna godności twarz Benjamina Franklina.

- Będzie tego z milion - mruknął.

- Milion dwieście tysięcy. - Bailey zajrzała do torby i zadrżała. - Policzyłam pliki. Nie mam pojęcia, skąd wzięłam tyle pieniędzy i czemu mam je przy sobie. A może je ukradłam?

- Kiedy uniosła głowę, z oczu popłynęły jej łzy. - Może to pieniądze na okup. Może jestem zamieszana w kidnaping. Może gdzieś przetrzymują jakieś dziecko, a ja mam te pieniądze. Ja tylko...

- Do tych wszystkich zalet, które przed chwilą, wymieniałem, dodajmy jeszcze żywą wyobraźnię - przerwał jej Cade.

Chłód tej uwagi sprawił, że się odwróciła.

- Przecież w tej torbie jest cała fortuna.

- Milion czy dwa to nie taka znów fortuna w dzisiejszych czasach. - Cade wrzucił banknoty do torby. - Poza tym przykro mi, Bailey, ale nie jesteś typem zimnej, wyrachowanej porywaczki.

- Ale pan może to sprawdzić. Dowiedzieć się, byle dyskretnie, czy nie było jakiegoś porwania.

- Jeżeli policja jest w to zaangażowana, na pewno się czegoś dowiem.

- A jeżeli dokonano morderstwa? - Starając się zachować spokój, znowu sięgnęła do torby. Tym razem wyjęła z niej pistolet, trzydziestkę ósemkę.

Jako człowiek przezorny Cade błyskawicznie odsunął na bok lufę, a potem wziął broń z rąk Bailey. Była, jak się okazało, naładowana.

- Jak ci leży w ręku? - zapytał.

- Nie rozumiem.

- Jakie miałaś wrażenie, kiedy go wzięłaś do ręki? Chodzi mi o wagę, o kształt?

Mimo że pytanie wydało jej się zaskakujące, postarała się udzielić możliwie wyczerpującej odpowiedzi.

- Nie był taki ciężki, jak myślałam. Zdawało mi się, że coś o tej mocy powinno być cięższe, bardziej masywne. Trzymając go w ręku, miałam takie dziwnie nienaturalne uczucie.

- Ale kiedy trzymałaś pióro, niczego takiego nie czułaś. Tym razem Bailey przeciągnęła ręką po włosach.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi. Przed chwila, pokazałam panu ponad milion dolarów i pistolet, a pan mi tu mówi o jakichś piórach.

- Kiedy dałam ci pióro, żebyś napisała parę słów, nie miałaś tego dziwnego uczucia. Nie zastanawiałaś się nad tym. Po prostu wzięłaś je i zaczęłaś pisać. - Uśmiechnął się i zamiast do torby, wsunął pistolet do kieszeni. - Moim zdaniem, jesteś przyzwyczajona do posługiwania się piórem, a nie trzydziestką ósemką. W tym prostym, logicznym wywodzie było coś kojącego, mimo to Cade'owi nie udało się rozpedzić wszystkich chmur.

- Może i ma pan rację. Ale to nie znaczy, że nie użyłam tej broni.

- Nie, nie znaczy. A ponieważ trzymałaś ją w ręku, nie mogę dowieść, że jej nie użyłaś. Mogę za to sprawdzić, czy jest zarejestrowana i na kogo.

W jej oczach błysnęła nadzieja.

- Może to moja broń. - Machinalnym gestem chwyciła go za rękę. - Mielibyśmy wtedy nazwisko. Wiedziałabym, jak się nazywam. Nie zdawałam sobie sprawy, że to jest takie proste.

- To może być proste.

- Ma pan rację. - Puściła jego dłoń i zaczęła krążyć po pokoju. Ruchy miała zwinne, opanowane. - Może trochę się zagalopowałam. Ale to mi tak pomaga, kiedy mogą z kimś porozmawiać. Więcej nawet, niż jest pan w stanie pojąć. Kiedy mogę opowiedzieć o tym

komuś, kto wie, jak rozwikłać różne sprawy. Boja nawet nie wiem, czy jestem dobra w rozwiązywaniu zagadek, panie Parris...

- Cade - powiedział, zastanawiając się, dlaczego jej oszczędne ruchy wydawały mu się takie pociągające. - Uprośćmy te formalności.

- Cade. - Zaczerpnęła tchu, a potem odetchnęła. - Miło jest móc nazwać kogoś po imieniu. Jesteś jedyną osobą, jaką znam, jedynym człowiekiem, z jakim rozmawiałam, bo innych nie pamiętam. To bardzo dziwne, a zarazem bardzo pokrzepiające uczucie.

- Więc może zjadłaby' lunch z pierwszą osobą, jaką pamiętasz? Jeden batonik to kiepskie śniadanie. Wyglądasz mi na bardzo zmęczoną, Bailey.

Dziwnie było słuchać, jak wymawia to imię. A ponieważ było ono wszystkim, co miała, zmusiła się, by na nie zareagować.

- Owszem, jestem zmęczona - przyznała. - Mam wrażenie, że się nie wyspałam. Nie wiem też, kiedy ostatnio coś jadłam.

- Lubisz jajecznicę?

Na jej ustach znowu ukazał się blady uśmiech.

- Nie mam zielonego pojęcia.

- No to zaraz sprawdzimy. - Sięgnął po torbę, ale ona położyła rękę na jego dłoni, która już trzymała uchwyt.

- Jest jeszcze coś. - Zamilkła na chwilę, ale nie przestawała patrzeć mu w oczy, tak jak wtedy, kiedy stanęła w progu jego biura. Jej spojrzenie było badawcze, taksujące, zdecydowane. Wiedziała, że skoro już tam jest, nie ma wyboru. On był wszystkim, co miała. - Ale zanim ci to pokażę, musisz mi coś obiecać.

- Wynajęłaś mnie, Bailey. Od tej chwili pracuję dla ciebie.

- Nie wiem, czy to, o co chcę poprosić, jest do końca etyczne, ale muszę mieć twoje słowo. Jeżeli odkryjesz, że popełniłam jakieś przestępstwo, musisz mi obiecać, że zbadasz wszystkie okoliczności i wszystkie fakty, zanim przekażesz mnie w ręce policji.

Cade spojrzał na nią z ukosa.

- Więc zakładasz, że wydam cię policji?

- Jeżeli złamałam prawo, oczekuję, że to zrobisz. Ale najpierw muszę poznać wszystkie twoje racje. Muszę poznać wszystkie dlaczego, wszystkie jak, wszystkie kto. Czy możesz dać mi na to słowo?

- Oczywiście. - Ujął jej wyciągniętą dłoń. Była zarazem krucha jak porcelana i mocna jak skała. A i ona sama, pomyślał, stanowiła fascynującą kombinację delikatności i siły. -

Żadnej policji, póki nie dowiemy się wszystkiego na temat twojej osoby. Możesz mi zaufać, Bailey.

- Chcesz oswoić mnie z tym imieniem. - Bez chwili zastanowienia, w naturalnym odruchu pocałowała go w policzek. - Jesteś bardzo miły.

Wystarczająco miły, pomyślała, żeby ją wziąć w ramiona, gdyby go o to poprosiła. A ona tak rozpaczliwie pragnęła, żeby ktoś ją przytulił, ukoił, zapewnił, że odnajdzie jej dawny świat. Musiała jednak polegać tylko na sobie. Miała nadzieję, że należy do tego rodzaju kobiet, które twardo stąpają po ziemi i same radzą sobie ze swoimi problemami.

- Jest jeszcze coś. - Sięgnęła po torbę i wsunęła do niej głęboko rękę, szukając aksamitnego woreczka i tego, co się w nim kryło. - Myślę, że to jest chyba najważniejsze.

Wyciągnęła go bardzo ostrożnie, niemal z nabożnym szacunkiem, rozwiązała sznureczek i wysypała sobie na dłoń zawartość.

Pieniądze zaskoczyły Cade'a, pistolet zaniepokoił, ale to, co teraz zobaczył, przeraziło go.

Klejnot wypełniał całą dłoń Bailey, a jego szlify były czyste i na tyle ostre, żeby wychwycić nawet najmniejszy błysk światła i posłać go w powietrze jasną, płonąca wiązką. Królewski połysk nawet w ciemnym od deszczu pokoju zapierał dech w piersi. Cade pomyślał, że miejsce tego klejnotu było w koronie jakiejś mitycznej królowej albo między piersiami antycznej bogini.

- Nigdy nie widziałem tak wielkiego szafiru.

- To nie szafir. - Kiedy mu go podawała, mogłaby przysiąc, że poczuła przepływające między nimi fale ciepła. - To błękitny diament, około stu karatów. Szlif brylantowy, prawdopodobnie z Azji Mniejszej. Gołym okiem nie widać żadnych skaz. Jest bardzo rzadki ze względu na wielkość i kolor. Myślę, że jego rynkowa cena co najmniej trzykrotnie przekracza zawartość torby.

Teraz nie patrzył już na klejnot, tylko na Bailey. Podniosła na niego wzrok i potrząsnęła głową.

- Nie mam pojęcia, skąd to wszystko wiem, ale wiem. Tak samo jak wiem, że on nie jest... nie jest... kompletny.

- Co masz na myśli?

- Sama chciałabym wiedzieć. Ale to bardzo silne uczucie, niemal pewność. Wiem, że ten kamień to tylko część całości. Podobnie jak wiem, że on nie może należeć do mnie. Tak naprawdę, on nie należy do nikogo. Do nikogo - powtórzyła, starannie akcentując sylaby. - Pewnie musiałam go ukraść.

Zacisnęła wargi i wyzywająco uniosła podbródek.

- A może nawet z jego powodu zabiłam.

ROZDZIAŁ 2

Cade zabrał Bailey do domu. Było to najlepsze wyjście, jakie przyszło mu do głowy. Chciał też jak najszybciej zamknąć w swoim sejfie płócienną torbę, wraz z jej zawartością. Bailey nie protestowała, kiedy wyprowadził ją z budynku, nie robiła też żadnych uwag na temat małego, lśniącego jaguara zaparkowanego na popękkanym asfalcie parkingu.

W pracy Cade wolał używać swojego nie rzucającego się w oczy, poobijanego sedana, ale skoro coś w nim szwankowało, musiał się przesiąść do przykuwającego wzrok cacka o eleganckich, opływowych kształtach.

Bailey nic nie mówiła, nawet kiedy wjechali na teren zabytkowej, eleganckiej dzielnicy i zatrzymali się przed ceglana rezydencją w stylu federalnym, otoczoną starymi drzewami i starannie przystrzyżonymi trawnikami, obsadzonymi mnóstwem kwiatów.

Gotów był jej powiedzieć, że odziedziczył ten dom po ciotce, której był ulubieńcem - co zresztą było prawdą. A także wyjaśnić, że zamieszkał tu, ponieważ lubi spokój i eleganckie sąsiedztwo, a zarazem przebywanie w samym sercu Waszyngtonu.

Ale ona o nic nie pytała.

Widocznie w końcu opadła z sił. Uszła już z niej energia, która kazała jej wyjść na deszcz, poszukać jego biura i opowiedzieć swoją historię. Bailey pogrzyżała się w apatii.

Nagle wydała mu się też drobna i krucha. Cade z trudem oparł się pokusie, żeby wziąć ją na ręce i wnieść do domu. Mógł to sobie łatwo wyobrazić - mężny rycerz wprowadza damę swego serca w bezpieczne schronienie starego zamczyska, z dala od wszelkich smoków, które ją prześladowały.

Powinien przestać myśleć o takich głupstwach.

Chwycił płócienną torbę, wziął uległą Bailey za rękę i poprowadził przez eleganckie foyer do holu, a stamtąd do kuchni.

- Jajecznicą - powiedział, podsuwając Bailey krzesło i zapraszając ją, by usiadła przy stole.

- Może być. Dziękuję.

Czuła się osłabiona i rozkojarzona i była mu głęboko wdzięczna. Nie zasypywał jej pytaniami ani też nie wydawał się szczególnie wstrząśnięty czy oburzony jej opowieścią. Może to charakter jego pracy kazał mu przyjmować wszystko w sposób naturalny. Jakkolwiek było - była mu wdzięczna za czas, który jej dawał, by mogła jakoś dojść do siebie.

Kręcił się teraz po kuchni z dużą wprawą i niemal jak automat. Wbijał jajka do miski i wkładał kromki chleba do tosterka stojącego na blacie z kolorowego granitu. Powinna zaproponować, że mu pomoże. Tak by wypadało. Ale była tak potwornie zmęczona i tak przyjemnie się siedziało w tej przestronnej kuchni, słuchając deszczu, który melodyjnie bębnił o dach, i patrząc, jak mężczyzna przyrządza jej śniadanie.

Cade postanowił się nią zaopiekować. A ona mu na to pozwalała. Bailey zamknęła oczy i zastanawiała się, czy należy do kobiet, które potrzebowały, by rządził nimi mężczyzna, i które lubiły grać rolę bezradnych.

Miała nadzieję, że nie, niemal rozpaczliwą nadzieję. A potem zastanowiło ją, dlaczego ta drobna, niemal nieistotna cecha osobowości tak wiele dla niej znaczyła, skoro ona sama może okazać się złodziejką albo morderczynią.

Przyłapała się na tym, że uważnie studiuje swoje ręce. Krótko obcięte, zaokrąglone paznokcie pokryte bezbarwnym lakierem. Czy to miało oznaczać, że jest praktyczna? Dłonie ma miękkie, pozbawione odcisków. Raczej wątpliwe, żeby nimi pracowała.

Pierścionki... Bardzo ładne. Nie tyle wyzywające, ile wyjątkowe. Albo tak jej się przynajmniej wydawało. Rozpoznała kamienie, które do niej mrugały. Granat, cytryn, ametyst. Jak to możliwe, że znała nazwy kamieni szlachetnych, a nie znała imion swoich najbliższych przyjaciół?

I czy w ogóle miała jakichś przyjaciół?

Czy była osobą miłą czy niesympatyczną? Wyrozumiałą czy taką, która szuka dziury w całym? Czy łatwo się śmiała albo płakała na filmach? Czy był ktoś, kogo kochała z wzajemnością? Czy ukradła ponad milion dolarów i użyła tego brzydkiego, małego pistoletu?

Kiedy Cade postawił przed nią talerz, drgnęła nerwowo i uspokoiła się dopiero, gdy położył jej rękę na ramieniu.

- Musisz coś zjeść. - Wrócił jeszcze po filiżankę, którą zostawił na kuchni. - Myślę, że herbata zrobi ci lepiej niż kawa.

- Chyba tak. Dziękuję. - Bailey chwyciła widelec i skosztowała jajecznicę. - Niezła. - A potem uśmiechnęła się bladym, nieśmiałym uśmiechem, który chwycił Cade'a za serce. - To coś pysznego.

Usiadł naprzeciw niej z kubkiem kawy w rękę.

- Słyszę z jajecznicę w całym cywilizowanym świecie.

Bailey nagle się rozpromieniła.

- Doskonale rozumiem dlaczego. To świetny pomysł, żeby dodać trochę koperku i papryki.

- Poczekaj, aż spróbujesz moich omletów po hiszpańsku.

- Istny mistrz jajka. - Bailey jadła z apetytem, czując, jak ogarnia ją miłe ciepło. - Często sam gotujesz?

Rozejrzała się po kuchni. Szafki w kolorze kamienia i ciepłe, lekkie drewno. Okno bez firanek nad podwójnym zlewem z białej porcelany. Ekspres do kawy, toster, pomieszane strony porannej gazety.

Pomieszczenie było schludne, ale bez przesady, i stanowiło wyraźny kontrast z raczej brudnym i zabałaganionym biurem Cade'a.

- Nie pytałam cię jeszcze, czy jesteś żonaty.

- Rozwiodłem się, a gotuję, kiedy mam dosyć stołowania się na mieście.

- Ciekawe, co ja robię. Jadam na mieście czy sama gotuję.

- Rozpoznałaś smak papryki i koperku w jajecznicy. - Cade odchylił się w krzesło i upił łyk kawy, nie spuszczać oczu z Bailey. - Wiesz, że jesteś piękna? - A kiedy spojrzała na niego z niepokojem, dodał szybko: - To tylko sucha obserwacja, Bailey. Musimy zacząć od tego, co już mamy. Jesteś piękna. To zwykłe stwierdzenie faktu, a nie żaden wymysł czy pochlebstwo. A ty, jak mi się zdaje, nie lubisz błyszczeć i nie przepadasz za komplementami. Mam nawet wrażenie, że cię trochę zdenerwowałem.

Bailey objęła obiema dłońmi filiżankę.

- Czy próbujesz mnie zdenerwować?

- Nie, ale to takie interesujące - ba, nawet słodkie - kiedy się tak rumienisz i patrzysz na mnie podejrzliwie. Możesz się odprężyć, nie mam zamiaru cię podrywać. - Choć, musiał przyznać, była to bardzo podniecająca myśl. - Nie sądzę też, żeby łatwo cię było poderwać - ciągnął. - Wątpię, czy komukolwiek udałoby się zdobyć twoje względy samymi tylko opowieściami, że masz oczy jak rozgrzana brandy, a kontrast między nimi i tym twoim spokojnym, kulturalnym głosem jest cholernie seksowny. Uniosła do ust filiżankę, mimo iż kosztowało ją to sporo wysiłku, i spojrzała mu w oczy.

- Wiesz co, kiedy cię słucham, odnoszę wrażenie, że mimo wszystko chcesz mnie poderwać.

Cade uśmiechnął się szeroko, czarując ją swoimi dołeczkami.

- Sama widzisz, nie jesteś wcale słaba i uległa, tylko uprzejma, nawet bardzo, i do tego bardzo dobrze wychowana. Sądząc po twoim akcencie, pochodzisz z Nowej Anglii.

Nie spuszczać z niego wzroku, odstawiła filiżankę.

- Z Nowej Anglii?

- Connecticut, Massachusetts - nie jestem pewny. Ale w twoim głosie pobrzmiewa wyraźna nuta jankeskiego wychowania, zwłaszcza kiedy przybierasz zimny ton.

- Nowa Anglia. - Wyteżyła pamięć, starając się znaleźć jakiś bodaj najdrobniejszy punkt zaczepienia. - Nic mi to nie mówi.

- To kolejna sprawa, nad którą muszę popracować. Masz klasę, Bailey. Nie wiem, czy się z nią urodziłaś, czy nabyłaś ją później, ale jakkolwiek jest, masz ją wypisaną na twarzy. - Wstał i zabrał jej brudny talerz. - Podobnie jak zmęczenie. Musisz się teraz przespać.

- Tak. - Na myśl o tym, że ma znowu wrócić do tego obskurnego hotelu, wstrząsnął nią dreszcz. - Czy mam zadzwonić do ciebie do biura i umówić się na kolejne spotkanie? Zapisałam ci numer hotelu, w którym mieszkam, i numer pokoju. Zadzwon do mnie, jak się czegoś dowiesz.

- Nie wrócisz tam. - Wziął ją za rękę i lekko pociągnął, a kiedy wstała, wyprowadził z kuchni. - Możesz zostać tutaj. Jest naprawdę mnóstwo miejsca.

- Tutaj?

- Myślę, że to najlepsze wyjście, bo będę mógł mieć na ciebie oko. Przynajmniej na razie. - Z holu poprowadził ją, na górę. - To bezpieczna, cicha okolica, a ja nie chcę, żebyś sama chodziła po ulicach, póki nie dojdziemy do tego, w jaki sposób wpadł ci w ręce milion dolarów i brylant wielki jak twoja pięść.

- Przecież mnie nie znasz.

- Ani ty mnie. I nad tym też musimy popracować. Otworzył drzwi do jakiegoś pokoju. Przyćmione światło wpadało przez delikatne, koronkowe firanki i odbijało się od wyfroterowanej, dębowej posadzki. Przed kominkiem ustawiono kilka wygodnych foteli oraz niski stolik. W wielkich donicach pyszniły się paprocie. Wygodne łóżko z czterema kolumienkami, nakryte wełnianą kapą, kusiło puchatymi poduszkami.

- Zdrzemnij się teraz - powiedział. - Obok jest łazienka, a ja tymczasem znajdę ci coś, w co będziesz się mogła przebrać, jak wstaniesz.

Znowu zebrało jej się na płacz. Była rozstrojona, ogarnęły ją naraz lęk, wdzięczność i zmęczenie.

- Czy zapraszasz do domu wszystkich swoich klientów?

- Nie. - Dotknął jej policzka, a potem szybko opuścił rękę, bo nagle zapragnął ją przytulić i poczuć jej głowę na swojej piersi. - Tylko tych, którzy tego potrzebują. Będę na dole. Mam jeszcze trochę pracy.

- Cade - chwyciła jego dłoń i na chwilę przytrzymała w swojej - dziękuję ci. Wygląda na to, że wybrałam z książki telefonicznej najlepsze nazwisko.

- Prześlij się teraz, a zmartwienia zostaw mnie, przynajmniej na chwilę.

- Dobrze. Nie zamykaj drzwi - dodała szybko, kiedy wyszedł do holu.

Cade otworzył drzwi i popatrzył na Bailey. W smudze światła wyglądała tak strasznie bezbronne i samotnie.

- Będę na dole.

Stała przez chwilę bez ruchu, a kiedy jego kroki ucichły, osunęła się na miękką, wyściełaną ławę w nogach łóżka. Może to brak rozsądku, że mu zaufała i złożyła swoje życie w jego ręce. Ale mimo wszystko ufała mu. Nie tylko dlatego, że, przynajmniej na razie, jej świat składał się z niego jednego i z tego, co mu opowiedziała. To instynkt podpowiadał jej, że może na nim polegać.

Może to tylko ślepa wiara i rozpaczliwa nadzieja, ale w tej chwili bez nich nie potrafiła przeżyć nawet godziny. Tak więc jej przyszłość zależała wyłącznie od Cade'a Parrisa - od zręczności, z jaką pokieruje jej terażniejszością, a także od tego, czy uda mu się odtworzyć jej przeszłość.

Zsunęła buty, zdjęła żakiet i położyła go na ławie. Niemal nieprzytomna ze zmęczenia wyciągnęła się na łóżku, na kapie, i zasnęła, gdy tylko dotknęła policzkiem poduszki.

Na dole, w kuchni, Cade zdjął z filiżanki odciski palców Bailey. Dzięki odpowiednim kontaktom będzie mógł je sprawdzić szybko i dyskretnie. Jeżeli Bailey była notowana albo pracowała dla rządu, nie będzie kłopotu z jej identyfikacją.

Trzeba też wziąć listę osób zaginionych i zbadać, czy jakiś rysopis nie pasuje do Bailey.

To też było proste.

Kolejny trop to pieniądze i brylant. Kradzież klejnotu takiej wielkości musiałaby trafić na pierwsze strony gazet. Należy koniecznie zweryfikować dane, które podała mu Bailey, a potem poszperać jeszcze w paru źródłach.

Będzie też musiał sprawdzić, czy broń jest zarejestrowana, i przejrzeć listę niedawnych morderstw, dokonanych za pomocą trzydziestki ósemki.

Te kroki byłyby znacznie bardziej skuteczne, gdyby zajął się wszystkim osobiście. Nie mógł jednak w tym momencie zostawiać Bailey samej. Mogłaby wpaść w panikę i uciec, a on nie zamierzał ryzykować, bo nie chciał jej utracić.

Całkiem możliwe, że kiedy się obudzi, przypomni sobie, kim jest, i wróci do swojego dawnego życia, zanim on zdąży zdobyć ją dla siebie.

A on tak strasznie chciał ją mieć tylko dla siebie.

Kiedy chował torbę do sejfu w bibliotece, włączał komputer i robił notatki, ani na chwilę nie opuszczała go myśl, że ona może przecież mieć męża, sześcioro dzieci, dwudziestu zazdrosnych kochanków albo przeszłość kryminalną, której nie powstydziliby się rasowy przestępca. Ale było mu wszystko jedno.

Bailey była jego damą w tarapatkach, i niech go diabli, jeżeli nie uda mu się jej zatrzymać.

Wykonał wszystkie telefony i posłał odciski palców do swojego człowieka w policji. Ta mała przysługa miała go kosztować butelkę najlepszej szkockiej, ale Cade już dawno pogodził się z tym, że nie ma nic za darmo.

- A tak przy okazji, Mick? Nie masz nic na temat kradzieży klejnotu? I to wielkiego?

Mógł bez trudu wyobrazić sobie detektywa Micka Marshalla, jak nerwowo grzebie w papierach, ze słuchawką przy uchu i z przekrzywionym krawatem. Rude, kręcone włosy sterczą mu na wszystkie strony nad twarzą zastygłą w permanentnym grymasie.

- Masz coś, Parris?

- Tylko jakieś plotki - rzucił Cade od niechcienia. - Gdyby chodziło o coś dużego, mógłbym użyć kontaktów w firmie ubezpieczeniowej. Muszę zarobić na czynsz, Mike.

- Nie rozumiem, czemu nie kupisz tego budynku, a potem nie wyrzucisz tego szczura. Przecież cholernie bogaty z ciebie chłopak.

- Bo jestem ekscentrykiem. Tak podobno nazywają bogatych chłopaków, którzy zadają się z takimi jak ty. No więc, co wiesz?

- Nic nie słyszałem.

- Dobra. Mam Smitha & Wessona, trzydziestkę ósemkę. - Cade odwrócił pistolet i podyktował numer seryjny. - Sprawdź go dla mnie, dobrze?

- Dwie butelki szkockiej, Parris.

- A po co ma się przyjaciół? Jak tam Doreen?

- Bezczelna od dnia, w którym przyniosłeś jej te cholerne tulipany. Jakbym ja miał czas każdego wieczora zrywać dla niej fiołki przed powrotem do domu. Właściwie powinienem zażądać trzech butelek szkockiej.

- Jeżeli znajdziesz mi coś o kradzieży ważnego klejnotu, kupię ci całą skrzynkę, Mick. Będziemy w kontakcie.

Cade odłożył słuchawkę i ze złością popatrzył na swój komputer. Na tym etapie człowiek będzie musiał zawrzeć przymierze z komputerem. Odszukanie tego, o co mu chodziło, zajęło mu trzy razy tyle czasu, co przeciętnemu dwudziestolatkowi.

Amnezja.

Wypił kolejny kubek kawy, a następnie dowiedział się więcej o ludzkim mózgu, niż kiedykolwiek chciał wiedzieć. Przez jedną krótką, przerażającą chwilę obawiał się nawet, że Bailey może mieć guz mózgu. I on też. Poczuł wielki niepokój o swój mózg, co tylko utwierdziło go w przekonaniu, że postąpił słusznie, nie wybierając medycyny, choć tak bardzo życzyła sobie tego jego matka.

Ludzkie ciało, z jego wszystkimi sztuczkami i tykającymi bombami zegarowymi, było zbyt niepokojące. Cade pomyślał, że na co dzień woli stawać oko w oko z naładowaną bronią niż z własnym kapryśnym organizmem.

W końcu jednak, z pewną ulgą doszedł do wniosku, że to wykluczone, żeby Bailey miała guz. Wszystko wskazywało raczej na amnezję na tle histerycznym. Ten rodzaj amnezji ustępował zazwyczaj samoistnie kilka godzin po wstrząsie ~ ale bywało, że i po wielu tygodniach. A czasem miesiącach. A nawet latach.

Co oznaczało cofnięcie się do punktu wyjścia. Podręczny słownik medyczny sugerował, że amnezja to raczej symptom niż choroba, a leczenie powinno polegać na znalezieniu i usunięciu przyczyny.

W tym właśnie miejscu zaczyna się jego rola. Cade pomyślał, że on, jako detektyw, ma takie same kwalifikacje jak lekarz - a nawet większe - żeby zająć się problemem Bailey.

Wpisal pracowicie do komputera swoje notatki, pytania i wnioski. A potem, bardzo z siebie zadowolony, wrócił na górę, żeby znaleźć jakieś stroje dla Bailey.

Nie wiedziała, czy to jawa, czy sen - ani też, czy to jej własny sen, czy czyjaś jawa. Ale to, co widziała, było jej znane - tak dobrze znane...

Ciemny pokój, mocny strumień światła z lampy na biurku. Słoń. To dziwne, ale miała wrażenie, że słoń się do niej uśmiecha i unosi w górę trąbę, życząc jej szczęścia, a w jego niebieskich oczach migoczą iskiereczki rozbawienia.

Kobięcy śmiech - znowu dobrze znany, i tak kojący. Ciepły, przyjazny śmiech.

- To musi być Paryż, Bailey. Nie mamy zamiaru grzebać Z tobą w błocie przez kolejne dwa tygodnie. Romans, namiętność, seks - oto czego ci trzeba. Potrzebny ci Paryż.

Trójkąt, złoty i lśniący. I pokój pełen światła, pełen oślepiającej jasności. Mężczyzna, który nie jest mężczyzną, o twarzy tak łagodnej, tak mądrej, tak wyrozumiałej, że aż człowiekowi serce się ściska. Złoty trójkąt, który trzyma w otwartych dłoniach, jakby w ofiarnym geście. Moc i siła błękitnych kamieni, spoczywających w trzech wierzchołkach trójkąta. Drogocenne kamienie lśnią i pulsują jak serce, wysyłając w powietrze snopy złotych iskiek.

Ich piękno jest porażające.

Teraz ona trzyma je w dłoniach, a palce jej drżą. Narasta w niej gniew - straszny gniew, panika i wściekłość. Kamienie wystrzelają jej z rąk najpierw jeden, potem drugi, unosząc się w górę jak brylantowe ptaki. Trzeci kamień przyciska otwartą dłońią do serca, w obronnym geście.

Srebrne błyski, smugi srebrnych błysków. I miarowy rytm bębnów, od którego aż, trzęsie się ziemia. Zniknęło światło, zgasły wszystkie gwiazdy: Krew. Wszędzie pełno krwi, rozlewającej i się jak purpurowa rzeka.

O mój Boże, jak mokro, jak czerwono i mokro, i jak piekielnie ciemno.

Biegnie, potykając się i słysząc oszalały łomot swojego serca. Znowu jest ciemno. Zniknęło światło, zgasły gwiazdy. Biegnie korytarzem, a odgłos jej kroków rozbrzmiewa jak grzmot po błyskawicy. Coś ją ściga, poluje na nią w tych ciemnościach, a ściany coraz ciałniej ją okrążają.

Słysząc trąbienie słonia. Błyski przybliżają się. Wpełza do jamy i kryje się, drżąc i dygocząc jak zaszczute zwierzę, a smuga światła prześlizguje się obok niej...

- Obudź się, kochanie. Już wszystko dobrze, kotku. To tylko zły sen.

Wypęzła z ciemności ku temu spokojnemu, kojącemu głosowi i ukryła spoconą twarz na szerokiej, muskularnej piersi Cade'a.

- Widziałam krew, tyle krwi. I błyskawice. Coś strasznego nadchodzi. Jest już całkiem blisko.

- Nie, już na zawsze zniknęło. - Cade wtulił usta we włosy Bailey i zaczął ją kołysać w ramionach. Kiedy wślizgnął się do pokoju, żeby położyć jej przy łóżku bluzę do przebrania, krzyczała przez sen. Teraz tuliła się do niego, roztrzęsiona, więc podniósł ją i posadził sobie na kolanach, jak dziecko. - Jesteś już bezpieczna. Przysięgam.

- Gwiazdy, trzy gwiazdy. - Zawieszona między snem a jawą poruszyła się z niepokojem w objęciach Cade'a. - Muszę znaleźć jakiegoś detektywa.

- Już to zrobiłaś. Jestem tutaj. - Musnął ustami jej wilgotną skroń. - Jestem przy tobie - powtórzył, czekając, aż w jej oczach pojawi się błysk zrozumienia. - Odpręż się, jestem przy tobie.

- Nie odchodź. - Wstrząsana dreszczem, oparła mu głowę na ramieniu, tak jak to sobie wyobrażała. A jemu znowu ścisnęło się serce.

Tak chyba musi wyglądać miłość od pierwszego wejrzenia.

- Nie zostawię cię. Zaopiekuję się tobą.

Bailey uspokoiła się i trochę rozluźniła. Oparła się mocniej o jego pierś i znowu zamknęła oczy.

- To był sen, ale jakiś taki dziwny i przerażający. Nic z tego nie rozumiem.

Opowiedz mi.

Z trudem zebrała myśli i próbowała ustawić szczegóły w logiczny ciąg.

- Było w nim tyle emocji, olbrzymie fale emocji. Gniew, szok, poczucie zdrady i strach. A potem trwoga. Już tylko czysta, bezrozumna trwoga.

- To mogła być przyczyna twojej amnezji. Nie jesteś jeszcze gotowa, żeby się z tym zmierzyć, więc się od tego odcinasz. To rodzaj odwróconej hysterii.

- Histeria? - Na sam dźwięk tego słowa wyprostowała się i spojrzała na niego z wyrzutem. - Uważasz, że jestem histeryczką?

- Jeżeli już o tym mówimy - obwiodł dłonią kontur jej wzniesionej twarzy - ten termin doskonale pasuje do twoich objawów.

Ostrym, zdecydowanym ruchem odtrąciła jego dłoń.

- Nie obchodzi mnie żadna terminologia.

- Użyłem tego słowa w czysto medycznym sensie. Chyba nikt nie walnął cię w głowę, co?

Bailey zmrużyła oczy.

- Niczego takiego sobie nie przypominam. Tak czy inaczej, usiłujesz mi wmówić, że jestem histeryczką.

- Chcę ci tylko wyjaśnić, że amnezja może być rezultatem wstrząsu mózgu. - Cade owinał sobie wokół palca kosmyk jej włosów, żeby poczuć ich miękkość. - Zawsze uważałem, że to bzdura albo jakieś hollywoodzkie pomysły, ale tak piszą w książkach medycznych. Jedną z wielu innych przyczyn mogą być też zaburzenia nerwowe, takie jak na przykład - przepraszam za ten termin - histeria.

- Nie jestem histeryczką, ale z pewnością potrafię nią być, jeżeli masz ochotę coś takiego oglądać.

- Znam to na pamięć. Mam siostry. Posłuchaj mnie, Bailey - ujął w dłonie jej twarz tak rozbijającym gestem, że znowu szeroko otworzyła oczy - u podłoża tego wszystkiego leżą jakieś poważne kłopoty. A my musimy do nich dotrzeć i jakoś im zaradzić.

- I dlatego trzymasz mnie na kolanach?

- To tylko korzyść uboczna. - Kiedy jej uśmiech zgasł i próbowała się odsunąć, wzmocnił uścisk. - Lubię to. I to bardzo.

W jego oczach dostrzegła coś więcej niż rozbawienie, i to spowodowało, że jej puls znacznie przyspieszył.

- Nie wiem, czy to rozsądne flirtować z kobietą, która nawet nie wie, kim jest.

- Może nie, ale to dobra zabawa. A poza tym, będziesz miała nowy temat do rozmyślań.

Widok jego czarujących dołeczków kompletnie ją rozbroił. Podobnie jak lekko ironiczny uśmiech. Jej kochanek powinien mieć takie usta. Szybkie, energiczne - pełne, zmysłowe, skore do śmiechu. Bez trudu mogła je sobie wyobrazić na swoich.

Może dlatego, że nie potrafiła sobie przypomnieć żadnych innych, nie pamiętała innego smaku, innego dotyku. A ponieważ w ten sposób Cade byłby pierwszym mężczyzną, który ją pocałuje, wstrząsnął nią lekki dreszczyk emocji, jakby czekała na coś miłego i ekscytującego.

Cade odchylił jej głowę do tyłu, a jego spojrzenie prześlizgnęło się od jej oczu do ust, i z powrotem. Mógł to sobie bez trudu wyobrazić, był niemal pewny, że spotkaniu ich ust będzie towarzyszyła niebiańska muzyka.

- Chcesz spróbować?

Ogarnęło ją pożądanie, głębokie i wstrząsające, szarpiące nerwy i obezwładniające ciało. Była z nim sama, z tym obcym mężczyzną, któremu zawierzyła swoje życie. A wiedziała o nim więcej niż o samej sobie.

- Nie mogę. - Położyła mu rękę na piersi i ze zdumieniem stwierdziła, że choć jego głos brzmi chłodno, to serce wali mu jak młotem. Jak jej własne serce. A skoro tak, mogła sobie pozwolić na szczerość. - Boję się.

- Jeśli dobrze pamiętam z własnego doświadczenia, całowanie nie jest aż takie straszne. Chyba że mówimy o całowaniu babci Parris. Bo to było przerażające.

Rozbawiły ją jego słowa. Uśmiechnęła się, a kiedy się poruszyła, Cade wypuścił ją z objęć.

- Nie komplikujmy spraw - powiedziała. - I tak są wystarczająco skomplikowane. - Energicznym ruchem głowy odrzuciła włosy do tyłu i odwróciła wzrok. - Jeżeli to możliwe, chciałabym teraz wziąć prysznic. Muszę się trochę odświeżyć.

- Jasne. Przyniosłem ci nawet bluzę i dżinsy, możesz je podwinąć. Żebyś ich nie zgubiła, przewiąż je w pasie kawałkiem tego grubego sznura do bielizny. Będziesz wyglądała awangardowo.

- Jesteś słodki, Cade.

- Wszystkie mi tak mówiły. - Odegnął natrętną myśl i wstał.

- Wytrzymasz sama przez godzinę? Muszę jeszcze sprawdzić parę rzeczy.

- Dam sobie radę.

- Ale obiecaj mi, że nie wyjdiesz z domu, Bailey. Uniosła ręce w geście zdumienia.

- A niby dokąd?

Cade położył jej dłonie na ramionach i czekał, aż podniesie na niego oczy.

- Obiecuj mi, że nigdzie stąd nie pójdziesz.

- Niech ci będzie. Obiecuję.

- Wrócę jak najszybciej. - Podeszedł do drzwi i zatrzymał się w progu. - I jeszcze jedno, Bailey, przemyśl to sobie.

Krótki błysk w jego oczach, zanim zdążył się odwrócić, uświadomił jej, że nie miał na myśli dramatycznych okoliczności, które ją do niego sprowadziły. Kiedy podeszła do okna i patrzyła, jak wsiada do samochodu i odjeżdża, już gorączkowo myślała. Rozmyślała o nim.

W tym samym czasie ktoś myślał o niej. A były to posępne, mściwe myśli. Wymknęła mu się z rąk, a wraz z nią nagroda i władza, której najbardziej pragnął.

Wyzначył już cenę za niekompetencję, ale to jeszcze nie wszystko. Znajdzie ją, a kiedy to nastąpi, będzie musiała zapłacić znacznie więcej. Cenę życia, ale to także bez znaczenia.

Bo najpierw będzie ból i wielki strach. Dopiero to go zadowoli.

Utracone pieniądze były niczym. Były równie nieważne jak życie tej głupiej kobiety. Ale ona miała coś, co było mu potrzebne i co musiał mieć. Odbierze jej swoją własność.

Było ich trzy. Już każdy z osobna był bezcenny, ale w komplecie miały wręcz niewyobrażalną wartość. Przedsięwziął już pewne kroki, żeby odzyskać te dwa, które tak nierozsądnie chciała przed nim ukryć.

To oczywiście musi jeszcze trochę potrwać, ale dostanie je z powrotem. Ważne jest tylko, żeby zachować ostrożność i nie tracić pewności. Jeśli zajdzie potrzeba użycia przemocy, zrobi to, ale będzie trzymać się z daleka.

Wkrótce dwa wierzchołki trójkąta będą już należały do niego - dwie starożytne gwiazdy, z całą ich urodą, blaskiem i mocą.

Siedział w pokoju, który zbudował dla swoich skarbów - tych odziedziczonych, tych skradzionych i tych zdobytych za cenę krwi. Klejnoty i obrazy, rzeźby i cenne filtry lśniły i rzucały błyski w jego sekretnej grocie Alladyna.

Podobny do ołtarza postument, który zaprojektował, żeby umieścić na nim swój najbardziej upragniony skarb, był pusty i czekał.

Ale już niedługo...

Wkrótce będzie miał dwa, a kiedy zdobędzie trzeci, stanie się nieśmiertelny.

A wtedy tej kobiety nie będzie już wśród żywych.

ROZDZIAŁ 3

To moje ciało, powtarzała sobie Bailey, stojąc przed lustrem. Najwyższa pora zacząć się do niego przyzwyczajać. W zaparowanej taflి szkła skóra jej była blada i gładka. Spontanycznym gestem położyła rękę na piersi.

Długie palce, krótko przycięte paznokcie, raczej mały biust. Marszcząc brwi, doszła do wniosku, że ramiona ma trochę za chude. Może powinna pomyśleć o jakichś ćwiczeniach, żeby rozbudować mięśnie.

Na biodrach nie było ani grama zbędnego tłuszczu, więc może jednak uprawiała gimnastykę. Zwłaszcza że uda były smukłe, lecz dość muskularne.

Cerę miała jasną, bez śladu opalenizny.

Jaki mogła mieć wzrost? Metr sześćdziesiąt? Wolałaby być wyższa. Pomyślała, że jeśli kobieta zaczyna życie od nowa w wieku lat dwudziestu paru, powinna móc wybrać sobie swój typ urody. Miło byłoby mieć pełniejszy biust i dłuższe nogi.

Rozbawiona tą myślą, odwróciła się i znowu spojrzała w lustro, żeby się sobie przyjrzeć z tyłu. I wtedy otworzyła usta ze zdumienia. Na pośladku widniał tatuaż!

Co jej strzeliło do głowy, żeby robić sobie tatuaż na pupie?

I co to było? Jednorożec? Chyba postradała zmysły? A poza tym, jeśli kazała zrobić go sobie na pośladku, musiało to oznaczać, że dobrowolnie obnażyła tę część ciała przed jakimś specem od tatuażu.

Czyżby za dużo wtedy wypła?

Lekko zażenowana, owinęła się ręcznikiem i szybko opuściła zaparowaną łazienkę. Trochę czasu zajęło jej dopasowanie dzinsów i koszuli. Potem starannie powiesiła kostium i wygładziła spódnice. Kiedy skończyła, głęboko westchnęła i przeczesła palcami wilgotne włosy.

Cade prosił, żeby nie wychodziła z domu, ale nie prosił jej, żeby nie opuszczała pokoju. Jeżeli nie znajdzie sobie jakiegoś zajęcia, zacznie się znowu denerwować. Będzie myślała o torbie z pieniędzmi, o olbrzymich niebieskich brylantach, o morderstwie i o tatuażach.

Kiedy wyszła z pokoju, uświadomiła sobie, że w tym pustym, obcym domu nie było jej wcale nieswojo. Podobnie zresztą jak w towarzystwie Cade'a. Przy nim czuła się bezpiecznie. Na nim można było polegać. Gdy go zobaczyła w tym zabałaganionym biurze, od razu zrozumiała, że to człowiek, któremu można się zwierzyć i zaufać.

Pewnie dlatego, że nie było nikogo innego, z kim mogłaby porozmawiać i na kim się oprzeć.

A poza wszystkim, Cade był wyjątkowo miłym, życzliwym człowiekiem. Musiał też być inteligentny i sprytny, w przeciwnym razie nie mógłby przecież zostać prywatnym detektywem. Miał uroczy, radosny uśmiech, i oczy, którymi potrafił tak wiele wyrazić. Miał też mocne ramiona i silny charakter.

No i te chłopięce dołeczki w policzkach, których z taką ochotą by dotknęła.

Jak wygląda jego sypialnia? Przystanąła w progu i przygryzła wargi. To nieładnie podglądać. Zastanawiała się, czy aby nie jest gruboskórna, czy zwraca uwagę na uczucia innych i czy nie narusza ich prawa do prywatności. Musiała to jakoś sprawdzić i potrzebowała czegoś, czym mogłaby wypełnić te białe plamy. A Cade zostawił drzwi otwarte. Przekroczyła próg.

To był piękny, olbrzymi pokój, pełen Cade'a. Na krzesle leżały rzucone w pośpiechu dzinsy i w pierwszym odruchu chciała je pozbierać i poszukać wieszaka. Na blacie toaletki porzucono garść drobnych monet i kilka guzików od koszuli. W pokoju stała piękna, antyczna komoda z szufladami, w których niewątpliwie kryło się więcej rzeczy należących do Cade'a.

Nie pociągnęła jednak za mosiężne uchwyty, choć miała na to wielką ochotę.

Łóżko - duże i nie pościelone - miało rzeźbione płyty u wezłowia i u nóg. Zmięte prześcieradła były ciemnoniebieskie. Nie mogła się oprzeć pokusie i przejechała po nich palcami. Poczowała delikatny zapach mięty - zapach Cade'a.

Nagle przyłapała się nad tym, że zadaje sobie pytanie, czy Cade sypia nago. Gorący rumieniec wypłynął jej na policzki. Szybko odwróciła się od łóżka.

W pokoju był też ceglany kominek, a nad nim sosnowa półka. Bailey uśmiechnęła się na widok brązowej figurki krowy. Obok leżały porozrzucone w nieładzie książki. Zaczęła uważnie przeglądać poszczególne tomiki, zastanawiając się, czy mogła znać niektóre z nich. Większość traktowała o tajemniczych zagadkach i zbrodniach, jednak niektóre nazwiska i tytuły wydały jej się znajome. Świadomość tego podniosła ją nieco na duchu.

Bez zastanowienia chwyciła brudny kubek do kawy i pustą butelkę po piwie i zniosła je na dół, do kuchni.

Kiedy Cade przyprowadził ją do domu, nie zwróciła większej uwagi na budynek. Była zupełnie zdezorientowana i wszystko jakby tonęło we mgle. Dopiero teraz dostrzegła jego proste, eleganckie linie, piękne, wysokie okna z klasycznymi portykami oraz lśniące antyki.

Kontrast pomiędzy tym eleganckim domem a tandetnym, zaniedbanym biurem był uderzający. Marszcząc brwi, oplukała kubek nad zlewem, wyrzuciła butelkę do pojemnika na

szkło, a potem ruszyła zwiedzać dom. Już po niespełna kilku minutach zorientowała się, że jego właściciel ma masę pieniędzy.

Dom pełen był prawdziwych skarbów o muzealnej wartości. Tego była bezsprzecznie pewna. Może nie rozumiała, skąd wziął się jednorozec na jej pośladku, za to doskonale orientowała się w wartości intarsjowanego biureczka z różanego drewna. Dlaczego tak było, nie potrafiła powiedzieć.

Rozpoznała wazy od Waterforda, georgiańskie srebra i porcelanę z Limoges w serwantce w jadalni. A i pejzaż Turnera raczej nie był kopią.

Wyrzała przez okno. Dobrze utrzymany trawnik, stare, majestatyczne drzewa, róże w pełnym rozkwicie. Dlaczego człowiek, który mógł mieszkać w takim domu, zdecydował się pracować w dusznym i ciasnym biurze, na ostatnim piętrze rozsypującej się kamienicy?

A potem nagle uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Widocznie Cade Parris był w takim samym stopniu zagadką jak ona. Co za ulga.

Wróciła do kuchni w nadziei, że zdoła się do czegoś przydać, przygotowując mrożoną herbatę albo coś bardziej konkretnego na lunch. Kiedy zadzwonił telefon, podskoczyła jak oparzona. W chwilę później włączyła się automatyczna sekretarka, z której popłynął znajomy, kojący głos Cade'a „To numer pięć, pięć, pięć, dwa, trzy, dziewięć, sześć. Proszę zostawić wiadomość, żebym mógł oddzwonić”.

„Cade, to zaczyna być w najwyższym stopniu irytujące”. Kobieta, która telefonowała, była wyraźnie zniecierpliwiona. „Od rana nagrałam się już kilka razy w biurze, więc mógłbyś okazać choć tyle dobrego wychowania, żeby się odezwać. Wątpię, czy jesteś aż tak zajęty z tymi twoimi tak zwanymi klientami, żeby nie znaleźć czasu dla swojej matki”. Po tym nastąpiło długie, pełne rezygnacji westchnienie. „Doskonale wiem, że nie skontaktowałeś się z Pamelą w sprawie dzisiejszego wieczoru. Postawiłeś mnie w bardzo nieprzyjemnej sytuacji. Wychodzę teraz na brydża do Dodiego. Możesz mnie tam złapać do czwartej. Nie zmuszaj mnie, żebym się za ciebie wstydziła, Cade. A tak przy okazji - Muffy jest na ciebie wściekła”.

Monolog zakończył zdecydowany trzask. Bailey zaschło w gardle, więc cicho chrząknęła. Miała wrażenie, że to do niej skierowany był ten chłodny, apodyktyczny, pełen pretensji głos. Zastanowiła się, czy i ona ma matkę, która wciąż tylko beszta i wymaga posłuszeństwa. A może i martwi się teraz o nią.

Nastawiła czajnik i zaczęła szukać herbaty, kiedy znowu zadzwonił telefon.

„Cade, tu Muffy. Mama mówi, że nadal nie udało jej się z tobą skontaktować. To oczywiste, że nas unikasz, bo wstydzisz się swojego zachowania. Doskonale wiedziałeś, że wczoraj wieczorem Camilla miała recital fortepianowy. Mogłeś okazać bodaj tyle

przyzwoitości, żeby wpaść i udawać, że wiesz co to lojalność w stosunku do własnej rodziny. A zresztą, czego się można po tobie spodziewać? Mam głęboką nadzieję, że zadzwonisz do Camilli i przeprosisz ją za to, że cię nie było. Póki tego nie zrobisz, nie mamy sobie nic do powiedzenia”.

Trzask.

Bailey prychnęła i wzniosła oczy do nieba. Jak z tego widać, pomyślała, stosunki rodzinne to trudny i złożony problem.

A może i ona ma brata, który jest tak... no, tak wredny jak ta żmija Muffy o ostrym języku?

Zalała herbatę w czajniczku, a potem otworzyła lodówkę. Znalazła w niej mnóstwo jajek. Na ich widok uśmiechnęła się. Była także paczkowana szynka, trochę żółtego sera i kilka dorodnych pomidorów. Miała z czego przygotować coś na lunch.

Przez chwilę zastanawiała się, czy użyć majonezu, czy musztardy, a także czy powinna posłodzić herbatę, czy nie. Każdy szczegół był jak kolejna cegiełka w odbudowywaniu jej osobowości. Właśnie kiedy kroїła ostrożnie pomidory, trzasnęły frontowe drzwi i natychmiast poprawił jej się humor.

Zawołała:

- Cade, Cade! - Nagle głos uwiązł jej w gardle. A jeżeli to wcale nie był Cade? Może ją odnaleźli? Może po nią przyszli? Zaciskając dłoń na trzonku noża, ruszyła na palcach ku drzwiom. Strach, głęboki i nie do opanowania, wycisnął jej na czole krople potu, drobne jak perełki. Serce podskoczyło jej do gardła.

Uciec, uciec jak najdalej od tych przerażających błyskawic. Ale jak, kiedy oddech grzęźnie w piersi, a wokół jest tak ciemno i wszędzie pełno krwi.

Bailey zacisnęła palce wokół gałki i przekręciła ją, gotowa do walki lub do ucieczki.

Kiedy zobaczyła Cade'a, z piersi wyrwał jej się głośny szloch. Rzuciła mu się w ramiona. Nóż z brzękiem upadł na podłogę.

- To ty, to ty.

- Oczywiście, że to ja. - Powinien mieć wyrzuty sumienia. W końcu to strach pchnął ją w jego ramiona, ale cóż, był tylko człowiekiem. A poza tym, ona tak ślicznie pachniała. - Przecież ci mówiłem, że jesteś tutaj bezpieczna, Bailey.

- Wiem. Przez cały czas czułam się bezpieczna. Dopiero kiedy usłyszałam, że ktoś otwiera drzwi, wpadłam w popłoch. - Tulila się do niego rozpaczliwie. Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. - Chciałam uciekać, po prostu uciekać. Przestraszyłam się, że to może

być ktoś obcy. Nienawidzę być takim tchórzem. Nienawidzę nie wiedzieć, co mam robić. Przez chwilę wydawało mi się, że nie potrafię zebrać myśli.

Cade głaskał Bailey po policzku, patrząc jej uważnie w oczy. Jego ramię mocno ścisnęło ją w talii, a kojąca dłoń pogładziła włosy i zatrzymała się na karku.

Czekał tak długo, aż się uspokoiła. Wargi lekko mu drgnęły, a jej aż serce podskoczyło w piersi i wtedy pochylił głowę i dotknął delikatnie ustami jej warg.

Jak cudownie... To była jej pierwsza myśl. Jak cudownie było znaleźć się w ramionach Cade'a i tak dogłębnie smakować jego usta. To był pocałunek, to słodkie spotkanie ust, od których krew żywiej krążyła w żyłach, a dusza zaczynała śpiewać. Z cichym pomrukiem przesunęła mu rękami po plecach i wspięła się na palce, żeby zaspokoić ich wspólne życzenie.

Kiedy obwiodł językiem jej usta, zadrżała z rozkoszy. A potem otworzyła się przed nim w sposób tak naturalny, jak róża otwiera się do słońca.

Wiedział, że tak będzie. Nie wiadomo, skąd miał tę pewność, że będzie zarazem nieśmiała i hojna, że będzie smakowała świeżością i pachniała wiatrem. To niewiarygodne, że spotkali się niespełna parę godzin temu. Wydawało mu się, że kobieta, którą trzyma w ramionach, należy do niego od zawsze.

Jakie to ekscytujące, jakie podniecające wiedzieć, że jest to pierwszy pocałunek w jej życiu, jaki zapamięta. Że był jedynym mężczyzną w jej myślach i sercu, któremu wolno było trzymać ją i dotykać jej w taki sposób. To on pierwszy potrafił sprawić, że drżała, to jego imię wyszeptała jako pierwsze, kiedy ogarnęło ją pożądanie.

A kiedy wyszeptała jego imię, zniknęły wszystkie inne kobiety, które kiedykolwiek trzymał w ramionach. Ona także stała się jego pierwszą.

Zaczął całować Bailey coraz mocniej i głębiej, lękając się jednocześnie, żeby jej nie zrazić i nie zranić. Ale ona nagle ożyła w jego ramionach i żywo reagowała na jego pocałunek. Jej usta były głodne i gorące, a ciało spazmatycznie tuliło się do jego ciała.

Bailey czuła, że żyje, tak wspaniale żyje! Była tak cudownie świadoma bicia własnego serca. Obejmowała Cade'a kurczowo, jakby chciała go na zawsze zatrzymać. To on wypełniał sobą wszystkie te puste miejsca, wszystkie przerażające, białe plamy. To było rzeczywiste, to działało się naprawdę. I to miało dla niej takie olbrzymie znaczenie.

- Spokojnie. - Słowa przychodziły mu z trudem. Żałował, że musi je wymówić. Drżał cały podobnie jak Bailey i czuł, że jeśli się teraz nie wycofa, nie zapanuje nad sytuacją i weźmie ją tak jak stał, w progu kuchni. - Spokojnie - powtórzył, przyciskając jej głowę do ramienia, bo nie chciał, by znowu kusily go jej pełne, chętne usta.

Wtulila się w niego, a nerwy miała napięte do ostateczności. Krew tętniła jej w żyłach, huczało w głowie.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek tak było. Po prostu nie wiem. Jej słowa sprowadziły go z obłoków na ziemię. Może nawet zbyt gwałtownie. Przypomniał sobie, że przecież, w przeciwieństwie do niego, ona nic nie wie. Bo on już miał całkowitą jasność, że nigdy nie było tak jak teraz.

- Nie martw się tym, Bailey - powiedział i odsunął ją, a potem położył jej dłonie na ramionach, bo wyczuł w niej narastające napięcie. - To było coś niezwykłego, ale na razie powinno nam to wystarczyć.

- Ale... - Zagryzła wargę, a Cade szybko odwrócił się do niej plecami i szarpnął za drzwi lodówki. - Ja... ja właśnie zaparzyłam herbatę.

- Chcę się napić piwa.

Żachnęła się, zaskoczona jego ostrym tonem.

- Jesteś zły, prawda?

- Nie. - Otworzył butelkę i wypił trzy wielkie hausty piwa.

- Tak. Jestem trochę zły na siebie. W końcu to ja zacząłem.

- Odstawił butelkę i uważnie przyglądał się Bailey.

Stała z rękami skrzyżowanymi na piersi. Obszerne dzinsy marszczyły się na biodrach, a jego własna koszula zsuwała jej się z ramion. Była boso, wilgotne włosy, wijąc się, opadały jej na ramiona.

Była absolutnie bezbronna.

- Chętnie ci wszystko wyjaśnię. - Oparł się o kuchenny blat, pragnąc zachować między nimi pewien dystans. - Kiedy stanęłaś na progu mojego biura, to było jak grom z jasnego nieba. Nigdy przedtem niczego takiego nie przeżyłem. Pomyślałem: Jesteś nareszcie”. Może dlatego, że szukałaś mnie, bo miałaś kłopoty, a ja mam słabość do ludzi w tarapatkach, zwłaszcza pięknych kobiet. - Znowu pociągnął łyk piwa, tym razem wolniej, a ona patrzyła na niego z uwagą. - Ale to nie to, Bailey, albo przynajmniej nie wszystko. Pragnę ci pomóc. Tak samo jak ty chcę dowiedzieć się wszystkiego o tobie. Ale chcę się też z tobą kochać, powoli, bez pośpiechu, tak żeby każda sekunda wydawała nam się godziną. A kiedy skończymy i będziesz leżała pode mną, naga i osłabła, ja zacznę od nowa.

Bailey nadal kurczowo ścisnęła skrzyżowane ramiona, teraz już tylko po to, żeby oszalałe serce nie wyskoczyło jej z piersi.

- Och... - wyszeptała bez tchu.

- I zobaczysz, że zrobię to, jak tylko mocniej staniesz na nogi.

- Och - powtórzyła. - No cóż. - Głośno chrząknęła. - Przecież ja mogę być morderczynią. Cade.

- Ho ho! - Cade nagle zmienił temat i zaczął oglądać leżące na blacie kromki chleba. - To ma być lunch?

Oczy Bailey zwięzły się z gniewu. To ma być odpowiedź człowieka, który dopiero co powiedział jej, że chce się z nią kochać tak długo, aż całkiem osłabnie?

- Mogłam przecież ukraść masę pieniędzy, zabić kogoś albo porwać niewinne dziecko.

- Tak jest. - Nałożył sobie na kanapkę plaster szynki. - Prawdziwa z ciebie desperatka, kochanie. To widać. Masz w oku ten wyrachowany, zabójczy błysk. - A potem odwrócił się do niej ze śmiechem. - Bailey, na Boga, spójrz tylko na siebie. Jesteś uprzejmą, porządną kobietą, o skrupułach jak stąd do Kansas. Bardzo wątpię, czy masz na swoim koncie chociaż jeden mandat za złe parkowanie. I pewnie nigdy nie odważyłaś się na coś bardziej szalonego niż głośny śpiew pod prysznicem.

Swoimi uwagami dopiekl jej do żywego. Nie umiała powiedzieć dlaczego, ale poczuła się urażona tą charakterystyką.

- Mam tatuaż na pupie - rzuciła wyzywająco. Cade odłożył na bok rozpadającą się kanapkę.

- Przepraszam, co takiego?

- Mam na pupie tatuaż - powtórzyła z błyskiem w oku.

- Coś podobnego! - Nie mógł się już doczekać chwili, w której będzie mógł go obejrzeć. - Trzeba cię wobec tego aresztować. I proszę cię, nie mów mi, że przekłułaś sobie coś więcej niż uszy, bo będę musiał sięgnąć po broń.

- Cieszę się, że udało mi się tak cię rozbawić.

- Kochanie, ty mnie fascynujesz. - Szybko zastawił jej drogę, żeby nie uciekła z kuchni. - Widzę, że masz niezły temperament. To dobry znak. Okazuje się, że moja Bailey to nie jakaś malowana lala. Lubi jajecznicę z koperkiem i papryką, wie, jak się robi mrożoną herbatę, kroi pomidory na idealnie równe plasterki i umie wiązać węzeł żeglarski.

- Co?

- Twój pasek - powiedział, machnąwszy niedbale ręką. - Pewnie byłaś harcerką albo lubisz żeglować. Kiedy jesteś zirytowana, przybierasz lodowaty ton, masz wyśmienity gust, jeżeli chodzi o stroje, przygryzasz wargę, gdy się denerwujesz. To zaś, ostrzegam cię, z niewiadomych przyczyn budzi we mnie dzikie żądze.

Kiedy nagle przestała przygryzać wargę i chrząknęła, na jego policzkach ukazały się dołeczki.

- Utrzymujesz praktyczną długość paznokci - ciągnął. - A także potrafisz zatracić się w pocałunku. Co za ciekawa kobieta ta nasza Bailey.

Po tych słowach przyjaźnie poklepał ją po ramieniu.

- A teraz siądźmy wreszcie i zjedźmy lunch, a ja ci opowiem, czego się dowiedziałem. Chcesz musztardę czy majonez?

- Nie wiem. - Wciąż lekko nadąsana osunęła się na krzesło.

- Ja wolę musztardę. - Postawił na stole słoiczek musztardy oraz inne przyprawy. - No więc, co to takiego?

Bailey rozsmarowała musztardę na kanapce.

- Ale co?

- Ten twój tatuaż. Co to jest?

Zawstydzona spuściła wzrok i położyła na chlebie plasterek szynki.

- A co to ma do rzeczy?

- Daj spokój. - Uśmiechnął się i pogłaskał ją po głowie. - No więc? Motylek? Pączek róży? A może jesteś motocyklistką w przebraniu i pod moimi dżinsami ukrywasz trupa czaszkę?

- To jednorozec - mruknęła niechętnie.

- Dość pomysłowe - cmoknął Cade. Patrzył, jak Bailey kroi kanapkę w równe, precyzyjne trójkąty, ale powstrzymał się od komentarzy.

Czując, że najchętniej zapadłaby się ze wstydu pod ziemię, Bailey pospiesznie zmieniła temat.

- Miałeś mi powiedzieć, czego się dowiedziałeś.

Z niechęcią rozstał się z wizją jednorozca na jej pośladku, ale czuł, że to jedyny sposób, żeby ciśnienie wróciło do normy.

- Masz rację - westchnął. - No więc, broń nie jest zarejestrowana. Moim informatorom nie udało się na razie jej namierzyć. Poza tym, magazynek był pełny.

- A co z tego wynika?

- To znaczy, że nikt jej ostatnio nie używał, albo też została na nowo załadowana.

- Mówisz, że nikt z niej nie strzelał. - Zamknęła oczy i odetchnęła z ulgą. - Więc może wcale jej nie użyłam.

- Powiedziałbym, że to wysoce nieprawdopodobne, żebyś z niej strzelała. Gdy patrzę na ciebie, trudno mi sobie wyobrazić, żebyś mogła posiadać nie zarejestrowaną broń. Może jednak przy pewnej dozie szczęścia uda nam się ją namierzyć i wtedy będziemy mieli jaśniejszy obraz.

- Już i tak dowiedziałeś się dość dużo - powiedziała z podziwem.

Chciałby dłużej napawać się jej uznaniem, wzruszył jednak tylko ramionami i odgryzł wielki kęs kanapki.

- Niestety, większość to informacje negatywne. Nie przyjęto żadnego zgłoszenia kradzieży klejnotu takiego jak ten, który mi pokazałaś, ani takiej sumy pieniędzy. Nasza lokalna policja nie prowadzi żadnych dochodzeń w sprawie kidnapingu albo wzięcia zakładników. W ostatnim tygodniu nie było też morderstw dokonanych za pomocą tego typu broni, jaką miałaś przy sobie.

Przerwał, żeby napić się piwa.

- Nie zgłoszono również zaginięcia kobiety, której rysopis odpowiadałby twojemu.

- Jak to możliwe? - Bailey odłożyła nadgryzioną kanapkę. - Przecież mam ten klejnot i gotówkę. A do tego nie ma mnie, bo zaginęłam.

- Możliwości są różne. - Cade spojrzał jej w oczy. - Może ktoś nie chce, żeby wiadomość o tym się rozeszła. Bailey, mówiłaś, że ci się wydaje, iż ten brylant to tylko część większej całości. A kiedy obudziłaś się z koszmaru, mówiłaś o trzech gwiazdach. Gwiazdy. Diamenty. To może być to samo. Nie wydaje ci się, że mogą być trzy takie kamienie?

- Gwiazdy? - Przycisnęła palce do skroni, jakby nagle rozboleła ją głowa. - Czy mówiłam o gwiazdach? Nie przypominam sobie żadnych gwiazd.

Wszelkie próby pobudzenia pamięci były takie bolesne. Spróbowała więc skoncentrować się na tym, co wydało jej się sensowne.

- Trzy klejnoty tej wielkości i czystości to rzecz niewiarygodnie rzadka. A w komplecie, nawet gdyby pozostałe dwa były mniejsze, i tak nie byłoby na nie ceny. Nie można by ich nawet oszacować... - Nagle zabrakło jej tchu. Zaczęła się dusić. - Cade, nie mogę oddychać!

- W porządku. - Cade poderwał się i pochylił jej plecy tak, że głowa Bailey znalazła się między kolanami, po czym zaczął jej masować grzbiet. - Na razie dość. Nie powinnaś się do niczego zmuszać. Odpręż się.

Zastanawiał się, co takiego zobaczyła, że w jej oczach pojawił się autentyczny strach.

- Przepraszam - wykrztusiła. - Ja naprawdę chcę ci pomóc.

- Ależ pomagasz mi. I na pewno na tym się nie skończy. - Pomógł jej się wyprostować i poczekał, aż odgarnie włosy z poblądłej twarzy. - No, rozchmurz się, przecież to dopiero nasz pierwszy dzień.

- Już wszystko w porządku. - Bailey zaczerpnęła tchu. Co za szczęście, że Cade nie wyśmiał jej słabości. - Kiedy spróbowałam zastanowić się nad tym, o co mnie pytałeś, nagle

ogarnęła mnie panika. Poczułam obłądny strach i jakieś dziwne wyrzuty sumienia. Miałam wrażenie, że pęka mi głowa, a serce zaczęło walić jak szalone. Nie mogłam złapać tchu.

- No to nie będziemy się spieszyć. Czy kiedy rozmawiamy o tym klejnocie, też się tak denerwujesz?

Zamknęła na moment oczy i wyobraziła sobie brylant. Był taki piękny i niezwykły. Czowała przy tym lekki niepokój i lęk, jednak nie tak paraliżujący.

- Nie, to absolutnie nie ten rodzaj reakcji. - Potrząsnęła głową i otworzyła oczy. - Chociaż sama nie wiem dlaczego.

- Będziemy nad tym pracować. - Cade znowu podsunął jej talerz. - A teraz jedz. Zaplanowałem sobie długi wieczór, więc musisz się porządnie najeść.

- Co to za plany?

- Przejeżdżałem obok biblioteki. Wypożyczyłem cały stos książek o kamieniach szlachetnych - informacje techniczne, ilustracje, historie słynnych brylantów, i tak dalej.

- Może coś znajdziemy. - Uradowana Bailey znowu skubnęła kanapkę. - Jeżeli uda nam się zidentyfikować kamień, może uda nam się też zdobyć dane jego właściciela, a wtedy... Och, ale ty przecież nie możesz.

- Czego nie mogę?

- Pracować dziś wieczorem. Masz gdzieś iść z jakąś Pamelą.

- Ja? Cholera... - Cade przypomniał sobie i potarł z westchnieniem oczy.

- Przepraszam, zupełnie o tym zapomniałam. Dzwoniła twoja matka. Byłam akurat w pokoju, więc usłyszałam wiadomość. Martwi się, że nie odpowiadasz na jej telefony. Jest też zaniepokojona, bo nie skontaktowałeś się z Pamelą w sprawie ustaleń co do dzisiejszego wieczoru. Będzie u Dodiego do czwartej. Możesz tam do niej zadzwonić. I jeszcze jedno. Muffy jest na ciebie zła. Dzwoniła zaraz po matce i ma pretensje, że nie przyszedłeś na recital fortepianowy Camilli. I nie ma zamiaru z tobą rozmawiać, póki jej nie przeprosisz.

- Szczęściarz ze mnie - mruknął Cade i zatarł ręce. - To się dobrze składa. Chcesz popracować? - zapytał nagle, a kiedy się uśmiechnęła, potrząsnął głową i ciągnął dalej, z przekonaniem: - Mówię serio. Jesteś o wiele lepiej zorganizowana niż moja poprzednia, nieodżałowanej pamięci sekretarka. Przydałaby mi się w biurze pomoc, a ty też miałabyś jakieś zajęcie.

- Nie wiem nawet, czy umiem obsługiwać komputer.

- Ja za to wiem, że ledwie umiem, więc jesteś o oczko lepsza. Potrafisz odbierać telefony, prawda?

- Oczywiście, ale...

- Wyświadczyłybyś mi wielką przysługę. - Widząc jej wahanie, zaczął nalegać, przekonany, że w ten sposób Bailey wypełni pożytecznie czas, a on będzie ją miał przy sobie.
- Szkoda Czasu na dawanie ogłoszeń i szukanie nowej sekretarki. Gdybyś mogła mi pomóc chociaż przez kilka dni, byłbym ci bardzo wdzięczny.

Pomyślała o jego biurze i doszła do wniosku, że bardziej niż sekretarka przydałby mu się buldożer. Choć może i ona mogłaby coś dla niego zrobić. - Z chęcią ci pomogę.

- To dobrze. Fantastycznie. Posłuchaj, przywiozłem ci kilka rzecz/y.

- Jakich znowu rzeczy?

- Ubrań i tak dalej. - Cade wstał i zebrał talerze. Bailey spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Kupiłeś mi ubranie?

- Nic szczególnego. Musiałem zgadywać rozmiary, ale mam dość wyrobione oko. - Dostrzegł, że znowu przygryzła wargę, i omal nie westchnął. - Tylko kilka podstawowych rzeczy, Bailey. Chociaż w moim ubraniu prezentujesz się bardzo atrakcyjnie, potrzebny ci jakiś własny strój. A przecież nie możesz codziennie chodzić w jedwabnym kostiumie.

- Nie, chyba rzeczywiście nie - powiedziała, wzruszona jego zapobiegliwością. Przecież to ona powinna o tym pomyśleć. - Dziękuję ci, Cade.

- Nie ma za co. Właśnie przestało padać. Co ty na to, żeby zażyć świeżego powietrza? Chodźmy na spacer. Może nam się trochę rozjaśni w głowach.

- Nie mam żadnych butów. - Bailey wstawiła talerze do zmywarki.

- Kupiłem ci tenisówki. Jaki nosisz numer? Sześć i pół? Bailey ze śmiechem zawinęła w folię pozostałe plasterki szynki.

- Skąd mam to wiedzieć?

- Musisz je przymierzyć.

Bailey wsunęła tacę do zmywarki i zamknęła drzwiczki.

- Cade, musisz koniecznie zadzwonić do matki.

- Ha! - zaśmiał się Cade.

- Mówiłam ci, że jest niezadowolona.

- Jeżeli chodzi o mnie, ona zawsze jest niezadowolona. Jestem czarną owcą w rodzinie Parrisów.

Bailey zmoczyła ściereczkę i zaczęła metodycznie przecierać blaty.

- Ale to twoja matka i czeka na twój telefon.

- Wcale nie. Ona tylko czeka, żeby mnie zmusić do zrobienia czegoś, na co nie mam najmniejszej ochoty. A jak tego nie zrobię, zadzwoni do Muffy, tej mojej wiedźmowatej siostry, i nie zostawią na mnie suchej nitki.

- Nie wypada tak mówić o własnej rodzinie. A poza tym, sprawiłeś przykrość Camilli. To twoja siostrzenica, prawda?

- Są takie plotki.

- Przecież to dziecko twojej siostry.

- Nie, Muffy nie ma dzieci, tylko jakieś paskudne stwory. A Camilla to tłusty, płaczliwy mutant.

Bailey wcale się nie roześmiała, tylko wyżeła ściereczkę i rozwiesiła ją nad zlewem.

- To obrzydliwe mówić tak o swojej siostrzenicy. Nawet jeżeli nie lubisz dzieci.

- Ależ bardzo lubię dzieci. - Zaczynało go to bawić. Oparł się o blat i patrzył, jak Bailey sprząta. - Mówię ci, że Camilla nie jest ludzką istotą. Moja druga siostra, Doro, ma dwójkę dzieci, i jakimś dziwnym sposobem młodsze wymknęło się spod kurateli Parrisów. To fantastyczny dzieciak. Uwielbia bejsbol i podsłuchuje. Doro uważa, że potrzebna mu terapia.

Bailey mimowolnie zachichotała.

- Zmyślasz.

- Możesz mi wierzyć, kochanie, ale choćbym nie wiem jak zmyślał na temat klanu Parrisów, nie potrafiłbym wymyślić niczego ani w połowie tak okropnego jak prawda. To zakochani w sobie egoiści i zarozumialcy. Czy masz zamiar umyć teraz podłogę?

Bailey zamknęła usta, które same jej się otworzyły, kiedy słuchała tak lekceważąco niepochlebnej opinii o rodzinie, i z roztargnieniem spojrzała na lśniące kafelki koloru kości słoniowej.

- Dobrze. Gdzie...

- Bailey ja tylko żartowałem. - Chwycił ją za rękę i wyciągnął z kuchni. I właśnie wtedy rozdzwonił się telefon.

- Nie - powiedział, zanim zdążyła otworzyć usta. - Nie odbiorę, i już.

- Wstydz się!

- To tylko samoobrona. Nigdy się nie zgodziłem na ten pomysł z Pamelą. I nie mam zamiaru dać się w to wmanewrować.

- Cade, nie chcę, żebyś sprawiał przykrość swojej rodzinie, nie przychodząc na spotkanie z mojego powodu. Ja sobie tu poradzę.

- Już ci mówiłem, że nie ja ustalałem to spotkanie, tylko moja matka. Natomiast jeżeli chodzi o tamten koncert, mogę użyć ciebie jako pretekstu. Jestem ci niewymownie

wdzięczny. Tak wdzięczny, że potracę całą dniówkę z mojego honorarium. Masz. - Sięgnął po jedną z toreb, które postawił przy drzwiach, i wyjął kartonowe pudełko. - Twoje szklane pantofelki. Jeżeli okaże się, że pasują, idziemy na bal.

Poddała się, usiadła na pierwszym stopniu schodów i otworzyła pudełko. Kiedy zajrzała do środka, uniosła brwi.

- Czerwone tenisówki?

- Spodobały mi się. Są bardzo seksowne.

- Seksowne tenisówki - powtórzyła i zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe, że ucieszyła się jak dziecko z powodu głupiej pary butów. Wchodziły bez trudu i z jakiejś niewiadomej przyczyny Bailey poczuła, że ma ochotę zarazem śmiać się i płakać. - Pasują jak ulał.

- Mówiłem ci, że mam dobre oko. - Uśmiechnął się, patrząc, jak Bailey ściąga równo sznurowadła i wiąże je w schludny węzeł. - Miałem rację. Są bardzo seksy. - Pociągnął ją za rękę, żeby pomóc jej wstać. - Prawdę mówiąc, wyglądasz dość dziwnie.

- Jestem tego pewna. Zwłaszcza że jedyna rzecz, jaka na mnie pasuje, to te tenisówki.

- Wspięła się na palce i już miała go cmoknąć w policzek, ale zmieniła zdanie.

- Lepiej nie - powiedział.

- Może i tak. - Podała mu rękę. - Strasznie chciałabym się przejść. - Wyszła na dwór i spojrzała na Cade'a. - Czy ta Pamela jest ładna?

Zawahał się, a potem uznał, że naga prawda może przemawiać na jego korzyść.

- Jest cudowna - powiedział, po czym zamknął drzwi i objął Bailey ramieniem. - A do tego ma na mnie straszną ochotę.

Ciche, pogardliwe prychnięcie wywołało na jego ustach uśmiech nieklamanej satysfakcji.

ROZDZIAŁ 4

Układanki zawsze go frapowały. Dopasowywanie fragmentów, rozrzucanie ich i ponawianie prób, póki nie weszły na właściwe miejsce - to było jak wyzwanie, które przynosiło mu wielką satysfakcję, a także jeden z powodów, dla których Cade porzucił rodzinne tradycje i obrał sobie inną drogę.

Pełen buntu, był gotów wybrać jakąkolwiek karierę, byle tylko wyłamać się spod wpływów rodziny. Własna agencja detektywistyczna miała jednak jeszcze ten plus, że prócz samodzielności dawała mu szansę nieustannego rozwiązywania układanek, a także - od czasu do czasu - doprowadzenia do tego, żeby dobro zatriumfowało nad złem.

Cade miał bardzo zdecydowaną opinię na temat dobra i zła. Jego zdaniem ludzie dzielili się na dobrych i złych. Istniało prawo, tak jak istniały przestępstwa. Mimo to nie był na tyle naiwny, żeby nie zdawać sobie sprawy, że istnieją też różne odcienie szarości, które trzeba zaakceptować. Prawdę mówiąc, często odwiedzał szare strefy, a nawet je pochwalał. Były jednak granice, których nigdy nie przekroczył.

Cade miał też dość rozsądku, by od czasu do czasu pozwolić sobie na małą rozrywkę.

Ale najbardziej lubił rozwiązywanie zagadek.

Tego ranka po rozstaniu się z Bailey spędził dużo czasu w bibliotece, przeglądając mikrofilmy w poszukiwaniu jakiegokolwiek wzmianki o skradzionym błękitnym diamentcie. Nie miał serca powiedzieć jej, że trudno będzie określić, skąd pochodziła. Przecież w ciągu minionych paru dni mogła przyjechać do Waszyngtonu skądkolwiek. To, że wraz z pieniędzmi i diamentem znalazła się właśnie tutaj, wcale nie musiało oznaczać, że tu mieszka, a nikt nie był w stanie określić, jak długo mógł trwać jej zanik pamięci.

Przejrzał dodatkowe materiały o amnezji, ale nie znalazł niczego, co by mu się przydało. Z tego, co już wiedział, byle drobiazg był w stanie uruchomić jej pamięć, która mogła też nadal pozostać czysta. W tej sytuacji nowe życie Bailey mogło się rozpocząć parę godzin przed tym, nim się poznali.

Cade nie miał najmniejszych wątpliwości, że przeżyła wielki wstrząs lub była świadkiem jakiegoś wyjątkowo tragicznego wydarzenia. I choć to przekonanie można było uważać za jeden z przejawów nieobliczalnej, ekscentrycznej natury Cade'a, on był przeświadczony o absolutnej niewinności Bailey.

Jak kobieta o takich oczach mogłaby popełnić jakiegokolwiek przestępstwo?

Bez względu na odpowiedź był zdecydowany na jedno: zamierzał otoczyć Bailey opieką. Był gotów nawet zaakceptować tę prostą prawdę, że wpadł już w chwili, kiedy ją zobaczył. Kimkolwiek i czymkolwiek była Bailey, była jednak na pewno tą kobietą, na którą czekał.

Miał więc zamiar nie tylko ją chronić, ale i zatrzymać.

Pierwszą żonę wybrał sobie powodowany rozumem i tradycją. A może - tak mu się czasami zdawało - został w to małżeństwo wmanewrowany przez swoich przyszłych teściów, a także przez własną rodzinę. I ten bezduszny związek okazał się katastrofą, właśnie dlatego, że był efektem zimnej kalkulacji.

Od czasu rozvodu, który wstrząsnął wszystkimi poza dwójką najbardziej zainteresowanych. Cade skakał z kwiatka na kwiatek i z wyjątkowym mistrzostwem unikał wszelkich zobowiązań.

A przyczyna tego wszystkiego, której wówczas jeszcze nie znał, ale na którą podświadomie czekał, siedziała właśnie przed nim po turecku na dywanie i oczyma krótkowidza wpatrywała się w książkę o kamieniach szlachetnych.

- Bailey, potrzebujesz okularów.

- Hmm? - mruknęła z nosem w książce.

- To tylko mój domysł, ale zaryzykowałbym twierdzenie, że na co dzień używasz okularów do czytania. Jeżeli jeszcze bardziej zbliżysz twarz do książki, wkrótce sama się w niej znajdziesz.

- Och. - Bailey zamrugała, a potem potarła oczy. - To tylko ten druk. Jest taki drobny.

- Nie przejmuj się. Zajmiemy się tym jutro. Zostaw już tę książkę. Chcesz się napić wina?

- Chyba tak. - Zagryzając dolną wargę, nie przestawała wpatrywać się w tekst, którego litery jakoś nie chciały być ostre.

- Jak dotąd, największym oszlifowanym diamentem jest Gwiazda Afryki. Ma pięćset trzydzieści przecinek dwa karata.

- To brzmi jak bajka - skomentował Cade, wybierając butelkę sancerre'a, schowaną na stosowną okazję.

- Jest osadzony w brytyjskim berle królewskim. A poza tym jest za duży i nie jest niebieski. Na razie nie udało mi się znaleźć nic, co by pasowało do naszego klejnotu. Szkoda, że nie mam refraktometru.

- Czego?

- Refraktometru - powtórzyła, pocierając czoło. - Mierzy się nim wskaźnik refrakcji. - Nagle podchwyciła zdumione spojrzenie Cade'a i zamarła w pół gestu. - Zaraz, zaraz, skąd ja to wszystko wiem?

Cade przyniósł dwa kieliszki i znowu usiadł obok niej na podłodze.

- Co to jest współczynnik refrakcji?

- To względna zdolność załamywania promieni świetlnych. Dla diamentów wynosi jeden. Cade, ja nic z tego nie rozumiem. Skąd ja to wiem?

- Jesteś pewna, że to nie szafir? - Cade sięgnął po klejnot, który spoczywał na jego notatkach jak szklana, ozdobna kula. - Według mnie. Wygląda raczej jak szafir.

- Szafiry są dwułamne. - Bailey nagle się wzdygnęła. - Pewnie jestem złodziejką klejnotów i stąd to wiem.

- Albo jesteś jubilerem czy gemmologiem. Albo prawdziwą bogaczką, która lubi się bawić takimi świecidełkami. - Wręczył jej kieliszek. - Nie wyciągaj zbyt pochopnie wniosków, Bailey. W ten sposób mogą ci umknąć istotne szczegóły.

- Dobrze. - Mimo to zachowała przed oczyma wizję siebie samej, ubranej na czarno, i wspinającej się nocą do okna na piętrze. Pociągnęła duży łyk wina. - Bardzo bym chciała zrozumieć, dlaczego pamiętam niektóre rzeczy. Na przykład refraktometr. Albo „Sokoła maltańskiego”.

- Sokoła maltańskiego?

- Tak, ten film z Bogartem i Mary Astor. Masz tę książkę w swoim pokoju i kiedy ją zobaczyłam, natychmiast przypomniał mi się film. A poza tym róże. Wiem, jak pachną róże, a nie pamiętam, jakie są moje ulubione perfumy. Wiem, co to jest jednorożec, ale nie wiem, dlaczego kazałam go sobie wytatuować.

- Bo to jednorożec. — Usta Cade'a wygięły się w łobuzerskim uśmiechu, a w policzkach ukazały się dołeczki. - Symbol niewinności.

Wzruszyła ramionami i szybko dopiła wino. Cade podał jej swój kieliszek, a sam podniósł się i sięgnął po butelkę.

- I jeszcze ta melodia, która dźwięczała mi w głowie, kiedy brałam prysznic. Nie wiem, co to było, ale nie mogłam się od niej uwolnić. - Znowu sączyła wino, marszcząc z wysiłkiem brwi, a potem cicho zanuciła.

- Dziewiąta Symfonia Beethovena - powiedział Cade. - Beethoven, Bogart i mityczne zwierzę. Z każdą chwilą stajesz się bardziej fascynująca, Bailey.

- A w ogóle, co to za imię, Bailey? - zapytała, energicznie wymachując ręką, w której trzymała kieliszek. - Czy to moje imię czy nazwisko? Kto by chciał uszczęśliwić dziecko takim imieniem? Wolałabym się nazywać Camilla.

Cade znowu się uśmiechnął i zastanowił, czy nie powinien usunąć wina z zasięgu jej ręki.

- O, na pewno byś nie wolała. Możesz mi wierzyć. Bailey zdmuchnęła włosy, które opadały jej na czoło, a potem wydeła usta.

- Opowiedz mi coś o diamentach - poprosił.

- Diamenty to najlepsi przyjaciele dziewczyny. - Bailey zachichotała, a potem spojrzała na Cade'a rozpromienionym wzrokiem. - Czy ja to wymyśliłam?

- Nie, kochanie, to nie ty. Jest taka piosenka. Śpiewała ją Marilyn Monroe. - Ostrożnie wyjął jej z rąk na wpół opróżniony kieliszek i pomyślał, że Bailey ma bardzo słabą głowę. - Powiedz mi, co wiesz o diamentach.

- Lśnią i migoczą, Wyglądają, jakby były zimne, i takie też są w dotyku. W ten właśnie sposób łatwo je odróżnić od podróbek ze szkła. Szkło jest ciepłe, a diamenty są zimne. A to dlatego, że są znakomitym przewodnikiem ciepła. Zimny ogień. - Leżała na plecach, z zamkniętymi oczyma. Po chwili podjęła swą opowieść. - To najtwardsza substancja, jaką znam. Dziesięć w skali twardości Mohsa. Diamenty o największej wartości są białe. Zabarwienie żółtawe albo brązowe uważane jest za wadę. - O mój Boże, pomyślała z westchnieniem, czując, że kręci jej się w głowie. - Niebieskie, zielone i czerwone diamenty są bardzo rzadkie i osiągają bardzo wysoką cenę. Ich zabarwienie spowodowane jest obecnością pierwiastków innych niż czysty węgiel.

- Dobrze. - Patrzył uważnie na jej twarz, wygięte usta, zamknięte oczy. Równie dobrze mogłaby mówić o swoim kochanku. - Mów dalej.

- W warunkach ziemskiego ciężenia diamenty wahają się między trzy przecinek piętnaście a trzy przecinek pięćdziesiąt trzy, ale wartość dla czystego kryształu prawie zawsze osiąga trzy przecinek pięćdziesiąt dwa. Potrzeba nam blasku i ognia - westchnęła, przeciągając się leniwie.

Jego wzrok mimowolnie ześlizgnął się na jej mały, jędrny biust, wyraźnie rysujący się pod koszulą.

- O, tak, mogę się o to założyć - mruknął.

- Diamenty nie oszlifowane mają matowy połysk, ale kiedy się je oszlifuje, lśnią tak pięknie. - Bailey przewróciła się na brzuch, zgięła nogi w powietrzu i skrzyżowała kostki. -

Technicznie określa się to jako twardość. Nazwa diament pochodzi od greckiego słowa *adamas*, czyli „stal”. W jego sile jest tyle piękna.

Znowu otworzyła oczy i spojrzała na niego ciężkim, chmurnym wzrokiem. A potem, zanim zdążył się zorientować, już siedziała mu na kolanach.

- Jesteś taki silny. Cade. I taki piękny. Kiedy mnie całowałeś, miałam wrażenie, jakbyś chciał mnie połknąć, a ja nie mogłam nic na to poradzić. - Westchnęła i wygodniej się rozsiadła, a potem wyznała: - Sprawilo mi to wielką przyjemność.

- Coś podobnego. - Cade poczuł, że krew zaczyna mu z wolna odpływać z głowy do lędźwi. Ostrożnie nakrył dłońmi ręce Bailey, które już spoczywały na jego piersi.

- Myślę, że dobrze nam zrobi kawa - powiedział.

- Wiem, że chcesz mnie znowu pocałować.

- Owszem. I to równie mocno, jak pragnę zaczerpnąć powietrza. - Miała takie dojrzałe, chętne usta, były tak blisko... A oczy miała zamglone i pociemniałe.

I była też lekko wstawiona.

- No to zatrzymajmy się przy tym na chwilę - zachichotała. Próbował ją łagodnie odsunąć, ale ona była nieustępliwa i błyskawicznie otoczyła go w pasie nogami.

- Nie wydaje mi się... Posłuchaj... - Pomyślał, że jak na damę w tarapatach okazała się całkiem zręczna i bystra. W samą porę chwycił ją za ręce, bo już zamierzała zdjąć koszulę. - Mówię ci, przestań.

Wcale nie chciał tego powiedzieć. Przeraził się, że chyba postradał zmysły.

- Jak myślisz, czy będę dobra w łóżku? - zapytała z westchnieniem, po czym oparła mu głowę na ramieniu i dodała: - Mam nadzieję, że nie jestem oziębła.

- Na to raczej nie ma szans.

Cade poczuł, że ciśnienie mu podskoczyło. To z powodu Bailey, która delikatnie ssała jego ucho. Sięgnęła pod jego koszulę i zaczęła gładzić go po plecach, lekko drapiąc paznokciami.

- Masz taki miły smak - stwierdziła z aprobatą, muskając ustami jego szyję. - Tak mi gorąco. A tobie też?

Cade zaklął, a potem wpił się ustami w jej wargi.

Bailey smakowała jak dojrzały, rozgrzany owoc. Zatracił się w niej, w tych jej gorących, cudownych ustach.

Była tak uległa, a zarazem tak kusicielska. Kiedy odchyliła głowę, poddając szyję pod jego pocałunki, żaden święty w niebie nie byłby w stanie jej się oprzeć. Przesunął wargami po

tej gładkiej, białej szyi. Słyszał westchnienia Bailey i czuł, że zaprasza go każdym swoim grzesznym gestem.

Mógł ją teraz wziąć bez trudu. Popchnąłby ją po prostu na dywan i zanurzył się w jej ciało. Już sobie wyobrażał tę aksamitną głębię i rytm, który byłby tylko ich własnym rytmem.

Ale choć wiedział, że byłoby to właściwe i cudowne, wiedział też, że nie mogło się to stać tutaj i teraz.

- Nigdy nie pragnąłem nikogo tak jak ciebie. - Zanurzył dłoń w jej włosy i odwrócił jej głowę tak, by ich oczy się spotkały. - Do diabła, Bailey, skup się na chwilę. Spójrz na mnie.

Przecież nie widziała nic innego. I nie chciała też niczego innego. Ciało miała lekkie jak wiatr, a umysł wyzuty ze wszystkiego, prócz Cade'a.

- Pocałuj mnie jeszcze raz, Cade. Robisz to tak cudownie. Modląc się o to, by starczyło mu siły woli, nachylił się nad nią i spróbował zapanować nad własnym wzburzonym oddechem.

- Następnym razem, kiedy cię pocałuję, będziesz wiedziała, o co chodzi. - Wstał, pociągając ją za sobą.

- Kręci mi się w głowie. - Chichocząc, położyła mu głowę na ramieniu.

- A komu się nie kręci? - Z heroicznym samozaparciem doprowadził Bailey do sofy i pomógł jej się położyć. - Zdrzemnij się trochę.

- Dobrze. - Bailey posłusznie zamknęła oczy. - A ty tu zostań. Kiedy jesteś przy mnie, czuję się taka bezpieczna.

- Oczywiście, że tu będę - zapewnił. Przeczesał palcami włosy i patrzył, jak Bailey zapada w sen. Przyjdzie jeszcze taki dzień, że oboje będą się z tego śmiali, pomyślał. Może wtedy, kiedy będą mieli wnuki.

Gdy uznał, że Bailey śpi już głęboko, zabrał się znowu do pracy.

Kopała w ziemi. Słońce świeciło jak latarka na szafirowym niebie. Otaczający ją krajobraz był skalisty - w spalonych odcieniach czerwieni, brązu i lawendy. Nad spękaną ziemią bladozielone krzewy wydzielaly cierpki, gryzący zapach szatwi. Pracowała z. zapałem, łopatką i małym młoteczkim.

W cieniu spiczastego głazu siedziały dwie kobiety i przyglądały jej się uważnie. Była bardzo z siebie zadowolona, a kiedy spojrzała na nie z uśmiechem, poczuła się niemal szczęśliwa.

Jedna z kobiet miała krótką, rudą czuprynę, połyskującą jak miedź, oraz drobną twarz o ostrych, lisich rysach. A choć oczy były przysłonięte słonecznymi okularami, Bailey doskonale wiedziała, że są ciemnozielone.

Druga miała włosy czarne jak heban, ukryte pod szerokim słomkowym kapeluszem, którego rondo zdobiły drobne, czerwone kwiatki. Gdyby go zdjęła, nie skrepowane niczym włosy opadłyby gęstą falującą kaskadą aż do pasa.. Stanowiły doskonałe uzupełnienie przepięknej twarzy o bladokremowej cerze i niewiarygodnie błękitnych oczach.

Patrząc na nie, Bailey poczuła miłość, która brała się z poczucia silnej więzi oraz wspólnoty. Głosy ich brzmiały w jej uszach jak muzyka - jak odległa piosenka, z której udało jej się wychwycić jedynie luźne fragmenty.

Mam ochotę na zimne piwo.

Cokolwiek, byle zimne.

Jak myślisz, kiedy ona wreszcie skończy ?

Do końca życia. Na przyszły rok do Paryża. Zdecydowanie. Trzeba ją trzymać z daleka od tych skał.

No i od tych lizusów.

Kategorycznie.

Na myśl o tym, że o niej mówki, uśmiechnęła się łagodnie. Obchodziła je tak bardzo, że wciąż o niej rozmawiały. Pojedzie Z nimi do Paryża. Teraz jednak natknęła się na bardzo ciekawą formację i miała nadzieję, że znajdzie coś godnego uwagi, coś, co będzie mogła zabrać ze sobą i przestudiować, a potem przerobić na coś ładnego dla przyjaciółek.

Trzeba mieć do tego cierpliwość i dobre oko. Podzieli się z przyjaciółkami tym, co uda jej się dzisiaj znaleźć.

A potem, nagle, niebieskie kamienie dostownie posypały jej się na rękę. Trzy absolutnie doskonałe, niebieskie diamenty, o niebywałej wręcz, wielkości i połysku. Patrzyła na nie z przyjemnością raczej niż - z zaskoczeniem, obracając je w rękę. I wtedy ciało jej wypełniła dziwna moc i siła.

Burza nadciągała szybko i nieuchronnie, zastaniając prażące słońce. Czarne cienie zaległy nad ziemią. Teraz czuła już tylko panikę i gwałtowną potrzebę pośpiechu. Szybko, szybko. Kamień dla każdej z nich, zanim będzie za późno. Zanim ciemność rozedrze błyskawica.

Było już jednak za późno. Błyskawica boleśnie ją trafiła, klując jak ostry nóż, a ona biegła, biegła na oślep przed siebie.

Była sama i pełna przerażenia, wokół niej zamykały się ściany, a błyskawice goniły ją, parząc swym oddechem...

Obudziła się, ciężko łapiąc oddech, i natychmiast się poderwała. Co też zrobiła najlepszego! O Boże, jak mogła to zrobić! Zaczęła się kołysać, z rękoma przyciśniętymi do ust, czekając, aż minie pierwszy wstrząs.

W pokoju panowała cisza. Nie było grzmotów ani błyskawic, nie zagrażała jej burza. W kącie, w smudze światła padającego od stojącej lampy, Cade drzemał w fotelu. Na kolanach miał otwartą książkę.

Na jego widok od razu się uspokoiła. Drzemał wśród papierów, rozsypanych wokół wyciągniętych nóg, które skrzyżował w kostkach. Obok, na stoliku, stał kubek po kawie.

Nawet śpiący sprawiał wrażenie mocnego, solidnego mężczyzny. Jednak jej nie zostawił. Stłumiła chęć, by podkraść się bliżej, wspiać mu się na kolana i spokojnie zasnąć w jego objęciach. Cade pociągał ją, wzbudzał w niej takie burzliwe uczucia. I nie miało to żadnego znaczenia, że znała go niecałą dobę. W końcu samą siebie znała niewiele dłużej.

Odrzuciła włosy i spojrzała na zegarek. Była trzecia nad ranem. Bailey przeciągnęła się, a potem podparłszy rękami głowę, zapatrzyła się na Cade'a. Doskonale pamiętała ten wieczór - w jej pamięci nie było żadnych luk i przeskoków. Z zażenowaniem i zdumieniem przypomniała sobie, że się rzuciła na niego.

Miał rację, że ją powstrzymał, zanim wszystko wyniknęło im się spod kontroli. Wiedziała, że miał rację.

Mimo to żałowała, że nie wziął jej wtedy tutaj, na podłodze, nim miała czas pomyśleć o tym co dobre, a co złe i o wszystkich tego konsekwencjach.

Część pustki, którą w sobie odczuwała, wkrótce się zapełni. Wtedy jej potrzeby zostaną zaspokojone.

Opadła z westchnieniem na plecy i zapatrzyła się w sufit: Cade miał rację, że ją powstrzymał, powtórzyła w duchu. Musiała sobie wszystko przemyśleć.

Zamknęła oczy, nie żeby szukać snu, lecz by przywołać pamięć. Kim były te kobiety, które jej się przyśniły? I gdzie były teraz? Nie znalazła jednak odpowiedzi, bo nie minęło wiele czasu i znowu zapadła w sen.

Cade obudził się następnego ranka sztywny jak deska. Kiedy się przeciągnął, usłyszał suchy trzask kości, a gdy przesunął rękami po policzkach, poczuł świeży, kłujący zarost. Oprzytomniał, otworzył oczy i spojrzał na sofę. Była pusta.

Można by pomyśleć, że mu się to wszystko przyśniło, gdyby nie te książki i papiery porzucane po podłodze. Choć, prawdę mówiąc, to rzeczywiście było jak sen - piękna, skłopotana kobieta bez przeszłości, która w jednej chwili wkroczyła w jego życie i w jego serce. Teraz, w świetle poranka, zastanawiał się, na ile sam idealizował tę więź, która się

między nimi zrodziła. Jednak do głowy przychodziło mu tylko jedno określenie: miłość od pierwszego wejrzenia.

Niestety, Bailey nie potrzebowała jego zachwyków. Dla niej musiał teraz zachować trzeźwy umysł. Na nic się zda rozpamiętywanie, jak oplotła go swoimi kształtnymi nogami i prosiła, żeby się z nią kochał. Teraz powinien uruchomić zdolność logicznego rozumowania.

Żeby zacząć znów funkcjonować, musi się koniecznie napić kawy.

Wstał i masując zeszywniały kark, ruszył w stronę kuchni.

Bailey już tam była, śliczna jak obrazek i świeża jak poranek. Złote włosy zaczesła gładko do tyłu i ściągnęła na karku gumką. Miała na sobie kupione przez niego spodnie w granatowo - białe paski oraz białą, płócienną bluzę. Stała przy kuchennym blacie, z kubkiem parującej kawy w ręku, i patrzyła na ogród. Między dwoma klonami zawieszono hamak i kwitły właśnie róże.

- Ale z ciebie ranny ptaszek.

Drgnęła, zaskoczona, a potem odwróciła się z uśmiechem. Na jego widok serce mocniej zabiło jej w piersi.

- Zaparzyłam kawę. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Ależ, najdroższa, zawdzięczam ci życie - powiedział z patosem, sięgając po kubek.

- Skoro zaparzyłam kawę, to znaczy, że wiem, jak się to robi. Pewne rzeczy przychodzą mi całkiem naturalnie. Nie muszę się nawet nad tym zastanawiać. Ta kawa jest chyba trochę za mocna. Widocznie lubiłam mocną kawę.

Cade już pił czarny, aromatyczny płyn, delektując się jego smakiem i zapachem.

- Pyszna - pochwalił.

- To dobrze. Nie wiedziałam też, czy mam cię zbudzić, czy nie. Nie wiem, o której wychodzisz do biura, i ile potrzebujesz czasu na to, żeby zjeść śniadanie.

- Dzisiaj jest sobota. Mamy długi, wakacyjny weekend.

- Długi weekend?

- Czwartego lipca. - Czując, że jego organizm zaczyna już, lepiej funkcjonować pod wpływem zbawiennego działania kofeiny, Cade ponownie napełnił swój kubek. - No wiesz, fajerwerki, sałatka ziemniaczana, parady orkiestr.

- Ach, tak. - W ułamku sekundy zobaczyła małą dziewczynkę na kolanach matki i kolorowe światła eksplodujące na czarnym niebie. - Oczywiście. Rozumiem, że nie idziesz do pracy. Masz jakieś plany na ten weekend?

- Owszem, mam. Chcę, żebyśmy wpadli do biura koło południa. Chyba nie uda nam się zdziałać zbyt wiele, bo wszystko jest zamknięte, ale moglibyśmy przynajmniej zrobić jakiś taki porządek.

- Ale ja nie chcę, żebyś dla mnie rezygnował z wolnego weekendu. Z chęcią pójde i posprzątam w biurze, a ty mógłbyś...

- Bailey, przecież to nasza wspólna sprawa. Odstawiła kubek i splotła palce.

- Dlaczego?

- Uważam, że tak musiało się stać. Według mnie robisz instynktownie to, czego nie potrafisz rozwickłać rozumem. - Jego zielone oczy prześlizgnęły się po twarzy Bailey, a potem spoczęły na jej ustach. - Lubię myśleć, że jest jakiś powód, dla którego wybrałaś akurat mnie. I że będzie to z korzyścią dla nas obojga.

- Dziwię się, że mówisz coś takiego po tym, jak zachowałam się wczoraj wieczorem. Zaczynam się obawiać, że wieczorami zamieniam się w barową ćmę i podrywam obcych mężczyzn.

Cade zaśmiał się. Lepiej się śmiać niż płakać, pomyślał.

- Bailey, byłem świadkiem, jak podziałał na ciebie jeden kieliszek wina, i mocno wątpię w to, że mogłabyś spędzać dużo czasu w barach. W życiu nie widziałem, żeby ktoś upijał się w tym tempie.

- To chyba żaden powód do dumy. - Chłodny, wyniosły ton sprawił, że znowu zachciało mu się śmiać.

- Ale nie ma się też czego wstydzić. A poza tym, nie podrywałaś jakiegoś obcego faceta, tylko mnie. - W oczach Cade'a pojawiły się wesole iskierki. - Wiemy oboje, że z alkoholem czy bez dawałaś wyraz własnym uczuciom.

- No to czemu... czemu nie skorzystałaś z okazji?

- Bo to byłoby właśnie to, o czym mówisz. Nie mam nic przeciwko okazjom, lubię je mieć, ale nie lubię ich wykorzystywać. Masz ochotę na śniadanie?

Potrząsnęła głową i poczekała, aż Cade przyniesie paczkę płatków i głęboki talerz.

- Cenię sobie twoją powściągliwość.

- Naprawdę? - Uniósł brwi.

- No, może niezupełnie.

- To dobrze. - Odetchnął z ulgą i wyjął mleko z lodówki. Nalał sobie na talerz, a potem dosypał tyle cukru, że Bailey otworzyła oczy ze zdumienia.

- To musi być strasznie niezdrowe - powiedziała.

- Żyję dla ryzyka. - Cade zaczął jeść na stojąco. - Później możemy pojechać do centrum i pospacerować trochę wśród turystów. Może zobaczysz coś, co odblokuje twoją pamięć.

- W porządku. - Bailey zawahała się, a potem sięgnęła po krzesło. - Tak naprawdę, nie wiem nic o twojej pracy ani o twojej klienteli. Ale wydaje mi się, że doskonale sobie radzisz.

- Uwielbiani tajemnice. - Cade wzruszył ramionami, a potem dosypał sobie płatków. - Ty jesteś moim pierwszym przypadkiem amnezji, jeżeli o to ci chodzi. Zazwyczaj zajmuję się oszustwami ubezpieczeniowymi i sprawami rodzinnymi. To też może być interesujące.

- Od jak dawna jesteś detektywem?

- Od czterech lat. A raczej od pięciu, jeżeli policzyć ten rok, który przepracowałem u Guardiania. To taka duża firma ochroniarska w centrum Waszyngtonu. Eleganckie towarzystwo. Ale ja wolę pracować na własną rękę.

- Czy kiedykolwiek musiałeś do kogoś... strzelać?

- Nie. A szkoda, bo jestem w tym cholernie dobry. - Kątem oka dostrzegł, że Bailey przygryza wargę, więc szybko potrząsnął głową. - Spokojnie, gliny i detektywi często łapią przestępców, nawet nie wyciągając broni. Nabiłem sobie i innym kilka guzów, ale na ogół wszystko polega na wydeptywaniu ścieżek, ciągłych próbach i telefonach. Twój problem to kolejna zagadka. Chodzi o to, żeby znaleźć wszystkie kawałki i ułożyć z nich całość.

Miała nadzieję, że Cade się nie mylił. Że to wszystko rzeczywiście jest takie proste, zwyczajne i logiczne.

- Znowu miałam dziwny sen. Śniły mi się dwie kobiety. Jestem pewna, że je znałam.

Cade przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciw Bailey, a ona opowiedziała mu to, co zapamiętała.

- Wygląda na to, że byłaś na pustyni - odezwał się, kiedy zapadła cisza. - Może w Arizonie albo w Nowym Meksyku.

- Tego nie wiem. Ale wiem, że ani trochę się nie bałam. Byłam szczęśliwa, bardzo szczęśliwa. Aż do chwili, kiedy rozpętała się burza.

- Jesteś pewna, że znalazłaś trzy kamienie?

- Tak, prawie identyczne, choć nie całkiem. Miałam je. Były takie piękne i niezwykle, ale nie mogłam zachować ich wszystkich. To było bardzo ważne. - Bailey westchnęła. - Nie mam pojęcia, co z tego było prawdziwe, a co tylko symboliczne, jak to często bywa we śnie.

- Jeżeli jeden kamień jest prawdziwy, mogą istnieć jeszcze dwa. - Cade ujął ją za rękę. - Jeżeli jedna kobieta jest prawdziwa, mogą istnieć jeszcze dwie. Musimy je tylko odnaleźć.

Zjawili się w biurze po dziesiątej. Brudne, zabałaganione pomieszczenie wydało się Bailey jeszcze bardziej szokujące. Mimo to z uwagą słuchała, kiedy próbował jej wytłumaczyć, jak przepisywać jego notatki, jak prowadzić dokumentację i jak obsługiwać telefon oraz intercom.

Kiedy w końcu zostawił ją, a sam zamknął się w swoim gabinecie, Bailey rozejrzała się po pokoju. Zobaczyła przewrócony filodendron, rozsypaną ziemię i potłuczone szkło, lepkie plamy po kawie oraz kurz, który można było zgarniać szuflą.

Uznała, że przepisywanie będzie musiało poczekać, bo nie sposób skoncentrować się w takim bałaganie.

Cade wykonał większość zadań, nie ruszając się z biurka. Zadzwoił do agencji turystycznej i pod pretekstem planowania wakacji zapytał o pustynie, na których dozwolone było kopanie kamieni. Pracownicy biura wyjaśnił, że znalazł sobie nowe hobby.

Z lektury przeczytanej ubiegłej nocy zdążył się dowiedzieć, że są ludzie, którzy pasjonują się wykopywaniem kryształów i drogocennych kamieni. To właśnie musiała robić Bailey w swoim śnie.

Może pochodziła z zachodniej części Stanów i tylko przyjechała do Waszyngtonu. Jakkolwiek było, należało zbadać i ten trop.

Pomyślał, że powinien zadzwonić do gemmologa i poprosić o ekspertyzę. Doszedł jednak do wniosku, że lepiej nie ryzykować, na wypadek gdyby Bailey rzeczywiście weszła w posiadanie tego klejnotu w sposób nielegalny.

Wyjął fotografie diamentu zrobione ubiegłej nocy i rozłożył je na biurku. Zastanowił się, jak dużo mógłby powiedzieć gemmolog na podstawie tych zdjęć.

Może jednak warto spróbować? We wtorek, kiedy wszystko znowu będzie otwarte, spróbuje i tego.

Miał również kilka innych pomysłów.

Wreszcie, była też pewna droga, bardzo ważna, od której należało zacząć. Sięgnął znowu po słuchawkę i wykręcił numer. Detektywa Micka Marshalla złapał w domu.

- A niech cię. Cade, przecież jest sobota. Mam dwudziestu umierających z głodu gości w ogrodzie i hamburgery na grillu.

- Wydajesz przyjęcie, a mnie nie zaprosiłeś? Jestem zdruzgotany.

- Gliny nie mają wstępu na moje przyjęcia.

- No wiesz, zraniłeś głęboko moje uczucia. Czy chociaż zasłużyłeś na tę whisky?

- Odciski palców, które mi przysłałeś, nie figurują w żadnych kartotekach. Nic nie znalazłem.

Cade poczuł ulgę, ale był też lekko zawiedziony.

- W porządku. Masz jakieś nowe informacje o skradzionym kamieniu?

- Może gdybyś mi powiedział, o jaki kamień chodzi...

- Błyszczący. Gdyby było jakieś zgłoszenie, wiedziałbyś o tym.

- Nie było żadnych zgłoszeń. Chyba ty sam uroiłeś sobie jakieś kamienie, Parris. A teraz przepraszam, ale muszę nakarmić zgłodniały tłum.

- Jeszcze wrócimy do tej sprawy. I do mojej whisky. Odłożył słuchawkę i zamyślił się.

W snach Bailey ciągle powtarzały się błyskawice. Poprzedniej nocy, nim zjawiała się w jego biurze, nad miastem przeszło kilka burz. Może wytłumaczenie jest bardzo proste. Jedną z ostatnich rzeczy, jakie Bailey zapamiętała, mogły być grzmoty i błyskawice. Może po prostu chorobliwie bała się burzy.

Wspominała też coś o ciemnościach. Tamtej nocy w centrum parokrotnie wyłączano prąd. Zdążył już to sprawdzić. Może ta ciemność była dosłowna.

Domyślał się, że nie spędziła tamtej nocy na dworze, bo ani słowem nie wspomniała o deszczu, albo że zmokła. Gdzie była wobec tego? W jakimś domu? W biurowcu? Jeżeli to, co ją spotkało, zdarzyło się w noc przed jej przyjściem do biura, musiało to być w Waszyngtonie.

Ale nie było żadnego zgłoszenia o zaginięciu lub kradzieży klejnotu.

W jej snach ciągle powtarzała się trójka. Trzy kamienie. Trzy gwiazdy. Trzy kobiety. Trójką.

Prawdziwy czy symboliczny?

Zaczął znowu robić notatki, w dwóch kolumnach. W jednej zapisywał sny Bailey jako dosłowne wspomnienia, w drugiej próbował wyjaśnić ich symboliczne znaczenie.

A im dłużej pracował, tym bardziej był skłonny przypuszczać, że chodzi o kombinację obu tych rzeczy.

Zaciskając zęby, zmusił się do wykonania ostatniego telefonu. Jego siostra Mutry przez swoje małżeństwo weszła w jedną z najstarszych i najbardziej uznanych firm jubilerskich - Westlake Jewelers.

Kiedy Cade wyszedł z gabinetu, w uszach wciąż mu brzęczało, a nerwy miał w strzępach, jak zwykle po rozmowie z siostrą. Na szczęście udało mu się załatwić to, o co mu chodziło.

Na widok wysprzątanej sypialni i Bailey, która energicznie stuknęła w komputerową klawiaturę, natychmiast poprawił mu się humor.

- O moja dobra wróżko! - Chwycił ją za rękę i szarmancko ucałował. - Jesteś chyba cudotwórczynią.

- Tu było tak obrzydliwie brudno.

- No, chyba tak. Bailey zmarszczyła brwi.

- W szufladach natknęłam się na zepsute jedzenie.

- Wierzę ci. Widzę też, że umiesz pracować na komputerze. Bailey spojrzała na monitor.

- Najwyraźniej tak. To było jak zaparzanie kawy dziś rano. W ogóle nie musiałam się nad tym zastanawiać.

- Skoro wiesz, jak na nim pracować, pewnie potrafisz go też wyłączyć. Chodź, przejdziemy się po mieście. Kupię ci loda.

- Ale ja dopiero zaczęłam przepisywać.

- Praca nie zajac, nie ucieknie. - Cade chciał wyłączyć komputer, ale trzepnęła go po palcach.

- Jeszcze nie zabezpieczyłam. - Mruczac pod nosem, zaczęła błyskawicznie stukać w klawisze, a Cade patrzył na nią z najwyższym zachwytem. - Muszę mieć parę godzin, żeby doprowadzić to biuro do porządku.

- Wrócimy tu. Pospacerujemy przez parę godzin, a potem czeka nas ciężka praca.

- Jaka praca? - zapytała, kiedy pociągnął ją za rękę.

- Załatwiłem dostęp do refraktometru. - Niemal siłą wyciągnął ją za drzwi. - Jakie lubisz lody?

ROZDZIAŁ 5

Twój szwagier jest właścicielem Westlake Jewelers? - spytała Bailey.

- Nie osobiście. To rodzinna firma.

- Rodzinna firma. - Bailey wciąż kręciło się w głowie. Dopiero co sprzątała zepsute jedzenie z szuflad w biurze Cade'a, a już stała na stopniach Lincoln Memorial, z wafelkiem truskawkowych lodów w ręku. Samo to było dość męczące. A brawura, z jaką Cade przebiegał się przez zatłoczone ulice, ścinając zakręty i przyspieszając na żółtych światłach, przyprawiła ją o zawrót głowy. Czowała się kompletnie zdezorientowana.

- Tak. - Cade zaczął z apetytem pochłaniać podwójną porcję lodów orzechowych. Jej kupił truskawkowe, ponieważ nie potrafiła powiedzieć, jakie lubi, a on uważał, że truskawki to typowo dziewczęcy smak. - M a j a filie w całym kraju, ale sklep firmowy tutaj. Muffy poznała Ronalda na imprezie charytatywnej. Rozgrywali turniej tenisa i ona trafiła go piłką w głowę. Bardzo romantyczne.

- Rozumiem. - Albo przynajmniej próbowała zrozumieć. - I to on zgodził się, żebyśmy użyli jego refraktometra?

- Nie, to Muffy się zgodziła. Ronald zawsze robi to, co ona mu każe.

Bailey oblizwała wafelek i zaczęła przyglądać się turystom, głównie rodzinom z dziećmi, wspinającym się po schodach Lincoln Memoriał.

- Myślałam, że jest na ciebie wściekła.

- Wybiłem jej to z głowy. To znaczy, udało mi się ją przekupić. Jej córka, Camilla, oprócz fortepianu bierze też lekcje baletu. W przyszłym miesiącu będzie miała występ. Wybiorę się obejrzeć, jak będzie robiła piruety w kostiumie baletnicy, a to przykry widok, mogę cię zapewnić.

Bailey mimowolnie się zaśmiała.

- Ale ty jesteś wstrętny.

- Widziałem Camillę w stroju baletnicy, a ty nie. Zapewniam cię, że jestem dla niej bardzo łaskawy. - Pomyślał, że lubi patrzeć na Bailey, jak idzie obok niego, uśmiechnięta, liżąc loda. - Poza tym, jest jeszcze Chip. To drugi mutant mojej siostry. Chip gra na pikolo.

- Teraz to już zmyślasz.

- Sam nie potrafiłbym wymyślić czegoś takiego. Moja wyobraźnia ma pewne granice. Za kilka tygodni zasiądę w pierwszym rzędzie na koncercie Chipa i jego orkiestry. - Cade aż się wzdrygnął. - Muszę sobie kupić wtyczki do uszu. Usiądźmy na chwilę.

Usiedli na gładkich, kamiennych stopniach, pod pomnikiem mądrego, zadumanego prezydenta. Zerwał się lekki wiatr, ale od rozgrzanych chodników wciąż bił duszny żar. Bailey widziała falujące powietrze, które przypominało jej fatamorganę na pustyni.

Było coś dziwnie znajomego w tych tłumach ludzi, którzy przechodzili obok, pchając wózki z dziećmi i robiąc zdjęcia, w mieszaninie głosów i akcentów, w zapachu potu, spalin i kwiatów na klombach wokół pomnika, w widoku sprzedawców, którzy natarczywie zaczepiali przechodniów, usiłując im wcisnąć swój towar.

- Musiałam już tu kiedyś być - powiedziała Bailey. - Te wspomnienia są jakieś niesynchronizowane, jakby to był sen, ale nie mój, tylko kogoś innego.

- Z czasem odzyskasz pamięć. - Cade odgarnął jej z twarzy kosmyk. - Przecież już zaczęłaś sobie przypominać jakieś fragmenty. Umiesz zaparzyć kawę, potrafisz obsługiwać komputer, może uda ci się też poprowadzić biuro.

- A może z zawodu jestem sekretarką?

Cade był przekonany, że nie. Sposób, w jaki wyrecytowała mu poprzedniego wieczora wszystkie informacje na temat diamentów, podsunął mu inną myśl. Chciał ją sam rozważyć, zanim podzieli się nią z Bailey.

- Jeżeli jesteś sekretarką, podwoję ci pensję, byłeś tylko zgodziła się u mnie pracować.

- Wstał i podał Bailey rękę. - Chodź, musimy jeszcze zrobić zakupy.

- A co chcesz kupić?

- Okulary dla ciebie. Powłóczymy się trochę po sklepach.

To było zupełnie nowe doświadczenie - ruchliwe centrum handlowe, pełne ludzi polujących na specjalne okazje. Od rana trwała wakacyjna wyprzedaż, Mimo upału wywieszono zimowe palta, przecenione o dwadzieścia procent, a moda jesienna wyparła przebrane resztki letnich kolekcji.

Cade zaprowadził Bailey do sklepu, w którym obiecywali zrobić okulary w ciągu godziny, i wypełnił zamówienie, a tymczasem Bailey oglądała gabloty z oprawkami.

Kiedy w rubrykę „nazwisko” wpisał „Bailey Parris” i podał swój adres, ogarnęło go dziwnie miłe uczucie. Wydało mu się to takie naturalne. A gdy przyszedł optyk, żeby zabrać Bailey na zaplecze, na badanie wzroku - bezpłatne, jeżeli kupowało się też oprawki - pocałował ją w policzek. Po niespełna dwóch godzinach siedziała w jego samochodzie, oglądając nowe okulary w ładnej, cieniutkiej oprawce i badając zawartość pokaźnej torby, pełnej tajemniczych zakupów.

- Kiedy zdążyłeś to wszystko kupić? - Bailey, pełna podniecenia, przesunęła dłonią po eleganckiej, skórzanej torebce.

- To sprawa strategii i planowania. Wiedziałem, czego potrzebujesz, a poza tym nikt mi nie przeszkadzał.

Bailey zajrzała do firmowej torby ze sklepu z bielizną. Błysnął czarny jedwab. Niecierpliwym gestem wyjęła skąpą przybraną koronkami koszulkę.

- Przecież musisz w czymś spać - odpowiedział na jej pytające spojrzenie Cade. - To była wyprzedaż. Rozdawali to niemal za darmo.

Może nie wiedziała, kim jest, ale była pewna, że potrafi odróżnić zwykłą pizamę od seksownego, nocnego negliżu. Odłożyła jedwab do torby. Sięgnęła głębiej i natrafiła na woreczek pełen kolorowych kamieni.

- Ach, jakie śliczne!

- Natknąłem się na sklepik z minerałami, więc kupiłem ci trochę. - Zahamował i odwrócił się, by móc lepiej obserwować Bailey. - Wybrałem takie, które mi się spodobały. Te gładkie to... Jak się nazywają?

- To oszlifowane kamienie - mruknęła, dotykając ich delikatnie koniuszkiem palca. - Krwawnik, cytryn, sodalit, jaspis, - Zarumieniona z radości, rozwijała kolejne bibułki. - Turmalin, różowy turmalin - widzisz te różowe i zielone żyłki? A to prześliczny odłamek fluorytu. To jeden z moich ulubionych kamieni. Ja... - Bailey urwała i przycisnęła palce do skroni. Cade sięgnął po pierwszy z brzegu kamyk.

- A co to jest?

- Aleksandryt. To chryzoberyl, z gatunku kamieni przezroczystych. W zależności od światła zmienia barwę. O, widzisz, teraz, w dziennym świetle, jest niebieskozielony, ale o zmroku będzie fioletowy. - Bailey ze zdumieniem stwierdziła, że wszystkie te wiadomości same cisną się jej na usta. - To kamień o wielu zastosowaniach, rzadki i drogi. Został tak nazwany na cześć cara Aleksandra I.

- Dobrze już, dobrze, odpocznij, rozluźnij się. - Cade skreślił nagle w szeroką, wysadzaną drzewami ulicę. - Widzę, że doskonale znasz się na kamieniach.

- Chyba tak.

- Widać też, że sprawia ci to przyjemność - dorzucił, patrząc, jak z rozjaśnioną twarzą ogląda kamienie, które dla niej wybrał.

- Powiem ci, że mnie to przeraża. Ten natłok informacji w mojej głowie.

Zajechali przed dom i zatrzymali się na podjeździe. Cade zwrócił się do Bailey:

- Czujesz się na siłach, żeby dziś jeszcze trochę popracować? Doskonale wiedziała, że może powiedzieć „nie”. Wtedy wprowadziłby ją do tego domu, w którym czuła się taka

bezpieczna. Mogłaby pójść na górę i zamknąć się w swojej przytulnej sypialni, gdzie nie musiałaby stawiać czoła niczemu - prócz własnego tchórzostwa.

- Tak, tak - powiedziała szybko, a potem z głębokim westchnieniem dodała: - Muszę.

- To dobrze. - Cade chwycił ją za rękę i mocno uściskał.

- Zaczekaj tu. Pójdę po diament.

Firma Westlake Jewelers mieściła się w okazałym, starym budynku o granitowych kolumnach i wysokich oknach, przysłoniętych aksamitnymi portierami. Nie było to miejsce, w którym można by się targować. Jedynym znakiem rozpoznawczym była dyskretna i elegancka mosiężna tabliczka przy łukowatych, frontowych drzwiach.

Cade zajechał od tyłu.

- Szykują się do zamknięcia na cały weekend - wyjaśnił.

- O ile znam Muffy, kazała Ronaldowi poczekać. Raczej nie będzie zachwycony moją obecnością, więc... O, tak, to jego wóz. - Cade zaparkował obok szarego mercedesa. - Tylko mi nie popsuj zabawy, dobrze?

- Jakiej zabawy? - Bailey zmarszczyła brwi, bo nagle zaczął wrzucać do jej nowej torebki kupione kamienie. - O co ci chodzi?

- Przecież musiałem coś wymyślić, żeby nas przyjęli i wpuścili do swojej pracowni. - Otworzył przed nią drzwi. - Chodź ze mną i nic nie mów.

Wysiadła z samochodu i poszła za nim do wejścia.

- Może jednak byłoby lepiej, gdybym wiedziała, o co chodzi.

- Bądź spokojna. - Cade nacisnął dzwonek. - Zobaczysz, że dam sobie radę.

Bailey poprawiła na ramieniu torebkę, która zrobiła się bardzo ciężka.

- Jeżeli okłamałeś swoją rodzinę, powinnam chyba... - Urwała, ponieważ właśnie otworzyły się ciężkie, żelazne drzwi.

- Witaj, Cade. - Ronald Westlake skinął głową bez uśmiechu.

Bailey pomyślała, że Cade ma rację. To nie był człowiek szczęśliwy. Średniego wzrostu, szczupły, doskonale prezentował się granatowym garniturze ze stonowanym krawatem w prążki, zawiązanym tak ciasno, że natychmiast zaczęła się zastanawiać, jak może w ogóle oddychać. Twarz miał ogorzalą, a w ciemnych, starannie przystrzyżonych i wymodelowanych włosach dyskretnie połyskiwały srebrne nitki.

Biła z niego przesadna godność i pewność siebie.

- Cześć, Ronald, cieszę się, że cię widzę - rzucił Cade radosnym tonem, nie zwracając uwagi na chłodne powitanie, a potem entuzjastycznie potrząsnął ręką szwagra. - Jak tam golf? Podobno wykosiłeś wszystkich. Tak mi przynajmniej powiedziała Muffy.

Coraz bardziej się rozkręcał. Bailey pomyślała, że wyglądał jak akwizytor, któremu już udało się wsunąć nogę między drzwi. Ronald nadal stał nachmurzony, marszcząc brwi.

- Poznaj Bailey. Muffy musiała ci o niej wspominać. - Gestem posiadacza Cade otoczył Bailey ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Owszem, mówiła mi. Witam panią.

- Chowałem ją dotąd tylko dla siebie - dorzucił Cade, zanim Bailey zdążyła otworzyć usta. - Teraz chyba sam rozumiesz dlaczego. - Ujął Bailey za podbródek i mocno pocałował. - Jestem ci bardzo wdzięczny, że pozwalasz nam się pobawić twoim sprzętem. Bailey jest taka podniecona. Nawet podczas wakacji nie rozstaje się ze swoimi kamykami. Chce mi pokazać, na czym polega jej praca. - Potrząsnął torebką, żeby kamienie głośno zagrzecotały.

- Nie zauważyłem, żebyś dawniej pasjonował się klejnotami - sucho zauważył Ronald.

- Bo wtedy nie znałem jeszcze Bailey. - Cade miał gotową odpowiedź. - Teraz zaczęły mnie fascynować. A skoro udało mi się namówić moją panią, żeby została w Stanach, niech otworzy swój własny butik. Prawda, kochanie...?

- Ja...

- W tym przypadku strata Anglii to nasz zysk - ciągnął dalej Cade. - A jeżeli jakaś koronowana głowa zażyczy sobie nowego świecidełka, będzie się musiała pofatygować tutaj. Bo ja nigdzie cię nie puszcę. - Znowu wycisnął na ustach Bailey namiętny pocałunek, nie zwracając uwagi na Ronalda, który stał, mnąc z irytacją krawat.

- Cade mówił mi, że pani projektuje od jakiegoś czasu biżuterię. To doskonałe referencje, jeżeli dwór brytyjski kupuje pani wyroby.

- Wszystko zostaje w rodzinie - paplał Cade bez zmrużenia oka. - Matka Bailey jest skuzynowana z księstwem Kentu. W trzeciej czy czwartej linii? Jak to było, kochanie? A zresztą, co za różnica?

- Trzeciej. - Bailey ze zdumieniem przyłapała się na tym, że nie tylko odpowiada, ale i robi to z charakterystycznym akcentem, typowym dla najwyższych sfer. - Ale nie utrzymują zbyt bliskich kontaktów. Cade trochę koloryzuje. W rzeczywistości było tak, że szpilka, którą zaprojektowałam, spodobała się Sarze Fergusson. Sam pan wie, jak ona uwielbia zakupy.

- Tak, rzeczywiście. - Wytworny akcent Bailey wywarł natychmiastowy skutek. Życzliwy uśmiech rozjaśnił nieruchomą dotąd twarz Ronalda. - Tak się cieszę, że pani do nas wstąpiła. Żałuję, że nie mogę zostać dłużej. Chętnie bym panią oprowadził.

- Nie chcemy cię zatrzymywać. - Cade protekcyjnie poklepał go po plecach. - Muffy mówiła mi, że wydajecie dziś wieczorem przyjęcie.

- Cade zachował się jak egoista, psując państwu weekend. Bardzo bym chciała zwiedzić pańską firmę. Może innym razem.

- Ależ oczywiście. W każdej chwili. Spróbujcie wpaść do nas później, jak skończycie.
- Podniecony perspektywą goszczenia u siebie kuzynki rodziny królewskiej, Ronald zaprowadził ich do pracowni. - Mamy najlepsze urządzenia, i najlepsze kamienie. Westlake'owie od pokoleń cieszą się doskonałą opinią.

- Rzeczywiście. - Z bijącym sercem Bailey patrzyła na wyposażenie przestronnego pomieszczenia o szklanych ścianach: specjalne stoły, piłki do cięcia kamieni, maleńkie wagi.
- Jesteście przecież najlepsi w branży.

- Szczycimy się tym, że dajemy naszym klientom wyłącznie to, co najlepsze. Często tutaj właśnie tniemy i szlifujemy nasze kamienie, z naszych lapidariów.

Drżącą ręką Bailey dotknęła koła. To szlifierka, pomyślała, szlifierka do obróbki kamieni. Niemal widziała, jak się to robi. W uszach miała ten dźwięk. Czowała wibracje maszyny.

- Lubię szlifować kamienie - odezwała się cichym głosem. - Lubię precyzję, jakiej wymaga to zajęcie.

- Muszę pani wyznać, że podziwiam jedynie doskonałych rzemieślników i artystów. Co za oryginalny pierścionek. Można? - Ronald ujął jej dłoń i zaczął oglądać trzy kamienie, ułożone w łuk i osadzone w wytrawionym złocie. - Jakże to piękne. To pani projekt?

- Tak. - To chyba była najlepsza odpowiedź. - Najbardziej lubię kolorowe kamienie.

- Musi pani któregoś dnia obejrzeć nasz towar. - Ronald zerknął na zegarek i cicho cmoknął. - Robi się późno. Strażnik wypuści was, kiedy skończycie. Nie musicie się spieszyć. Niestety, sala wystawowa jest automatycznie zamykana i nie da się jej otworzyć aż do wtorku. Wezwijcie też strażnika, jak będziecie chcieli wyjść, bo dom ma podwójne zabezpieczenie, od wewnątrz i od zewnątrz. - Posłał Bailey znaczący uśmiech kolegi po fachu. - Sama pani rozumie, jakże to ważne w naszej branży.

- Oczywiście. Dziękuję, że poświęcił nam pan tyle czasu, panie Westlake. - Bailey wyciągnęła do niego rękę.

Ronald ujął jej dłoń.

- Proszę mi mówić Ronald. Cała przyjemność po mojej stronie. Niech Cade nie będzie taki samolubny. Proszę mu na to nie pozwalać. Muffy bardzo by chciała poznać swoją przysłą bratową. Wpadnijcie później, koniecznie.

Bailey wydała jakiś zdławiony odgłos, ale Cade już ją zagłuszył i niemal siłą wypchnął Ronalda z pracowni.

- Jaką bratową? - zapytała, kiedy odzyskała głos.

- Przecież musiałem im coś powiedzieć. - Cade rozłożył ręce z miną niewiniątka. - Usiłują mnie wyswatać od chwili, kiedy wysechł atrament na moim orzeczeniu rozwodowym. A skoro jesteś spokrewniona z rodziną królewską, stawia cię to na drabinie towarzyskiej o kilka szczebli wyżej od tych kobiet, za które chcieli mnie wydać.

- Biedny Cade. To straszne, kiedy kogoś tak atakują ze wszystkich stron.

- Bardzo się nacierpiałem. - Na widok niebezpiecznych błysków w oczach Bailey, pokazał zęby w rozbrajającym uśmiechu. - Nie masz pojęcia, jak się nacierpiałem. A teraz weź mnie za rękę.

Ale doczekał się tylko trzepnięcia w dłoń.

- Tobie się pewnie wydaje, że to świetny żart.

- Nie, ale akurat ta część to dobry kawał. - Cade uznał, że bezpieczniej będzie trzymać ręce w kieszeni. - Jestem pewny, że moja siostra wisi przy telefonie, odkąd do niej dzwoniłem. A teraz Ronald będzie miał dodatkową porcję plotek na twój temat...

- Okłamałeś swoją rodzinę.

- Tak. Czasami to mnie bawi. A czasami muszę tak robić, żeby jakoś przetrwać. - Nachylił się nad Bailey. - Trafiłaś w dziesiątkę, kochanie. A ten brytyjski akcent! To było wspaniałe.

- Zostałam postawiona wobec faktów dokonanych i wcale nie jestem z tego powodu dumna.

- Byłabyś świetnym detektywem. Śmiem twierdzić, że umiejętność szybkiego i zręcznego zmyślenia jest jednym z podstawowych wymogów w tej pracy.

- A cel uświęca środki, tak? - zapytała.

- Owszem. - Lodowaty ton jej głosu zaczynał go irytować. Przyszło mu do głowy, że w szarych strefach Bailey nie jest jednak tak pobłażliwa jak on. - Oboje mamy w tym swój interes. A Ronald i Muffy odniosą dziś wielki sukces na swoim przyjęciu. Więc w czym problem?

- Od jednego kłamstwa do drugiego prowadzi krótka droga.

- Jednak kłamstwo prowadzi czasami do prawdy. - Cade sięgnął po torebkę Bailey, wyjął z niej aksamitny woreczek i wysypał sobie na dłoń kamienie. - Czego ty chcesz, Bailey? Prawdy czy tylko uczciwości?

- Nie powinno być między nimi żadnej różnicy - powiedziała, biorąc do ręki diament.

- No cóż, sam powiedziałaś, że oboje mamy w tym swój interes. Co mam teraz zrobić?

- Upewnij się, czy ten kamień jest prawdziwy.

- Oczywiście, że jest - powiedziała, zniecierpliwiona. - Wiem to.

Jednak Cade uniósł tylko brew.

- Udowodnij.

Mrucząc z irytacją, odwróciła się i ruszyła w stronę mikroskopu.

- Cudowny - powiedziała po chwili z zachwytem. - Po prostu cudowny.

- A co widzisz?

- Wnętrze kamienia. Nie mam żadnych wątpliwości, że jest autentyczny. A te inkluzje są charakterystyczne.

- Niech no zobaczą. - Cade odsunął ją i sam nachylił się nad mikroskopem. - Przecież to może być byle co.

- Nie, nie. Nie ma pęcherzyków powietrza. A byłyby, gdyby to był stras. No i te inkluzje.

- Nic mi to nie mówi. Jest niebieski, a niebieskie są szafiry.

- Och, na Boga, szafir to korund. Chcesz mi wmówić, że nie potrafię odróżnić węgla od korundu? - Wzięła kamień i poszła z nim do innego instrumentu. - To jest polaryskop, który wykrywa, czy kamień ma pojedynczą, czy podwójną refrakcję. Jak ci już mówiłam, szafiry są dwułomne, a diamenty nie.

Bailey znowu zabrała się do pracy, mrucząc coś cicho pod nosem. Co jakiś czas zakładała okulary, a kiedy je zdejmowała, zahaczała je o wycięcie bluzki. Ruchy miała pewne i zaskakująco precyzyjne.

Cade patrzył na nią kołysząc się na piętach, z rękami w kieszeniach.

- No proszę, co mówi refraktometr - odezwała się Bailey. - Każdy dureń widzi, że współczynnik refrakcji tego kamienia wskazuje na diament. To nie jest szafir. - Odwróciła się, unosząc kamień w górę. - To niebieski diament, o brylantowym szlifie i wadze stu dwu i sześciu dziesiątych karata.

- Brakuje ci tylko białego kitla - powiedział cicho Cade.

- Co?

- Ty pracujesz w tym fachu, Bailey. Z początku myślałem, że to twoje hobby, ale jesteś nazbyt precyzyjna, zbyt dobrze to robisz. I za łatwo się denerwujesz, kiedy ktoś zadaje ci pytania. Wnioski nasuwają się same. Pracujesz przy kamieniach - przy klejnotach. Ta aparatura jest ci znana równie dobrze jak ekspres do kawy. To część twojego życia.

Bailey opuściła rękę i osunęła się na stołek.

- Kiedy organizowałeś to wszystko, zadając sobie tyle kłopotu, nie chodziło ci wcale o sprawdzenie kamienia, prawda?

- Powiedzmy sobie, że była to wtórna korzyść. Teraz musimy się dowiedzieć, czy jesteś gemmologiem, czy jubilerem. Tylko w taki sposób ten kamień mógł trafić w twoje ręce.

- Wziął od niej diament i zaczął mu się uważnie przyglądać. - Takich rzeczy nie wystawia się na sprzedaż u Westlake'a czy innego jubilera. To okaz, który można znaleźć jedynie w prywatnych kolekcjach albo w muzeum. Mamy tu w Waszyngtonie wspaniałe muzeum. Nazywa się Smithsonian Institute. Może o nim słyszałaś?

- Chcesz powiedzieć... myślisz, że mogłam ukraść ten diament właśnie tam?

- Nie, chcę tylko powiedzieć, że ktoś w tym muzeum mógł o nim słyszeć. - Niedbałym gestem wsunął do kieszeni bezcenny klejnot. - Niestety, to będzie musiało poczekać do jutra, dziś muzeum jest zamknięte. Ach, nie, niech to diabli, do wtorku. - Cade cicho syknął. - Jutro jest niedziela, czwartego, a poniedziałek też jest wolny.

- No to co będziemy robić do wtorku?

- Zaczniemy od książki telefonicznej. Ciekawe, ilu gemmologów mieszka w okręgu stołecznym.

Dzięki okularom Bailey mogła śmiało zagrzebać się w książkach, nie ryzykując bólu głowy. I rzeczywiście to zrobiła. To było jak lektura dobrze znanych i ukochanych bajek. Poruszała się po znajomym terenie, ale ta powrotna podróż sprawiała jej niebywałą przyjemność.

Czytała o historii szlifowania mezopotańskiego, o klejnotach z czasów starożytnej Grecji, o rycie florenckim.

Czytała o słynnych diamentach, natrafiając na znane jej nazwy Vargas, Jonker czy Wielki Mogoł, który zaginął przed wiekami. Czytała o Marii Antoninie i o jej naszyjniku z brylantów, za który, jak twierdzą pewne źródła, królowa zapłaciła głowę.

Przeglądała literaturę fachową dotyczącą szlifowania, identyfikacji kamieni szlachetnych oraz ich właściwości.

Wszystko to było dla niej absolutnie zrozumiałe i tak gładkie w treści jak oszlifowany krwawnik, który machinalnie obracała w palcach.

Zadawała sobie pytanie, jak to możliwe, że pamiętała kamienie, ale nie ludzi? Mogła bez trudu zidentyfikować i opisać cechy setek kamieni szlachetnych i klejnotów, ale na tym świecie znała tylko jedną, jedną osobę.

I to nie siebie, bo siebie też nie znała.

Znała tylko Cade'a. Cade'a Parrisa, człowieka o umyśle tak błyskotliwym, że aż czasami męczącym. Cade'a o delikatnych, cierpliwych dłoniach i cudownych zielonych oczach, które wpatrywały się w nią, jakby była pępkiem świata.

Ale świat Cade'a był w porównaniu z jej światem taki wielki. Zaludniały go rozmaite postacie i wspomnienia, miejsca, w których przebywał, rzeczy, które robił, chwile, które dzielił z innymi. A ona za całą swoją przeszłość miała tylko białą ścianę.

Jakich ludzi знаła? Kogo kochała albo nienawidziła? Czy był ktoś, kto ją kochał? Kogo zraniła? A może to ją ktoś zranił? I wreszcie - skąd pochodziła i czym się zajmowała?

Czy była naukowcem, czy może złodziejką? Czyjaś kochanką czy kobietą samotną?

Bo teraz pragnęła zostać kochanką. Kochanką Cade'a. To przerażające, jak bardzo o tym marzyła. Chciała pójść z nim do łóżka i dać się unieść fali namiętności. Chciała, by jej dotykał, dotykał wszędzie. Chciała poczuć na sobie jego dłonie, prześlizgujące się po jej nagim ciele i rozgrzewające je. Pragnęła, by jego ręce uniosły ją do miejsca, gdzie przeszłość nic nie znaczy, a przyszłość także jest bez znaczenia.

Gdzie istnieje tylko teraźniejszość, wspaniała, nienasycona teraźniejszość.

Ona także pragnęła go dotykać. Pragnęła czuć twarde mięśnie jego pleców i ramion, kiedy zagarniał ją pod siebie. Chciała czuć bicie jego serca przy swoim sercu, przyjąć go, a potem...

Nagle książka głośno się zatrzasnęła. Bailey aż podskoczyła.

- Zrób sobie przerwę - powiedział Cade, zabierając jej sprzed nosa książkę. - Jak będziesz tak dużo czytać, oczy wypadną ci z głowy.

- Och, ja... - Dobry Boże, pomyślała, wpatrując się w niego nieprzytomnym wzrokiem. Podniecona własnymi rojeniami, drżała jak liść. Krew żywo pulsowała jej w żyłach. - Ja tylko...

- Jesteś cała czerwona.

Kiedy Cade odwrócił się, żeby wyjąć z lodówki mrożoną herbatę, Bailey wzniosła oczy do nieba. Czerwona? Ona była czerwona? Czy ten człowiek nie widzi, co się z nią dzieje?

Nie rozumie, na co ona czeka?

Cade nalał jej szklanek herbaty i wrzucił kilka kostek lodu, a sam sięgnął po piwo.

- Na dzisiaj już dosyć. Pomyślałem, że moglibyśmy zjeść steki z grilla. Przy okazji sprawdzimy, czy potrafisz zrobić sałatkę? Hej... - Wyjął z rąk Bailey szklanekę. - Ręce ci się trzęsą. Jesteś przemęczona.

- Nie, ja... - Jak mogła mu powiedzieć, że właśnie wyobrażała sobie, że gryzie go w szyję. Zdjęła ostrożnie okulary, złożyła je i odłożyła na stół. - Może trochę tak. Tyle rzeczy chodzi mi po głowie.

- Mam pierwszorzędne lekarstwo na przepracowanie. - Cade wziął ją za rękę i wyciągnął do ogrodu. Rozgrzane powietrze przesiąknięte było aromatem róż. - Pół godziny leniuchowania.

Wziął jej szklankę i postawił obok swojego piwa na żelaznym stolyczku, pod hamakiem.

- Chodź, popatrzymy przez chwilę na niebo.

Czy chciał, żeby się obok niego położyła? Czy ma wejść razem z nim do tego hamaka, gdy całe jej ciało domaga się spełnienia?

- Chyba nie powinnam...

- Ależ powinnaś.

Żeby uciąć dyskusję, Cade jednym silnym ruchem podsadził ją do hamaka, a potem sam do niego wskoczył. Hamak zakotłosał się gwałtownie. Bailey krzyknęła, a Cade wybuchnął śmiechem.

- Rozluźnij się. To jedno z moich ulubionych miejsc. Odkąd sięgnę pamięcią, zawsze wisi tu hamak. Mój wuj często uciął sobie w nim drzemkę, kiedy ciotka kazała mu pracować w ogrodzie. - Wsunął jej ramię pod głowę i ujął za rękę.

- Jak tu miło i przytulnie. Między liśćmi prześwituje niebo. W cieniu klonu było chłodno. Cade położył sobie na piersi ich splecione dłonie. Bailey czuła mocne, regularne bicie jego serca.

- Jako chłopak często się tu zakradałem. W tym hamaku snułem najśmielsze marzenia i układałem plany. Zawsze był tu laki spokój i z perspektywy tego hamaka wszystko stawało się jakby nieważne.

- Myślę, że to takie uczucie, jakby człowiek leżał w kołysce. - Bailey za wszelką cenę chciała się odprężyć. Nerwy miała napięte do ostateczności. Pragnęła już tylko jednego: stopić się z Cade'em w jedno.

- W hamaku wszystkie problemy wydają się łatwiejsze. - Cade bawił się jej smukłymi palcami, oczarowany pięknem pierścionków. Kiedy jakby od niechcenia pocałował wewnątrz jej dłoni, serce podskoczyło jej do gardła.

- Ufasz mi, Bailey?

Była już pewna, że bez względu na swoją przeszłość nigdy nikomu bardziej nie ufała.

- Tak.

- To zagrajmy w pewną grę.

Rozbudzona wyobraźnia natychmiast podsunęła Bailey cały ciąg erotycznych skojarzeń.

- W jaką grę...? - wyjąkała.

- W skojarzenia słowne. Wyczyść sobie umysł ze zbędnego balastu. Ja będę mówił różne słowa, a ty za każdym razem odpowiesz to, co jako pierwsze przyszło ci do głowy.

- Skojarzenia słowne. - Bailey sama już nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. Zamknęła oczy. - Myślisz, że odblokuję w ten sposób moją pamięć?

- Spróbować nigdy nie zaszkodzi. Możemy to zresztą potraktować jako leniwą grę w upalne popołudnie. Jesteś gotowa?

Skinęła głową. Miała wrażenie, że łagodne kołysanie hamaka zaczynają usypiać.

- Gotowa. Możemy zaczynać.

- Miasto.

- Tłum.

- Pustynia.

- Słońce.

- Praca.

- Satysfakcja.

- Ogień.

- Niebieski.

Kiedy otworzyła oczy i zaczęła się niespokojnie kręcić, Cade ciaśniej objął ją ramieniem.

- Nie przerywaj, żeby analizować. Niech to będzie absolutnie spontaniczne. Gotowa? Miłość.

- Przyjaciele. - Odetchnęła głęboko i poczuła, że ogarnia ją spokój. - Przyjaciele - powtórzyła.

- Rodzina.

- Matka. - Bailey cicho jęknęła, a Cade pogładził ją po policzku.

- Szczęście.

- Dzieciństwo.

- Diament.

- Władza.

- Błyskawica.

- Morderstwo. - Zakrztusiła się, a potem ukryła twarz na ramieniu Cade'a. - Nie mogę. Nie mogę na to patrzeć.

- Dobrze już, w porządku. Wystarczy. - Cade pogłaskał ją po włosach i choć jego dłoń była chłodna, oczy, wpatrzone w sklepienie z liści, gorzały ogniem.

Ten, kto ją tak przeraził i sprawił, że drżała z trwogi, będzie musiał za to zapłacić. Już on tego dopilnuje.

W chwili gdy Cade trzymał Bailey w ramionach w cieniu potężnego klonu, inny mężczyzna stał na kamiennym tarasie i patrzył na swoją rozległą posiadłość - łagodne wzgórza, zadbane ogrody i tryskające fontanny.

Był wściekły.

Ta kobieta zniknęła z powierzchni ziemi z jego własnością. A jego siły były tak rozproszone, jak te trzy gwiazdy.

Wszystko miało być takie proste. Już prawie je miał. Tymczasem ten roztrzęsiony dureń spanikował. A może po prostu odezwała się w nim chciwość. Jakkolwiek było, pozwolił tej kobiecie uciec wraz z diamentami.

Straciłem zbyt wiele czasu, pomyślał, stukając pięknie wymanicuiowaną ręką w kamienną balustradę. Jedna kobieta zniknęła, druga uciekła, a trzecia nie jest w stanie odpowiedzieć na jego pytania.

Trzeba coś z tym zrobić, i to jak najszybciej, ponieważ wszystkie jego plany wezmą w łeb. A winić o to można tylko jednego człowieka. Mężczyzna cofnął się do swojego gabinetu i sięgnął po słuchawkę.

- Sprowadźcie mi go - powiedział i odłożył słuchawkę z niedbałą arogancją człowieka, który przywykł do wydawania rozkazów i posłuchu.

ROZDZIAŁ 6

Sobotni wieczór. Bailey wyobrażała sobie, że spędzi ten czas przy kuchennym stole, z filiżanką mocnej kawy, obłożona książkami. Tymczasem zaraz po kolacji Cade postanowił zabrać ją na tańce. Porwał ją z domu, zanim zdążyła sprzątnąć ze stołu. Ledwo miała czas przygładzić włosy.

Powiedział, że powinna się rozerwać, że dobrze jej zrobi, jak posłucha muzyki i zafunduje sobie jakieś miłe przeżycie.

I rzeczywiście, to było niezłe przeżycie.

Nigdy nie widziała czegoś podobnego. Była tego absolutnie pewna. Hałaśliwy, zatłoczony klub w samym sercu Georgetown wibrował życiem i trzął się w posadach od gwaru podniesionych głosów i tupotu roztańczonych stóp. Muzyka była tak głośna, że Bailey nie słyszała własnych myśli, a maleńki stolik, który Cade znalazł dla nich w samym środku tego zamętu, nosił jeszcze lepkie ślady po rozlanym piwie poprzednich gości.

Bailey była oszołomiona.

Miała wrażenie, że nikt tam nikogo nie zna. Albo też wszyscy znali się tak dobrze, że nie wstydzili się uprawiać miłości na stojąco, na oczach tłumu. Przecież trudno inaczej określić to, co wyprawiały w rytm muzyki na parkiecie te spazmatycznie przyciśnięte do siebie ciała.

Cade kupił jej wodę sodową i sam także poprzestał na tym nieszkodliwym napoju. Usiadł przy stoliku i patrzył na otaczający go spektakl. Co więcej, uważnie obserwował reakcję Bailey. Wkoło migotały kolorowe światła, podniesione głosy odbijały się echem od ścian, i jakby nikogo świat w ogóle nie obchodził.

- Czy to jest właśnie to, co robisz w każdy weekend? - Musiała wykrzyknąć mu to pytanie do ucha i nadal nie była pewna, czy usłyszał ją w tym huk i łomocie gitar i perkusji.

- Od czasu do czasu. - Prawie nigdy, pomyślał, śledząc przyływ i odpływ samotników przy barze. A już na pewno nieczęsto, odkąd ukończył studia. Pomyśl, żeby ją tu przyprowadzić, to był czysty impuls, jakieś natchnienie. W takich warunkach nie będzie miała okazji zamartwiać się i denerwować.

- Gra tu lokalny zespół - zwrócił się do Bailey.

- Nie wierzę - powiedziała z powątpiewaniem.

- Ależ tak. Ta orkiestra to naprawdę lokalny zespół. - Cade chrząknął, przysunął bliżej swoje krzesło i objął ją ramieniem. - *Dirty rock*. Nie żadna muzyka country ani *soft rock*, ani pop. Kiedy grają dostajesz niezłego kopa. Jak ci się to podoba?

Próbowała się skupić, wczuć w ten pulsujący, wciąż powtarzający się rytm. Ponad zalewającymi ją falami muzyki zespół wykrzykiwał coś o sprośnych sprawkach i wykonywał dwuznaczne gesty.

- Sama nie wiem, ale z pewnością nie jest to Dziewiąta Symfonia.

Cade głośno się roześmiał, a potem chwycił ją za rękę.

- Chodź, zatańcz ze mną.

- Nie wiem, czy potrafię...

- Do diabła, Bailey, nie ma tu na tyle miejsca, żeby robić coś innego niż złamać reguły przyzwoitości. A do tego nie trzeba żadnej praktyki.

- Tak, tylko że... - Ale Cade już ciągnął ją w stronę parkietu, przepychając się między stolikami i zderzając z ludźmi. Po upływie pierwszych sekund straciła rachubę, na ile stóp musieli nadepnąć.

- Cade, wolałabym popatrzeć.

- Jesteś tu po to, żeby doświadczyć życia. - Porwał ją w objęcia i chwycił za biodra gestem tak władczy i intymny, że zabrakło jej tchu. - Reszta jest bardzo łatwa.

- Nie sądzę, żebym kiedykolwiek coś takiego robiła. - Reflektory, krążące i migoczące pod sufitem, przyprawiły ją o zawrót głowy. - Jestem pewna, że bym to zapamiętała.

Pomyślał, że pewnie ma rację. Z jej zachowania biła jakaś dziecięca niewinność, a rumieniec raz po raz wypływał jej na policzki. Przesunął dłonie po jej pośladkach i objął w talii.

- Przecież to tylko taniec, Bailey.

- Nie, na pewno nie. Czuję to, bo musiałam przecież dawniej tańczyć.

- Obejmij mnie. - Cade chwycił ją za ręce i zarzucił je sobie na szyję. - I pocałuj mnie.

- Co?

- Nic już, nic.

Jego twarz była tak blisko. Bailey czuła, że muzyka wypełnia ją całą. Żar, bijący od jego ciała i od innych ciał, tłoczących się wkoło, był jak ogień z paleniska. Nie mogła oddychać, nie mogła myśleć, a kiedy jego usta spoczęły na jej wargach, poczuła, że nie dba o nic.

W głowie huczało jej od rytmicznej muzyki. Upał był niemiłosierny, a powietrze gęste od dymu i zapachu rozgrzanych ciał - przesycone potem, perfumami i oparami alkoholu. Wszystko to nagle jakby się rozpląnęło.

Zakołysała się rytmicznie, wtulona w Cade'a, a jej usta rozchyliły się na jego przyjęcie.

- Gdybyśmy zostali w domu, pewnie poszlibyśmy do łóżka - szepnął, a potem przycisnął wargi do jej ucha. Poczł delikatną woń perfum, które dla niej wybrał. Nagle zapach wydał mu i się dziwnie intymny. - Chcę iść z tobą do łóżka, Bailey. Chcę być w tobie.

Zaniknęła oczy i mocniej do niego przyłgnęła. Była pewna, że nikt nigdy do niej tak nie mówił. Nie potrafiłaby zapomnieć tej frapującej kombinacji podniecenia i lęku. Zanurzyła palce w rozwichrzone włosy, które opadały mu na kark.

- Przedtem, kiedy siedziałam w kuchni, ja...

- Wiem. - Obwiódł językiem jej ucho, wznecając żar w najodleglejszych zakątkach jej ciała. - Mogłem cię wtedy mieć. Myślisz, że się nie zorientowałem? - Powiódł ustami po jej szyi. - Dlatego przyszliśmy tutaj, zamiast zostać w domu. Nie jesteś jeszcze gotowa na to, czego od ciebie chcę.

- Przecież to bez sensu - mruknęła cicho, ale Cade i tak ją usłyszał.

- A kogo obchodzi jakiś sens? Teraz to teraz. - Ujął jej podbródek i zwrócił ku sobie jej twarz. - Teraz - powtórzył i pocałował Bailey tak mocno, że krew uderzyła jej do głowy - może być gorąco. - Poczł, że miękną jej kolana. - Albo słodko. - Delikatnie obwiódł językiem jej usta. - Albo zabawnie. - Obrócił ją wokół osi i znowu chwycił w ramiona z taką zręcznością, że zamrugła ze zdumienia. - Jak sobie życzysz.

Dłonie Bailey spoczywały na ramionach Cade'a, a jej twarz była blisko jego twarzy. Wokół nich migotały światła i pulsowała muzyka.

- Myślę, że... bezpieczniej będzie poprzestać na zabawie. Przynajmniej na razie.

- No to się bawmy. - Znowu szybko nią zakręcił, raz za razem, a kiedy się roześmiała, w jego oczach pojawił się błysk rozbawienia.

Kiedy ich ciała znowu się spotkały, wzięła głęboki oddech.

Musiałeś chodzić na lekcje tańca. - Kochanie, prowadziłem kotyliona więcej razy, niż chciałbym się do tego przyznać, ale pewne rzeczy zostają w człowieku na zawsze.

Unosili się jakby za pomocą czarów pośród zbitego tłumu tańczących.

- Kotylion? Białe rękawiczki i krótkie krawaty?

- Coś w tym rodzaju. - Cade przesunął dłonie wzdłuż jej boków, muskając przy okazji piersi. - I nic w tym rodzaju.

Pomyliła krok, cofnęła się i zderzyła z czymś, co wzięła za stalową belkę. Kiedy spojrzała za siebie, zobaczyła masę lśniących mięśni, połyskującą łysą czaszkę, srebrny kolczyk w nosie i promienny uśmiech.

- Bardzo przepraszam - zaczęła, ale nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo muskularne ramię chwyciło ją i zakreśliło w prawo.

Nagle znalazła się w samym środku rozbawionej grupki tancerzy, którzy z zapałem rozpychali się łokciami i kręcili biodrami. Uśmiechali się do niej tak zachęcająco, że znowu spróbowała złapać rytm. Po chwili wylądowała z chichotem w ramionach Cade'a. - Świetna zabawa. - Wciągająca, wyzwalająca, niemal pogańska, dodała w duchu. - Ja tańczę, Cade! - Twarz jej promieniała, a głos nabrzmiał radością i śmiechem. Cade także się uśmiechnął.

- Na to mi wygląda.

Zaczęła się wachlować dłonią, chcąc odpędzić męczący upał.

- To mi się podoba.

- Wobec tego musimy to powtórzyć. - Muzyka przycichła, a ostry rytm złagodniał. - Teraz będzie wolny kawałek. Musisz się tylko do mnie mocno przykleić.

- Chyba już to zrobiłam.

- Jeszcze bliżej. - Cade wsunął nogę między jej uda, a jego ręce spoczęły nisko na jej biodrach.

- O Boże. - Bailey poczuła dziwny skurcz żołądka. - Teraz chyba łamiemy kolejną regułę.

- I to mi się podoba.

Muzyka była uwodzicielska, podniecająca i smutna. Wraz z nią zmienił się też nastrój Bailey. Miejsce rozchichotanej radości zastąpiła tęsknota.

- Cade, tak chyba nie wypada.

Ale Cade uniósł ją na palce, tak że ich twarze znalazły się na jednym poziomie.

- Poszalejmy sobie, chociaż przez ten jeden taniec.

- Ale to nie potrwa długo - szepnęła, z policzkiem przy jego policzku.

- Cóż. Może trwać tak długo, jak tylko zechcemy. Na zawsze, pomyślała, tuląc się do niego.

- Ja nie jestem pustą tablicą. To tylko ktoś na chwilę wymazał wszystko z mojej pamięci. A ja boję się, że to, co na niej znajdziemy, może się żadnemu z nas nie spodobać.

Cade czuł jej zapach, jej smak, dotyk jej ciała.

- Wiem wszystko, co chcę wiedzieć.

Potrząsnęła głową. - Ale ja nie wiem. - Odsunęła się i spojrzała mu w oczy. - Ja nie wiem - powtórzyła. A potem nagle wyrwała się z jego uścisku i zaczęła przepychać przez tłum. Nie próbował jej zatrzymać.

Pospieszyła do toalety. Potrzebowała samotności, chciała odzyskać oddech. Musiała sobie raz jeszcze uprzytomnić, że bez względu na to, jak bardzo by sobie tego życzyła, jej życie nie zaczęło się z chwilą, gdy po raz pierwszy weszła do biura Cade'a Parrisa.

Toaleta była równie zatłoczona jak parkiet. Rozchichotane dziewczęta kłębiły się przed lustrami, rozmawiając o chłopakach i obgadując inne dziewczyny. W powietrzu unosił się gęsty zaduch lakieru do włosów, tanich perfum i potu.

Bailey dopchała się do jednej z wąskich umywalek, odkręciła kran i zimną wodą spryskała rozpaloną twarz. Czy to naprawdę ona tańczyła w jakimś podrzędnym nocnym klubie, śmiejąc się na cały głos? Czy to ona pozwoliła obcemu mężczyźnie, by dotykał jej w sposób tak intymny, i to na oczach wszystkich, nie czując przy tym cienia wstydu?

Kiedy spojrzała na swoje odbicie w poplamionym lustrze, zrozumiała, że dawniej nie robiła żadnej z tych rzeczy.

Była to dla niej nowość. Tak jak nowością był Cade Parris. I nie umiała powiedzieć, jak obie te rzeczy wpasują się w jej poprzednie życie.

Wszystko stało się tak szybko, pomyślała, szukając szczotki w torebce. Torebce, którą jej kupił, szczotki, którą jej kupił. Ogarnęła ją fala sprzecznych uczuć. Wszystko, co teraz miała, zawdzięcza wyłącznie Cade'owi.

Co do niego czuła? Wdzięczność? Pożądanie?

Pewnie niejedna spośród tłoczących się wokół niej kobiet . przeżywa podobne dylematy. Niejedna zadaje sobie identyczne pytania, dotyczące mężczyzny, z którym dopiero co tańczyła. Mężczyzny, którego pragnęła albo który jej pragnął.

Za chwilę wszystkie wyjdą na salę i znowu będą tańczyć. Albo pójda do domu. Będą się kochać tej nocy, jeżeli tego zechcą. A nazajutrz ich życie pobiegnie utartym torem.

Czuła, że musi postawić sobie te pytania. Skąd jednak miała znać odpowiedź, skoro sama siebie nie znała? I jak mogła przyjąć Cade'a albo mu się oddać, póki się tego wszystkiego nie dowie?

Doprowadź się do porządku, kobieto, powiedziała sama do siebie, starannie rozczesując splątane włosy. Pora znowu stać się rozsądną, chłodną, praktyczną. Zadowolona, że jej włosy odzyskały dawny, przyzwoity wygląd, wrzuciła szczotkę do torebki.

Drzwi otworzyły się i do środka wkroczyła jakaś rudowłosa dziewczyna o nieskończenie długich nogach.

- Ten cholerny sukinsyn złapał mnie za tyłek - obwieściła na cały głos, po czym zniknęła w jednej z kabin, zatraskując z hukiem drzwi.

Bailey zrobiło się ciemno przed oczami. Żeby nie upaść, kurczowo chwyciła się krawędzi umywalki. Kolana się pod nią ugięły. Zaczęła spazmatycznie chwytać powietrze.

- Hej, hej, co ci jest? Źle się czujesz?

Ktoś poklepał ją po plecach, a wszystkie głosy wydały jej się jak brzęczenie pszczoł.

- Zakręciło mi się w głowie. Już dobrze. - Nabrała zimnej wody w złożone dłonie i znowu spryskała sobie twarz.

Kiedy doszła do wniosku, że potrafi już utrzymać się na nogach, urwała kawałek papierowego ręcznika i otarła mokre policzki. Zataczając się jak pijana, wyszła z toalety i zanurzyła w rozwrzeszczaną jaskinię, jaką był ten klub.

Nikt nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Ludzie potrącali ją i popychali. Ktoś zaproponował jej drinka. Ktoś inny skręta. Przebijała się przez zwarty tłum, nie widząc nic prócz oślepiających świateł i ciał pozbawionych twarzy. Kiedy Cade ją odnalazł, była biała jak kreda. Nie zadając pytań, ku hałaśliwej aprobacie sąsiadów, wziął ją po prostu na ręce i wyniósł na dwór.

- Przepraszam. Zrobiło mi się słabo.

- To nie był dobry pomysł. - Cade przeklinał w duszy samego siebie za to, że zabrał ją do tej speluny. - Nie powinienem cię tu przyprowadzać.

- Nie, to był cudowny pomysł. Cieszę się, że mnie tu zabrałeś. Tylko że tam było tak strasznie duszno. - Dopiero teraz uświadomiła sobie, że Cade wciąż trzymają na rękach. Ogarnęła ją fala wdzięczności, a zarazem wstydu. - Mogę już stać o własnych siłach, Cade. Wszystko w porządku.

- Zabieram cię do domu.

- Nie. Jest tu gdzieś jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy usiąść i zaczerpnąć trochę powietrza?

- Oczywiście. - Postawił ją, ale nie przestawał patrzeć na nią z troską w oczach. - Niedaleko stąd jest mała kafejka. Siądziemy sobie na zewnątrz i napijemy się kawy.

- Dobrze.

Chwyciła go mocno za rękę i pozwoliła się prowadzić jak dziecko. Chodnik pod jej stopami trząsał się i wibrował od dobiegających z klubu basowych tonów. Kafejka, znajdująca się parę domów dalej, była równie zatłoczona jak klub, a kelnerzy uwijali się, roznosząc kawy i mrożone napoje.

- Sam się sobie dziwię, że tak mnie wzięło - powiedział Cade, sadzając Bailey przy stoliku.

- Szczerze mówiąc, bardzo mi to pochlebia. Cade usiadł naprzeciw niej.

- Pochlebia ci to?

- Tak. Może nic nie pamiętam, ale na pewno nie jestem głupia. - Bailey z rozkoszą zaczerpnęła świeżego powietrza. - Jesteś niebywale przystojnym mężczyzną, Cade. A kiedy się tu rozglądam... - Bailey omiotła wzrokiem sąsiednie stoliki, stłoczone pod zieloną markizą - widzę same piękne kobiety. Pełno ich w tym mieście - tam, gdzie spacerowaliśmy wczoraj, w tym klubie, a także tutaj, w tej kawiarni. Ale ty wybrałeś mnie, więc mi to bardzo pochlebia.

- Nie o to mi w gruncie rzeczy chodziło ani się tego nie spodziewałem. Tak czy inaczej myślę, że na razie muszę na tym poprzestać. - Cade podniósł wzrok na kelnera, który stanął właśnie nad ich stolikiem. - Cappucino? - zwrócił się do Bailey.

- O, tak, chętnie.

- Zwykle czy bez kofeiny? - zapytał kelner.

- Prawdziwą kawę - odpowiedział Cade i nachylił się ku Bailey. - Wracają ci kolory.

- Bo już mi lepiej. Tam, w toalecie, była pewna kobieta.

- Zaczepiała cię? - zaniepokoił się Cade.

- Nie, nie. - Wzruszona jego reakcją, położyła mu dłoń na rękę. - Zrobiło mi się trochę słabo i wtedy właśnie ona tam weszła. Czy raczej wtargnęła. - Bailey lekko się uśmiechnęła. - A mnie przez ułamek sekundy wydawało się, że ją znam.

Cade chwycił ją mocno za rękę.

- Rozpoznałaś ją?

- Nie, nie... To nie było tak. Szczerze mówiąc, wydawało mi się, że... To był po prostu ten sam typ. Arogancka, pewna siebie, zwracająca uwagę. Wysoka, rudowłosa kobieta w opiętych dżinsach, z blizną na ramieniu. - Bailey zamknęła na chwilę oczy, głęboko odetchnęła, a potem znowu je otworzyła. - Już wiem, ona mi przypominała MJ.

- Tak brzmiał podpis na karteczce, którą miałaś w kieszeni, kiedy przyszedłaś do mojego biura.

- To tkwi gdzieś tutaj - mruknęła Bailey, masując sobie skronie. - W mojej głowie. To coś bardzo ważnego. Czuję, że to ważna sprawa, ale nie potrafię się na tym skoncentrować. Ale jedno wiem na pewno: istnieje jakaś rudowłosa kobieta i jest częścią mojego życia. I mam też złe przeczucia.

- Myślisz, że ona może mieć jakieś kłopoty?

- Nie wiem. Ilekroć usiłuję ją sobie przypomnieć - i jestem już tego bliska - wydaje mi się, że wszystko dobrze się układa. Ale potem zaczynam się bać, bo czuję, że coś jest nie tak. To musi być moja wina.

Cade potrząsnął głową. Obwinianie się w niczym im nie pomoże. Nie tędy droga.

- Opisz mi dokładnie, co widzisz, kiedy zaczynasz ją sobie przypominać. Spróbuj się rozluźnić i opowiedz mi.

- Krótkie, ciemnorude włosy, ostre rysy. Zielone oczy. Ale może to twoje oczy. Z drugiej strony wydaje mi się, że ona ma jednak zielone oczy, i to ciemniejsze niż ty. Czuję, że mogłabym narysować jej portret. Gdybym tylko umiała rysować.

- A może umiesz. - Cade wyjął z kieszeni pióro i notes, i podał je Bailey. - Spróbuj.

Przygryzając wargę, zaczęła rysować ostrą, trójkątną twarz. Kiedy podano kawę, odłożyła z westchnieniem pióro.

- Jednego możemy być już całkiem pewni: nie jestem i nigdy nie byłam artystką.

- W takim razie będziemy musieli postarać się o jakąś artystkę. - Cade sięgnął po notes i widząc nieudolny szkic, szczerze się roześmiał. - Nawet ja zrobiłbym to lepiej, a przecież z trudem zaliczyłem jedyny semestr z rysunku. Potrafiłabyś opisać mi jej rysy?

- Mogę spróbować, chociaż nie widzę jej zbyt wyraźnie. To takie uczucie, jakbym chciała nastawić ostrość kamery, która nie jest całkiem sprawna.

- Policjanci rysownicy potrafią bez trudu wykonać portret pamięciowy.

Ręka, unosząca filiżankę z kawą, zadrżała. Kilka kropel kapnęło na blat stołu.

- Policja - przeraziła się Bailey. - Czy musimy iść na policję?

- Nieoficjalnie. Nie martw się. Zaufaj mi.

- Ależ ufam ci, ufam. - Mimo to słowo „policja” dźwięczało jej w uszach jak dzwon.

- Przynajmniej mamy już coś, czego możemy się trzymać. Wiemy, że MJ to kobieta, wysoka i rudowłosa, z blizną na ramieniu. Mary Jane, Martha June, Melissa Jo? Byłaś z nią na pustyni.

- Widziałam ją we śnie. - Słońce i niebo, i skały. Zadowolenie. A potem strach. - We śnie byliśmy we trójkę, ale wszystko jest takie zamazane.

- Zobaczymy, czy uda nam się ułożyć jakiś rysopis. Będziemy wtedy mieli punkt wyjścia.

Bailey spojrzała na parującą kawę i pomyślała, że tak właśnie wygląda jej życie. Jest jak obłok, za którym kryje się istota rzeczy.

- W twoich ustach brzmi to tak prosto.

- To tylko kolejny krok, Bailey. A my, krok po kroku, będziemy próbowali zbliżyć się do celu.

Skinęła głową i nie odrywając wzroku od filiżanki, zapytała:

- Dlaczego ożeniłeś się z kobietą, której nie kochałeś? Zaskoczony, odchylił się w krześle.

- Co za nagła zmiana tematu.

- Przepraszam. Sama nie wiem, czemu cię o to pytam. Przecież to nie moja sprawa.

- Nie jestem tego taki pewien. Zważywszy na okoliczności, masz pełne, prawo o to zapytać. - Niecierpliwie zabębnił palcami w stół. - Można by powiedzieć, że uległem naciskom rodziny, ale to byłby wykręt. Nikt nie przykładał mi lufy do głowy i byłem już pełnoletni.

Nagle zdał sobie sprawę, że niełatwo mu się do tego przyznać. Żeby jednak być uczciwym w stosunku do Bailey, musiał stawić czoło prawdzie.

- Można powiedzieć, że bardzo się lubiliśmy. Przynajmniej przed ślubem. Kilka miesięcy małżeństwa położyło kres tej przyjaźni.

- Tak mi przykro, Cade. - Widziała jego zażenowanie i domyśliła się, że nie są to radosne wspomnienia. I choć zazdrościła mu nawet tych niemiłych wspomnień, poczuła wyrzuty sumienia, że to ona je przywołała. - Nie musisz do tego wracać.

- Było nam dobrze w łóżku - ciągnął Cade, nie zwracając uwagi na jej protesty i patrząc jej przenikliwie w oczy. - Aż do samego końca seks był w porządku. Problem polegał na tym, że pod sam koniec, który nastąpił w niespełna dwa lata po ślubie, był już tylko sam seks i ani odrobiny serca. Staliśmy się sobie kompletnie obojętni. Para znudzonych ludzi, zmuszonych do przebywania pod jednym dachem. Wszystko się do tego sprowadza. Nie było innego mężczyzny ani innej kobiety. Żadnych wściekłych awantur o pieniądze, pracę, brudne talerze, dzieci. Nie czuliśmy do siebie nic. Staliśmy się sobie obojętni. A kiedy to nastąpiło, zrodziła się w nas wrogość. Potem wkroczyli adwokaci i wtedy zrobiło się jeszcze gorzej. I to już był koniec. Bailey słuchała go ze ściśniętym sercem.

- Czy ona cię kochała?

- Nie - odpowiedział natychmiast, a potem zmarszczył brwi, spojrzał przed siebie nie widzącym wzrokiem i znów spróbował być szczery. A jego odpowiedź była smutna i raniąca.

- Nie, nie kochała mnie ani trochę więcej niż ja ją. I żadnemu z nas nie chciało się nawet postarać. - Wyjął pieniądze z portfela i rzucił je na stolik. - Wracamy do domu - powiedział wstając.

- Cade. - Bailey nieśmiało dotknęła jego ramienia. - Zasłużyłeś sobie na coś lepszego.

- Tak. - Spojrzał na rękę spoczywającą na jego ramieniu, na delikatne palce, ładne pierścionki. - Podobnie jak ona. Ale teraz już za późno. - Uniósł jej rękę. Pierścionek zalsnił. - Można zapomnieć wiele rzeczy, Bailey, ale czy można zapomnieć miłość?

- Przestań.

Niech go piekło pochłonie, jeżeli się teraz wycofa. Poczł się tak, jakby ktoś cisnął mu w twarz całe jego nieudane małżeństwo.

- Bailey, gdyby jakiś mężczyzna włożył ci na palec ten pierścionek, mężczyzna, którego kochałaś, czy mogłabyś o tym zapomnieć?

- Nie wiem. - Wyrwała mu się i pospiesznie ruszyła w stronę samochodu. A kiedy podbiegł i odwrócił ją ku sobie, oczy miała pełne gniewu i lęku.

- Naprawdę nie wiem.

- Nie zapomniabyś. Nie mogłabyś, gdyby to było ważne. A to teraz jest bardzo ważne.

Zaczął miażdżyć ustami jej usta, przyciskając ją do karoserii, ogarnięty rozpaczą i pożądaniem. Zniknęła gdzieś cierpliwość i sztuka powolnego uwodzenia. Została tylko czysta żądza. Pragnął Bailey, chciał, by była mu uległa i pożądała go równie rozpaczliwie. Tutaj i teraz.

W tej chwili.

Najpierw przyszła panika, która schwyciła ją za gardło i pozbawiła tchu. Nie potrafiła odwzajemnić mu tej niepohamowanej namiętności. Nie była przygotowana. Nie miała dość siły, żeby się jej poddać i przeżyć.

Więc poddała się, nagle i bez reszty, niemal bezmyślnie, z nadzieją, że on jej nie skrzywdzi. Modłać się o to, żeby nie potrafił. Uległa potężnej fali gorąca, miażdżącej sile pożądania, i dała się jej unieść przez krótką chwilę.

Chociaż wiedziała, że tego też może nie przeżyć.

Drżała, a on odczuwał wściekłość i palący wstyd. Sprawiał jej ból. Zresztą, w gruncie rzeczy jakby tego chciał w nadziei, że ona zapamięta, iż ją zranił. Czy nie łatwiej zapamiętać ból niż dobroć? Wiedział już, że gdyby o nim zapomniła, nie przeżyłby tego.

Jeśli jednak ją zrani, zabije wszystko, na czym mu kiedykolwiek zależało.

Puścił ją i cofnął się o krok. Bailey uniosła ręce i zasłoniła się obronnym gestem, który trafił go w serce jak nóż. Z dala dobiegały dźwięki muzyki i podniesione głosy. Ktoś głośno się śmiał.

Popatrzył na Bailey. Stała, zalękniona jak łania schwytna w pułapkę reflektorów.

- Przepraszam.

- Cade...

Uniósł ręce do góry, jakby się poddawał.

- Przepraszam - powtórzył. - To mój problem. Odwiozę cię do domu.

A kiedy już ją odwiózł, kiedy Bailey była w swoim pokoju i światła pogasły, położył się w hamaku, skąd mógł patrzeć w jej okna.

Wtedy też uświadomił sobie, że to nie rozpamiętywanie jego życia wytrąciło go z równowagi. Znał przecież jego wzloty i upadki, fałszywe kroki i głupie pomyłki. To przez te jej pierścionki na palcach. Patrząc na nie, musiał wreszcie dopuścić do siebie myśl, że mogła dostać je od jakiegoś mężczyzny. Od mężczyzny, który być może czeka, żeby sobie o nim przypomniwała.

I nie chodziło wcale o seks. Seks był łatwy. Dobrze wiedział, że oddałaby mu się tego wieczora. Widział to w jej oczach, kiedy wszedł do kuchni, a ona siedziała pogrążona w czytaniu, ale myślała tylko o nim. I pragnęła go. Tak jak on jej.

Musiał być głupcem, żeby nie wziąć tego, co mu ofiarowywano. Nie zrobił tego, ponieważ chciał dostać więcej. Znacznie więcej.

Chciał miłości, a przecież było to tak nierozważne pragnienie. Była zdezorientowana, przerażona, w kłopotach, którym żadne z nich nie potrafiło zaradzić. Mimo to pragnął, by zakochała się w nim tak całkowicie i bez reszty jak on w niej.

A to bardzo nierozsądne.

Tylko że on nie dbał o rozsądek.

Zabije smoka, który mu bronił do niej dostępu - bez względu na koszty. A kiedy już go zabije, pokona każdego, kto mu stanie na drodze i będzie chciał przeszkodzić w zatrzymaniu Bailey. Nawet gdyby to była ona sama.

Gdy wreszcie zasnął, miał sen. Śniły mu się smoki, czarna noc i złotowłosa dama zamknięta w wieży, która kręci na kołowrotku niebieskie diamenty.

A kiedy Bailey zasnęła, także miała sen. Śniły jej się błyskawice i strach, i ucieczka przez noc, i moc bogów, unoszona w kurczowo zaciśniętych dłoniach.

ROZDZIAŁ 7

Bailey źle spała tej nocy, mimo to obudziła się już o siódmej rano. Widocznie miała jakiś wewnętrzny zegar, który nakazywał jej budzić się o pewnej stałej porze. Nie potrafiła przy tym osądzić, czy dzięki temu była obowiązkowa, czy może tylko nudna. Tak czy inaczej, wstała i powściągnąwszy chęć, by pójść korytarzem i zajrzeć do pokoju Cade'a, zeszła na dół, prosto do kuchni, zaparzyć kawę.

Czuła, że Cade był na nią zły. A ona nie miała pojęcia, jak poradzić sobie z jego gniewem. Przez całą drogę z Georgetown nie odezwał się ani słowem, a cisza w samochodzie była ponura i - tego Bailey była absolutnie pewna - naładowana seksualną frustracją.

Zastanawiała się, czy kiedykolwiek mogła być przyczyną seksualnej frustracji jakiegoś mężczyzny. Pomyślała też, że wolałaby nie odczuwać tej wewnętrznej, czysto kobiecej satysfakcji, iż udało jej się wpędzić w rozdrażnienie tak atrakcyjnego mężczyznę jak Cade.

Ale poza tym ta nieustanna huśtawka nastrojów męczyła ją i drażniła. W pewnej chwili pomyślała nawet, że wie niewiele więcej o ludzkiej naturze niż o swojej przeszłości.

A czy w ogóle wiedziała cokolwiek o mężczyznach?

Czy mężczyźni zawsze zachowują się w tak niekonsekwentny sposób? A jeżeli tak, to jak radzą sobie z tym mądre kobiety? Czy powinna traktować go chłodno i wyniośle, póki Cade nie wytłumaczy się jej ze swojego postępowania? A może raczej powinna zachowywać się przyjaźnie, jakby nigdy nic? Jakby nie całował jej tak zachłannie. Jakby jej nie dotykał, nie wodził dłońmi po jej ciele tak władczo. Jakby najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem było zmienić ją w rozedrgany kłębek nerwów i pożądania.

A na domiar złego ona sama czuła się na przemian to onieśmielona, to rozdrażniona. Sięgnęła do lodówki po mleko. Skąd, na Boga, miała wiedzieć, jak powinna się zachować? Przecież nawet nie wiedziała, czy ktoś już ją kiedyś tak całował, czy kiedykolwiek tak się czuła, czy kogoś tak bardzo pragnęła? Czy tylko dlatego, że utraciła swoją tożsamość, ma zgadzać się na wszystko i iść w każdym kierunku, jaki wskaże jej Cade Parris?

I czy jeśli wskaże na łóżko, ona ma potulnie do niego wskoczyć?

O, nie, tak nie mogło być. Jest dorosłą kobietą, zdolną podjąć rozsądną decyzję. Nie jest ani głupia, ani bezradna. W końcu, mimo amnezji, potrafiła wynajść sobie detektywa, prawda?

A niech to diabli!

To, że nie znała żadnych wzorców swojego dawnego postępowania, nie musi przecież znaczyć, że nie będzie w stanie wytyczyć sobie nowych. Tutaj i teraz.

Nie będzie popychadłem.

Nie będzie głupia.

I nie będzie ofiarą.

Rzuciła karton mleka na blat z kolorowego granitu i wyrzała przez okno. Cade miał pecha, że nakryła go śpiącego w hamaku w chwili, gdy jej zły humor sięgał szczytu.

Nie drzemałby tak spokojnie, gdyby mógł zobaczyć, jak płoną jej oczy, a usta wyginają się we wzgardliwym grymasie. Naładowana wściekłością, Bailey wypadła z domu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi, i pomaszerowała przez trawnik.

Podeszła do hamaka i mocno nim szarpnęła.

- Co ty sobie wyobrażasz? Kim ty właściwie jesteś?

- Co? - Wyrwany brutalnie ze snu, Cade poderwał się, chwytając boki hamaka, żeby odzyskać równowagę. Głowę wciąż miał pełną sennych majaków. - Co? Nie pamiętasz?

- Nie rób ze mnie idiotki. - Kiedy próbował usiąść, Bailey raz jeszcze, potrząsnęła hamakiem. - To ja podejmuję decyzje dotyczące mojej osoby. Ja odpowiadam za moje życie - nawet za takie jak w tej chwili. Wynajęłam cię po to, żebyś pomógł mi dowiedzieć się, kim jestem i co mi się przydarzyło. Nie płacę ci za to, żebyś robił kwaśną minę, bo nie chcę pójść z tobą do łóżka, kiedy ty masz na to ochotę.

- Dobrze już, dobrze. - Cade potarł oczy i wreszcie udało mu się skupić wzrok na pięknej i rozwścieczonej twarzy, która się nad nim nachylała. - O czym ty mówisz, do licha? Wcale nie robię kwaśnej miny, ja tylko...

- Tylko mi nie mów, że to nie są dąsy - odparowała. - Czemu śpisz na podwórku, w hamaku, jak jakiś włóczęga?

- Przecież to moje podwórko - stwierdził z pewną irytacją. Co za dziki pomysł wyrywać go ze snu i wciągać w idiotyczną kłótnię, zanim do końca się obudzi.

- Zabierasz mnie na tańce - ciągnęła Bailey, miotając się po trawniku - próbujesz mnie uwieść na parkiecie, a potem wpadasz w histerię, bo...

- W histerię? - Cade poczuł się dotknięty. - Słuchaj, kochanie, jeszcze nigdy w życiu nie wpadłem w histerię.

- A ja ci mówię, że tak było, a poza tym przestań mówić do mnie kochanie, i to jeszcze takim tonem.

- Nie podoba ci się mój ton? - Oczywiście Cade'a zwały się w zielone szparki. - No to wypróbujemy całkiem nowy i zobaczymy, co ty na to... - zakończył przekleństwem, bo Bailey szarpnęła za sznurki tak silnie, że wypadł na ziemię.

Pierwszą reakcją Bailey było zaskoczenie, potem zapragnęła go przeprosić. W końcu jednak rozmyśliła się i odmaszerowała z dumnie uniesioną głową.

Cade wylądował na trawie z głuchym łomotem i był niemal pewny, że usłyszy trzask łamanych kości. Tymczasem nic takiego się nie stało. Wobec tego poderwał się na nogi i lekko utykając, dogonił Bailey, zanim zdążyła wejść do domu.

Chwycił ją za ramię i odwrócił twarzą ku sobie.

- Co cię opętało...

- Dostałeś za swoje - prychnęła Bailey. W głowie jej huczało, a serce waliło jak młotem.

- Ale za co?

- Za... byle co.

- No, to już wszystko jasne.

- Proszę, zejdź mi z drogi. Idę na spacer.

- Nie - powiedział dobitnie. - Nigdzie nie idziesz.

- Nie możesz mi nic kazać.

Szybko ocenił, że jest od niej ze dwa razy cięższy i co najmniej dwadzieścia centymetrów wyższy.

- Owszem, mogę - syknął. - Widzę, że ty wpadłaś w histerię.

To dopełniło czary goryczy.

- Nie wpadłam w histerię. Gdyby tak było, startałabym ci z twarzy ten złośliwy uśmiech i wydrapała oczy i...

Żeby uniknąć dalszej dyskusji, Cade przerzucił ją sobie przez ramię i wniósł do domu. Chociaż wrywała mu się, kopiąc i bijąc go pięściami, zdołał ją posadzić na krześle w kuchni. Potem położył jej ręce na ramionach i zbliżywszy twarz do jej twarzy, wydał jeden, zwięzły rozkaz:

- Siedź tu!

Pomyślał, że jeżeli natychmiast nie napije się kawy, umrze.

- albo kogoś zabije.

- Zwalniam cię! - krzyknęła Bailey.

- To fajnie. - Cade nalał sobie kawy i wypił duszkiem cały kubek. - O Boże, co za początek dnia. - Chwycił buteleczkę aspiryny i zaczął się mocować ze specjalnie

zabezpieczaną nakrętką, a tymczasem ból głowy, który przycisnął się pod czaszką, wybuchnął ze zdwojoną siłą.

- Nie zniosę tego, żeby jakaś baba wrzeszczała na mnie, zanim zdążę otworzyć oczy. Nie wiem, co cię ugryzło, moja kochana, ale opanuj się łaskawie, przynajmniej dopóki ja...

Z głośnym przekleństwem walnął nakrętką w marmurowy blat.

Głowa mu pękała, bolało stłuczone kolano i czuł, że byłby w stanie przegryźć plastik, byle tylko dostać się do upragnionych tabletek.

W końcu, klnąc siarczyście, wyrwał rzeźnicki nóż z drewnianego klocka i zaczął nim walić w butelkę, póki nie przeciął plastikowej szyjki. Z twarzą ściągniętą z wściekłości odwrócił się do Bailey, z butelką w jednej ręce, a nożem w drugiej.

- Posłuchaj... - zaczął ze wściekłą miną.

Bailey zabrakło tchu. Błada jak kreda, zsunęła się z krzesła na podłogę w głębokim omdleniu, zanim zdążył wykonać choćby jeden ruch.

- Dobry Boże. - Nóż wypadł mu z ręki, a tabletki aspiryny rozsypały się po całej kuchni, kiedy rozerwana butelka upadła na podłogę. Cade chwycił Bailey na ręce i z braku lepszego miejsca położył ją na kuchennym stole, a potem zmoczył pod zlewem lniany ręcznik.

Obmywał jej twarz i rozcierał nadgarstki, przeklinając w duchu swoją porywczość. Jak mógł tak na nią krzyczeć? Jak mógł zachować się tak po chamsku, wiedząc, że jest taka wrażliwa? Może następnym razem, kiedy się zdenerwuje, pójdzie i skopie jakiegoś małego pieska albo kotka?

Kiedy Bailey poruszyła się i cicho jęknęła, przycisnął do ust jej dłoń.

- Obudź się, Bailey, obudź się. - A kiedy zatrzepotała powiekami i otworzyła oczy, pogłaskał ją po głowie. - Już wszystko dobrze, Bailey, tylko spokojnie.

- On mnie zabije! - Bailey patrzyła na niego nie widzącym wzrokiem. Chwyliła go kurczowo za koszulę, łapiąc oddech.

- On mnie zabije.

- Nie bój się, nikt cię nie skrzywdzi. Jestem przy tobie.

- On mnie zabije. On ma nóż. Jeżeli mnie znajdzie, na pewno mnie zabije.

Musi jej pomóc, bo przecież mu zaufała. Delikatnie rozprostował jej palce i zamknął w swojej dłoni.

- Kto ma nóż, Bailey? - zapytał cichym, spokojnym głosem.

- Kto chce cię zabić?

- On... on... - Miała to przed oczyma: ręka z nożem, który połyskiwał przy każdym ruchu. - Wszędzie jest krew, tyle krwi. Muszę uciec przed tą krwią. Nóż. Błyskawice. Muszę uciekać.

Cade trzymał ją mocno, a głos miał nadal spokojny.

- Gdzie jesteś? Powiedz mi, gdzie jesteś?

- W ciemnościach. Wszystkie światła zgasły. On mnie zabije. Muszę uciekać.

- Dokąd?

- Gdziekolwiek. - Oddech miała tak przyspieszony, że niemal ranił jej gardło. - Byle gdzie, byle dalej. Jeśli mnie znajdzie, zabije mnie.

- On cię nigdy nie znajdzie. Ja mu na to nie pozwolę. - Otoczył dłońmi jej twarz i zwrócił ku sobie tak, że ich spojrzenia się spotkały. - Uspokój się, odpocznij...

Pomyślał, że jeśli nie przestanie tak dyszeć, znowu straci przytomność.

- Jesteś tutaj bezpieczna. Ze mną zawsze będziesz bezpieczna. Rozumiesz?

- Tak, tak. - Zamknęła oczy, a potem wstrząsnął nią dreszcz. - Tak. Powietrza. Proszę, potrzebuję więcej powietrza.

Cade znowu wziął ją na ręce i wyniósł na patio. Posadził ją w wyściełanym fotelu, a sam usiadł obok.

- Uspokój się. Pamiętaj, że jesteś tu bezpieczna. Nic ci nie grozi.

- Tak, w porządku. - Z wysiłkiem zrobiła głęboki wydech, bo zdawało się jej, że powietrze rozsadzi jej płuca. - Już wszystko w porządku.

Niestety, nie, pomyślał Cade. Bailey była biała jak ściana, skórę miała wilgotną i wciąż drżała. Ale jej pamięć została uruchomiona i trzeba było nakierować ją teraz na właściwe tory.

- Póki jesteś ze mną nikt nie zrobi ci krzywdy. Nikt cię tu nie znajdzie. Pamiętaj o tym i spróbuj mi opowiedzieć wszystko, co sobie przypomniałaś.

- To są takie przebłyski. - Spróbowała oddychać mimo bolesnego ucisku w klatce piersiowej. - Kiedy trzymałeś ten nóż...

- Urwała. Strach znowu chwycił ją w swoje szpony.

- Przestraszyłem cię. Przepraszam. - Cade ujął ją za rękę.

- Ale chyba wiesz, że nie chciałem zrobić ci krzywdy.

- Wiem. - Znowu zamknęła oczy, a promienie słońca padły na jej powieki. - Był tam nóż. Z długim, zakrzywionym ostrzem. Bardzo piękny. Miał rzeźbioną rękojeść z kości słoniowej. Widziałam go, a może nawet go używałam.

- Gdzie go widziałaś?

- Nie wiem. Słyszałam jakieś głosy i krzyki. Ale nie słyszałam, co mówią. To było jak szum morza, narastający, gwałtowny ryk. - Zatkala rękami uszy, jakby chciała odciąć się od tego hałasu. - A potem była krew, wszędzie pełno krwi. Cała podłoga była nią zalana.

- Jaka to była podłoga?

- Dywan. Szary dywan. I ciągle się błyskało. A nóż też połyskiwał jak błyskawica.

- Jest tam jakieś okno? Czy widzisz te błyskawice przez okno?

- Tak. Chyba tak... - Bailey znowu zadrżała, a scena, którą usiłowała przywołać z pamięci, roztopiła się w mroku. - Jest ciemno. Wszędzie panują ciemności, a ja muszę się stamtąd wydostać. Muszę się gdzieś ukryć.

- Gdzie musisz się ukryć?

- To takie małe pomieszczenie, jak komórka, a jeżeli on mnie zobaczy, zginę. On ma nóż. Widzę go, widzę jego dłoń zaciśniętą na rękojeści. Jest tak blisko. Jeżeli się odwróci...

- Opowiedz mi o tej ręce, Bailey - łagodnie przerwał jej Cade. - Jak wyglądała ta ręka?

- Jest ciemno, bardzo ciemno, ale widzę poruszającą się smugę światła. Już mnie prawie dosięgła. On trzyma nóż, palce aż mu zbieleły. Jest na nich krew. I na pierścieniu też jest krew.

- Jak wygląda ten pierścień, Bailey? - Cade nie przestawał spoglądać jej z napięciem w twarz, ale głos miał spokojny. - Przypomnij sobie ten pierścionek.

- Gruby, złoty sygnet. Z złotego złota. A centralny kamień to rubinowy kaboszon. Po obu stronach ma małe diamenty, o brylantowym szlifie. Ma też stylizowany monogram - T.S. Brylanty są czerwone od krwi. On jest już blisko, tak blisko. Czuję zapach krwi. Jeżeli popatrzy w dół, zobaczy mnie. A jak mnie zobaczy, to mnie zabije. Pokroi mnie na kawałki, jeśli mnie znajdzie.

- Przecież cię nie znalazł. - Cade nie mógł już dłużej tego znosić. Porwał Bailey w ramiona i przyciągnął do siebie. - Uciekłaś mu. W jaki sposób udało ci się uciec, Bailey?

- Nie wiem. - Nagle poczuła niewysłowioną ulgę. Cade trzymał ją w objęciach, słońce przyjemnie rozgrzewało jej skórę, policzek Cade'a był tuż przy jej policzku. Miała ochotę płakać ze szczęścia. - Nie pamiętam.

- Już dobrze. Wystarczy.

- Może go zabiłam. - Bailey odsunęła się i spojrzała Cade'owi w oczy. - Może użyłam tego pistoletu, który był w torbie, i zastrzeliłam go.

- Przecież ci mówiłem, że magazynek był pełny.

- Mogłam go potem załadować.

- Kochanie, moim zdaniem, a jestem w tych sprawach fachowcem, nie potrafiłabyś tego zrobić.

- Ale gdybym...

- A nawet jeżeli - ujął ją za ramiona i lekko nią potrząsnął - zrobiłaś to w obronie własnej. On był uzbrojony, ty byłaś przerażona i wygląda na to, że on rzeczywiście kogoś wcześniej zabił. W tej sytuacji każde twoje posunięcie było właściwe.

Bailey odsunęła się i popatrzyła w dal, poprzez patio, kwiaty, stare drzewa i solidne ogrodzenie.

- Co ze mnie za człowiek? Bardzo możliwe, że byłam świadkiem morderstwa, a nie zrobiłam nic, żeby mu zapobiec.

- Bailey, bądź rozsądna. Co mogłaś zrobić?

- Cokolwiek - mruknęła. - Nie poszłam do telefonu, nie zadzwoniłam na policję. Tylko sama uciekłam.

- Bo gdybyś nie uciekła, już byś nie żyła. - Musiał powiedzieć to ostrym tonem, ponieważ Bailey lekko się wzdrygnęła. Jednak właśnie tego było jej potrzeba. - A tymczasem żyjesz i zobaczysz, że uda nam się rozwikłać tę zagadkę.

Wstał i cofnął się, nie chcąc poddać się pokusie, żeby wziąć ją w ramiona.

- Byłaś w jakimś budynku. W pomieszczeniu z szarym dywanem i prawdopodobnie z oknem. Doszło do jakiejś kłótni, i ktoś miał nóż i użył go. Ten ktoś może mieć inicjały T.S. Potem zapadły ciemności i ten ktoś cię ścigał. Prawdopodobnie wyłączono wtedy prąd. Cały kwartał w północno - zachodniej części Waszyngtonu miał przez dwie godziny wyłączone światło w noc przed tym, nim pojawiłaś się w moim biurze, więc mamy już skąd zaczynać. Musiałaś znać ten budynek dość dobrze, skoro wiedziałaś, gdzie szukać kryjówki. Zaryzykowałbym twierdzenie, że albo tam mieszkałaś, albo pracowałaś.

Odwrócił się i zauważył, że Bailey uważnie go słucha, a jej ręce, spoczywające na kolanach, były już spokojne.

- Mogę sprawdzić w raportach policyjnych, czy tej nocy była jakaś bójka na noże, ale przeglądałem gazety i w prasie nie ma na ten temat ani słowa.

- Przecież to było kilka dni temu. W tym czasie ktoś musiał znaleźć... znaleźć ciało, jeśli takie było.

- Niekoniecznie. To mogło się zdarzyć w prywatnym domu albo w jakimś biurze, które zamknięto na ten długi weekend. Gdyby ktoś był wtedy w tym budynku, jacyś inni ludzie, na pewno zgłosiliby to na policję. Wszystko przemawia za tym, że byłaś sama.

Na samą myśl o tym poczuł bolesny skurcz żołądka. Bailey w ciemnościach, sam na sam z mordercą.

- Burza rozpełtała się dopiero po dziesiątej wieczorem. Było to całkiem logiczne i ten prosty krok od teorii do praktyki trochę ją uspokoił.

- No to co teraz zrobimy? - zapytała.

- Objedziemy ten rejon, gdzie wyłączono prąd, poczynając od hotelu, w którym wylądowałaś.

- Ale ja nie pamiętam, jak dostałam się do tego hotelu. Nie wiem, czy przyszłam, czy wzięłam taksówkę.

- Albo przyszłaś, albo przyjechałaś metrem lub autobusem. Sprawdziłem już wszystkie taksówki. Żadna z korporacji nie miała tamtej nocy kursów w okolicy hotelu. Możemy wyjść z założenia, że przyszłaś na piechotę, zbyt wstrząśnięta i przerażona, żeby pomyśleć o autobusie. A ponieważ metro kursuje tylko do północy, można je raczej wykluczyć.

Bailey skinęła głową i spojrzała na swoje ręce.

- Przykro mi, że tak na ciebie krzyczałam. Nie zasłużyłeś na to, po tym wszystkim, co dla mnie zrobiłeś.

- Owszem, zasłużyłem sobie na to. - Cade wsunął ręce do kieszeni. - Nie przyjmuję też do wiadomości terminu „histeria”, chociaż jestem w stanie zgodzić się z tym, że miałem kwaśną minę. - Z radością zauważył, że Bailey podniosła głowę, a jej usta rozchyliły się w lekkim uśmiechu.

- Zdaje mi się, że oboje mieliśmy kwaśne miny. Czy bardzo się uderzyłeś, kiedy cię wyrzuciłam z hamaka?

- Moje ego będzie nosić blizny jeszcze przez dłuższy czas. Ale poza tym, zbytnio nie ucierpiałem. - Cade lekko przechylił głowę i spojrzał z ukosa na Bailey. W jego oczach zapaliły się błyski. - I jeszcze jedno, ja nie próbowałem cię uwodzić na parkiecie, Bailey. Ja cię uwiodłem na parkiecie.

Bailey poczuła, że jej puls lekko przyspieszył. Cade był niebywale przystojny, kiedy tak stał w porannym słońcu, nieogolony i potargany, z dołeczkami na policzkach i aroganckim uśmiechem. Pomyślała, że chyba nie ma takiej kobiety, której na ten widok nie zmiękłyby kolana.

Była też absolutnie pewna, że Cade doskonale o tym wie.

- Wydaje mi się, że z bliznami czy bez, twoje ego świetnie funkcjonuje.

- Możemy przeciwżyć to jeszcze raz.

Bailey spłonęła rumieńcem, ale zaraz się uśmiechnęła.

- Cieszę się, że już się na mnie nie gniewasz. Nie wydaje mi się, żebym dobrze znosiła takie konfrontacje.

Cade pomasował łokieć, odarty z kilku warstw naskórka.

- Och, bardzo dobrze sobie poradziłaś. Teraz trochę posprzątam, a potem wybierzemy się na niedzielną przejażdżkę.

Ile tu rozmaitych budynków, myślała Bailey, kiedy Cade woził ją po mieście. Stare i nowe, na wpół zrujnowane czynszówki i świeżo wyremontowane kamienice. Wysokie biurowce i niskie witryny sklepów.

Zastanawiała się, czy już kiedyś oglądała to miasto. Strome kamienne mury, drzewa rosnące na chodnikach. Krztuszące się autobusy o piszczących hamulcach.

Czy w lipcu zawsze jest tak wilgotno? Czy niebo w lecie zawsze ma kolor papieru? I czy kwiaty zawsze rosną tak bujnie wokół pomników i wzdłuż ulic?

Czy robiła już kiedyś zakupy w jednym z tych sklepów, czy jadła w którejś z restauracji?

Znowu wjechali między szpaler wysokich, rozłożystych drzew. Bailey miała wrażenie, że jadą przez park, a nie przez zatłoczone centrum wielkiego miasta.

- Przykro mi, ale chyba widzę to wszystko po raz pierwszy - powiedziała.

- Nie szkodzi. Albo coś nagle zaskoczy, albo nie.

Minęli stare, okazałe budynki z granitu i cegły, a potem kolejny ciąg sklepów, drogich i ekskluzywnych. Nagle z ust Bailey wyrwał się cichy dźwięk. Cade natychmiast zwolnił.

- Coś ci się przypomniało?

- Ten butik. „Marguerite”. Nie wiem.

- No to go sobie obejrzymy. - Zawrócił i wjechał na mały parking, który obsługiwał kilka najbliższych sklepów. - Wprawdzie wszystko jest zamknięte, ale to nie znaczy, że nie możemy popatrzeć na wystawy. - Nachylił się i otworzył Bailey drzwiczki, a potem sam wysiadł z samochodu.

- Może po prostu spodobała mi się ta sukienka na wystawie - mruknęła Bailey.

Suknia była rzeczywiście prześliczna - z lśniącego, różowego jedwabiu, na cieniutkich ramiączkach, z wąskim paskiem sztucznych brylancików, krzyżującym się pod biustem.

Ekspozycję uzupełniała srebrna, wizytowa torebka i niebywale wysokie szpilki, także srebrne.

Widząc zachwycony uśmiech Bailey, Cade pożałował, że sklep nie jest otwarty, bo natychmiast kupiłby jej tę sukienkę.

- To twój styl, prawda? - stwierdził.

- Sama nie wiem. - Przytknęła dłonie do szyby i z przyjemnością patrzyła na elegancką wystawę. - Ten granatowy kostium z lnu także jest bardzo piękny. Ach, popatrz na tę czerwoną suknię! Cudowna! W takiej sukni kobieta czuje się jak królowa. Myślę, że powinnam zacząć nosić bardziej zdecydowane kolory, chociaż najbardziej lubię odcienie pastelowe.

- *Przymierz ten trawiasty kostium, Bailey. On naprawdę ma w sobie coś. Co może być bardziej nudnego niż osoba, która boi się ubrać z charakterem ?*

- *Jak długo każecie mi czekać? Kiedy wreszcie przestaniecie przebierać w tych szmatkach ? Nie widzicie, że umieram z głodu ?*

- *Och, nie nudź - Lubisz tylko dwie rzeczy - jeść i kupować pięćdziesiąt parę spodni. Bailey, w żadnym wypadku ten okropny beż - Tylko zieleń. Zaufaj mi.*

- Namówiła mnie - mruknęła Bailey. - Namówiła mnie na ten zielony kostium. I miała rację. Ona zawsze ma rację.

- Kto ma rację? - Cade nawet nie położył jej ręki na ramieniu. Bał się ją spłoszyć. - Kto ma rację? MJ?

- Ach, nie, nie. Nie MJ. Ona jest strasznie niecierpliwa i nienawidzi tracić czasu. A zakupy to przecież taka strata czasu.

Boże, jak strasznie boli ją głowa. Miała wrażenie, że lada chwila pęknie z bólu. Jednak przemogła się i próbowała skoncentrować na tej jednej rzeczy. Na tej właśnie odpowiedzi. Czuła bolesny skurcz żołądka. Skóra jej zwilgotniała. Z trudem powstrzymywała mdłości.

- Grace. - Nagle usłyszała swój głos, wypowiadający to imię. - Grace - powtórzyła i ugięły się pod nią nogi. - Ona ma na imię Grace. Grace i MJ. - Łzy trysnęły jej z oczu. Zarzuciła Cade'owi ręce na szyję. - Byłam tu. Byłam w tym sklepie. Kupiłam zielony kostium. Pamiętam.

- Dobrze. Dobra robota, Bailey. - Cade mocno ją przytulił.

- Ale to już wszystko. - Bailey przycisnęła dłoń do czoła. Ból rozsadzał jej czaszkę. - To wszystko, co pamiętam. Byłam z nimi i kupowałam kostium. Jakie to głupie. Czemu miałabym akurat zapamiętać coś takiego jak kupno stroju?

- Pamiętasz ludzi. - Cade zaczął jej masować skronie. Niemal czuł pulsujący ból. - Te kobiety są dla ciebie ważne. Spędziłaś z nimi jakieś miłe chwile.

- Ale ja ich nie pamiętam. Prawie wcale, Pamiętam tylko atmosferę, uczucia.

- To dobry znak. To oznacza, że wreszcie nastąpił jakiś przełom. - Cade musnął ustami jej czoło, a potem pociągnął do samochodu. - Teraz wszystko pójdzie już bardzo

szybko. - Posadził ją na przednim fotelu i zapiął jej pasy. - Oczywiście wiem, że to bolesny proces.

- Ach, to nieważne. Ja muszę się wszystkiego dowiedzieć.

- Ale dla mnie to bardzo ważne. Nie chcę, żebyś niepotrzebnie cierpiała. Teraz musisz coś zjeść i wziąć proszki na ból głowy. A potem pojedziemy dalej.

Cade był głuchy na wszystkie argumenty. Bailey doszła do wniosku, że nie jest w stanie wygrać bitwy z nim i z paralizującym bólem głowy jednocześnie. Pozwoliła się położyć do łóżka i posłusznie połknęła aspirynę. Zamknęła oczy, tak jak jej kazał, i otworzyła je dopiero gdy przyniósł jej talerz zupy z kurczaka.

- Niestety z puszki - powiedział, podkładając jej pod plecy kilka poduszek - ale mam nadzieję, że poczujesz się lepiej.

~ Mogę przecież zjeść w kuchni, Cade. To tylko ból głowy, a nie zapaść. I już mi prawie przeszło.

- Później będę bardzo zajęty. Więc korzystaj teraz z okazji i pozwól się obsłużyć.

- Dobrze, niech ci będzie. - Bailey nabrała łyżkę zupy. - Pyszna. Dodałeś tymianku.

~ Tak. To miał być ten mały akcent francuski. Uśmiech zniknął z twarzy Bailey.

- Paryż - mruknęła. - Było coś w związku z Paryżem. - Kiedy spróbowała się skupić, ból znowu powrócił.

- Daj sobie spokój. - Cade usiadł obok niej. - Myślę, że twoja podświadomość daje ci znać, że nie jesteś jeszcze do końca gotowa, żeby sobie wszystko przypomnieć. Wystarczy, jak będziesz to robić stopniowo.

- Musi wystarczyć. - Bailey znowu się uśmiechnęła. - Chcesz trochę zupy?

- Teraz, kiedy o to spytałaś, nabrałem apetytu. - Nachylił się, a Bailey karmiła go łyżką. - Nie wydaje ci się, że jest trochę za bardzo wodnista?

Tym razem Bailey sama podniosła łyżkę do ust.

- Nie, jest naprawdę pyszna. Dziwię się, że twoja żona pozwoliła ci odejść, bo w kuchni radzisz sobie wspaniale.

- Moja była żona, a poza tym mieliśmy kucharkę.

- Rozumiem. - Znowu zaczęła go karmić. - Nie wiem, jak zapytać, żeby to nie wyglądało na brak taktu.

Cade odgarnął jej kosmyk za ucho.

- Po prostu zapytaj.

- Masz taki piękny dom pełen antyków, lubisz sportowe samochody... a pracujesz w takim biurze...

- Coś ci się nie podoba w moim biurze? - Usta Cade'a lekko drgnęły.

- Nie. To znaczy nic, czemu jeden spychacz i porządna ekipa remontowa nie mogłyby zaradzić. Chodzi mi o to, że to biuro tak bardzo nie pasuje do reszty.

- Postanowiłem sobie, że moje biuro ma być samowystarczalne, a na razie nie stać mnie na nic lepszego. Z honorariów płacę wszystkie rachunki i zostaje mi niewiele. Natomiast prywatnie po prostu tarzam się w pieniądzech. - Cade patrzył na nią rozbawionym wzrokiem.

- Jeżeli o to chciałaś zapytać.

- Chyba tak. To znaczy, że jesteś bogaty.

- To zależy od twojej definicji - czy masz na myśli mnie, czy całą rodzinę. Mamy pieniądze ulokowane w centrach handlowych, nieruchomościach i tym podobnych. W rodzinie od pokoleń było wielu lekarzy, prawników, bankierów. No i ja. A ja jestem...

- Czarną owcą - dokończyła za niego, podekscytowana tą myślą. - Nie chciałeś kontynuować rodzinnych tradycji. Nie chciałeś zostać ani lekarzem, ani prawnikiem czy bankierem.

- Nie. Chciałem być Samem Spade'em. Bailey roześmiała się i dotknęła jego policzka.

- Wiem, to bohater „Sokoła maltańskiego”. Jeżeli chodzi o mnie, cieszę się, że nie zostałeś bankierem.

- Ja też się z tego cieszę. - Ujął jej dłoń i przycisnął do ust.

- Cieszę się, że znalazłam twoje nazwisko w książce telefonicznej. - Bailey nagle spoważniała. - Cieszę się, że trafiłam na ciebie.

- Ja też. - Wziął talerz i odstawił go na bok. Nawet gdyby był całkiem ślepy, nie mógłby nie zauważyć tego, co malowało się w jej wzroku. Serce żywiej zabiło mu w piersi. - Mógłbym teraz wyjść i zostawić cię samą. - Powiodł palcem po jej obojczyku, a potem zatrzymał się na pulsującej żyłce w zagłębieniu szyi. - Ale nie chcę tego zrobić.

To była jej decyzja. Była tego świadoma. Jej wybór. Jej chwila.

- Ja też tego nie chcę - powiedziała i zamknęła oczy, kiedy ujął w dłonie jej twarz. - Cade, przecież wiesz, że mogłam zrobić coś strasznego.

Jego usta zatrzymały się o milimetr od jej warg.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Mogłam... może jestem.... - Zdecydowana stawić temu czoło, otworzyła szeroko oczy. - Może jest jeszcze ktoś.

Cade mocniej zacisnął palce.

- Guzik mnie to obchodzi. Wtedy Bailey odetchnęła z ulgą.

- Mnie też - powiedziała i przyciągnęła go do siebie.

ROZDZIAŁ 8

To było oszałamiające przeżycie, zapierające dech w piersi. Podniecające i zupełnie nowe. Wszystko było nowe. Sposób, w jaki Cade wplątywał palce w jej włosy; dotyk jego rozpalonych ust na jej wargach. Jakby jedynym zadaniem ust i języka było smakowanie ukochanej. A i jego smak wypełniał ją całą - silny, męski i prawdziwy.

Bez względu na przeszłość i przyszłość, liczyła się tylko ta chwila.

Wodziła dłońmi po ciele Cade'a i było to cudowne uczucie. Wielbiła kształt jego szyi, szerokość ramion, długość pleców, wąskość talii, rozbudowane, napięte mięśnie. A kiedy dłonie wślizgnęły się pod jego koszulę, natrafiły na fascynująco gładką i rozgrzaną skórę.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałam cię dotknąć - szepnęła, obsypując twarz Cade'a gradem pocałunków. - Bałam się, że to nigdy nie nastąpi.

- A ja pragnąłem cię od pierwszej chwili. - Cade uniósł głowę i spojrzał w jej oczy koloru roztopionej czekolady. - Jeszcze zanim przekroczyłaś próg mojego biura. Pragnąłem cię od zawsze.

- Przecież to bez sensu. My nawet nie...

- To bez znaczenia. Liczy się tylko to. - Znowu dotknął ustami jej warg, a potem pocałował ją głęboko i zachłannie, tak jakby już stanowili jedność.

Nie zamierzał się spieszyć. Chciał do końca wykorzystać każdą chwilę. Miał wrażenie, że czekał na Bailey przez całe życie, więc teraz może ją bez końca dotykać, poznawać jej smak, jej ciało i jej duszę. Każdy milimetr jej ciała jawił mu się jak jakiś specjalny dar, a każde westchnienie było bezcennym skarbem.

Mieć ją tylko dla siebie, kiedy słońce wpadało przez okno, barwiąc złotem jej rozrzucone włosy, a także jej ciało, tak chętne i spragnione - to było piękniejsze niż najczarowniejszy sen.

Należeli do siebie. Więcej nie chciał wiedzieć.

Patrząc na nią rozpinając guziki prostej koszuli, którą jej wybrał, odsłaniać centymetr po centymetrze jej jasne, gładkie ciało - to było to, czego pragnął najbardziej na świecie. Przesuwał palcami po krągłej piersi, czując, jak pręży się w odpowiedzi na pieszczotę. Patrzył w jej ciemne oczy - to nieprzytomne, to znów wpatrzone w jego oczy.

- Jesteś cudowna, absolutnie doskonała.

Bailey miała drobne, jędrne piersi, jakby stworzone do tego, żeby wypełnić jego dłonie. Nachylił się i dotknął ustami miejsca, gdzie kończyła się koronka stanika i zaczynała naga skóra. A potem leniwie przesunął wargami wzdłuż jej szyi i podbródka, aż do kącika ust.

Nikt jej tak przedtem nie całował. Była tego pewna. Komu chciałoby się wkładać w każdy pocałunek tyle uczucia. Z cichym westchnieniem poddała się pieszczotom, mrużąc, kiedy uniósł ją lekko, żeby zdjąć jej koszulę. A kiedy rozpiął stanik i obnażył piersi, Bailey zadrżała w oczekiwaniu na dotyk jego rąk. I ust.

Wzdychała, rozkosznie zagubiona w ciemnym labiryncie nieznanymi emocjami. Czuła miękkość i twardość, chłód i rozpalony żar, jedno wrażenie przeradzało się w drugie, a potem wszystkie zlewały się w uczucie czystej rozkoszy. Ze wszystkich stron przybywało do niej coś nowego i frapującego. Kiedy rozsunęła poły jego koszuli, poczuła dotyk ciała przy ciele, bicie serca przy sercu, i poraziła ją intymność tej chwili.

Serce jej tańczyło do wtóru jego chciwych ust, podniecającego dotyku zębów i powolnej tortury języka.

Kiedy zaczął ją rozbierać, powietrze zrobiło się gęste i słodkie jak syrop. Chciała je smakować, napawać się nim, ale oddech miała płytki i urywany. Cade dotykał jej wszędzie, a jego zręczne ręce wzniewały uniesienie, które lada moment miało wypełnić całe ciało.

Wyszeptała z jękiem jego imię, a palce kurczowo zacisnęły się na prześcieradle. Czuła, że zbliża się coś, co jest poza zasięgiem jej poznania. Kiedy jej ciało wygięło się w łuk w rozpaczliwym oczekiwaniu, Cade patrzył na nią uważnie. Potem uniósł się i zbliżył usta do jej warg i znów patrzył. Patrzył jej w oczy, gdy nienasyconymi palcami wyzwał w mej rozkosz.

Kiedy żar stał się nie do zniesienia, wykrzyknęła jego imię, a jej drżące ciało przyłgnęło do jego ciała.

O to mu właśnie chodziło. Tego pragnął.

Jego imię wciąż wibrowało na jej ustach, kiedy zmiażdżył je wargami, a potem zagarnął ją pod siebie, w potężnym pragnieniu zdobywania i posiadania. Oślepiiony żądzą, szybko pozbył się resztek ubrania. Kiedy ukryła usta w zagłębieniu jego obojczyka, zadrżał, bo czuł, że jest już gotowa, by go przyjąć bardziej hojnie, niż śmiał sobie wyobrazić. To było wspanialsze niż najskrytsze marzenia i najpiękniejsze sny.

Skąpiana w słońcu, które złotym blaskiem zalewało pościel i jej białe ciało, otworzyła się, jakby czekała na niego przez całe życie. Czując bicie własnego serca, słysząc galopujący puls, wszedł w nią, żeby ją sobą wypełnić.

Na jeden krótki moment zastygł z przerażenia. Ale Bailey potrząsnęła tylko głową, otoczyła go udami i przyjęła go w swoje wnętrze.

- Ty - szepnęła - tylko ty.

Leżał uspokojony, słuchając bicia jej serca i przejmując drgania jej ciała. Tylko on, pomyślał i zamknął oczy. Bailey była niewinna, nietknięta. To istny cud. A w jego sercu zmagaly się wyrzuty sumienia i uczucie czysto męskiej satysfakcji.

Była niewinna, a on ją posiadał.

Była nietknięta, póki jej nie dotknął.

Chciał błagać ją o przebaczenie.

Pragnął stanąć na dachu i krzyczeć z radości.

Niepewny, jak się teraz zachować, zaczął delikatnie badać grunt.

- Bailey?

- Hmmm?

- Jako licencjonowany detektyw pozwolę sobie stwierdzić, że moim zdaniem to raczej nieprawdopodobne, żebyś była mężatką. - Poczuł, że ciało Bailey drży ze śmiechu. Uniósł głowę i sam się uśmiechnął. - Umieszczę to w moim raporcie.

- Koniecznie.

Odgarnął jej włosy z policzka.

- Czy cię bolało? Przepraszam, jeżeli sprawiłem ci ból. Nigdy nie myślałem, że ...

- Nie. - Bailey uwięziła w dłoni jego dłoń. - Nie sprawiłeś mi bólu. Jestem szczęśliwa, oszołomiona, wyzwolona. - Usta jej wygięły się w uśmiechu. - Ja też nie brałam tego pod uwagę. Śmiem twierdzić, że dla nas obojga było to zaskoczenie. - Poczula się zakłopotana. - Ale chyba nie jesteś... rozczarowany? Bo jeżeli tak, to...

- Jestem zdruzgotany. Miałem głęboką nadzieję, że jesteś zameżna i masz szóstkę dzieci. Ponieważ tak naprawdę lubię się kochać tylko z mężatkami.

- Nie, nie o to mi chodziło. Czy... czy to... czyja byłam w porządku?

- Bailey. - Cade roześmiał się i przekręcił na plecy tak, by mogła położyć mu głowę na piersi. - Jesteś doskonała. Absolutnie, całkowicie doskonała. Kocham cię.

Zamarła, z policzkiem przy jego sercu.

- Wiesz, że cię kochani - powiedział cicho. - Od pierwszego wejrzenia.

Zachciało jej się płakać, bo tylko to pragnęła usłyszeć, tylko to gotowa była zaakceptować.

- Przecież mnie nie znasz.

- A ty mnie znasz?

Bailey uniosła głowę i energicznie nią potrząsnęła.

- W tym właśnie cała rzecz. Robienie sobie z tego żartów nie zmieni prawdy.

- No więc masz tę swoją prawdę. - Cade usiadł i zamknął ją w mocnym uścisku. - Jestem w tobie zakochany. Kocham kobietę, którą właśnie trzymam w ramionach. Jesteś wszystkim, czego pragnę, czego potrzebuję, a poza tym, kochanie... - złożył na jej ustach delikatny pocałunek - zamierzam cię zatrzymać.

- Dobrze wiesz, że to nie takie proste.

- Nie pragnę rzeczy prostych. - Cade chwycił ją za rękę. - Pragnę się z tobą ożenić.

- Ale to niemożliwe. - Ogarnięta paniką, próbowała się wyrwać, ale mocno trzymał ją za rękę. - Doskonale wiesz, że to niemożliwe. Nie wiem nawet, skąd pochodzę i co dotąd robiłam. Przecież poznaliśmy się zaledwie trzy dni temu.

- Owszem, w tym wszystkim jest - albo byłby - jakiś sens, gdyby nie jedna rzecz. - Przyciągnął ją do siebie i obdarzył namiętym pocałunkiem.

- Nie rób tego. - Zrzuciła mu rękę na szyję i mocno do niego przylgnęła. - Nie rób tego, Cade. Nie wiem, jakie było przedtem moje życie, ale teraz czuję się zagubiona. Najpierw muszę poznać odpowiedzi na wszystkie gnębiące mnie pytania.

- Nie martw się, znajdziemy te odpowiedzi. Masz na to moje słowo. Ale teraz chcę od ciebie jednego. - Spojrzał jej w twarz. Spodziewał się ujrzeć łzy, które zmienią czekoladowy brąz jej oczu w ciemne złoto. - Powiedz mi, czy mnie kochasz, Bailey. Albo mi powiedz, że mnie nie kochasz.

- Nie mogę...

- Tylko to jedno pytanie - powiedział cicho. - Żeby na nie odpowiedzieć, nie potrzebujesz wczorajszego dnia.

Rzeczywiście, nie potrzebowała niczego prócz rozeznania we własnym stanie uczuć.

- Nie mogę powiedzieć, że cię nie kocham, bo nie potrafię cię okłamywać. - Potrząsnęła głową i przycisnęła palce do jego ust, zanim zdążył się odezwać. - Nie powiem ci też, że cię kocham, bo to nie byłoby fair. Ta odpowiedź musi poczekać, póki ja nie poznam odpowiedzi na swoje pytania, póki się nie dowiem, kim jest kobieta, która ci to powie. Daj mi trochę czasu.

Dam jej ten czas, pomyślał, gdy jej głowa znowu spoczęła na jego ramieniu. Postanowił solennie, że nic i nikt nie zdoła mu jej odebrać, bez względu na to, co oboje odnajdą w jej przeszłości.

Cade zawsze lubił powtarzać, że do wszystkiego można dojść metodą „krok po kroku”. Bailey zastanawiała się, ile jeszcze tych kroków będzie musiała zrobić. Miała

uczucie, jakby tego dnia pokonała bardzo wysokie schody, a na samej górze przekonała się, że wie tyle samo co na dole.

Być może to przekonanie nie było do końca prawdą, stwierdziła, sadowiac się przy stole w kuchni, z notatnikiem i ołówkiem. Nawet potrzeba sporządzenia listy tego, co już wiedziała, wskazywała na to, że jest osobą zorganizowaną - taką, która widzi wszystko w kolorze czarnym albo białym.

Kim jest Bailey?

Kobietą, która ma zwyczaj wstawać o tej samej porze. Czy jest przez to nudna i pedantyczna, czy może odpowiedzialna i obowiązkowa? Lubi mocną, czarną kawę, jajecznice i średnio wysmażone steki. To raczej przeciętne upodobania. Ciało ma szczupłe, niezbyt umięśnione, bez śladów opalenizny. Z tego wniosek, że nie jest fanatyczką siłowni i solarium. Może ma pracę, która zatrzymuje ją w domu?

A to znaczy, pomyślała z humorem, że nie jest drwalem ani ratownikiem. Jest praworęczną, piwnooką blondynką i jest pewna, że to naturalny kolor jej włosów, albo też bliski tego, z jakim się urodziła.

Wie dużo o klejnotach. Może to być jej hobby lub praca, a może po prostu lubi nosić biżuterię. Weszła w posiadanie diamentu wartego fortunę, który albo ukradła, albo kupiła - co uznała za mało prawdopodobne - albo też zdobyła przez pewnego rodzaju niecodzienny przypadek.

Była świadkiem brutalnej napaści, prawdopodobnie morderstwa, po czym uciekła.

Ponieważ na samą myśl o tym poczuła narastający ból w skroniach, postanowiła ominąć to wydarzenie.

Nuci muzykę klasyczną pod prysznicem i lubi oglądać stare, czarno - białe filmy w telewizji. A przy tym wszystkim nie ma pojęcia, jak się to ma do jej przeszłości i pochodzenia.

Lubi atrakcyjne stroje, dobre materiały i - jeśli ma możliwość wyboru - unika jaskrawych kolorów.

Nagle przeraziła się, że może być lekkomyślna i próżna.

Miała, za to przynajmniej dwie przyjaciółki, które były częścią jej życia. Grace i MJ. MJ. i Grace. Zaczęła wypisywać ich imiona na kartce w nadziei, że za którymś razem uda jej się wykrzesać jakaś iskierkę.

Wiele dla niej znaczyły, czuła to. I bała się o nie, choć nie potrafiła powiedzieć dlaczego. Może jej umysł jest białą plamą, ale serce mówiło jej, że były dla niej kimś wyjątkowym - bliższym niż ktokolwiek inny na tym świecie.

Tyle tylko, że bała się zaufać swojemu sercu.

Była też jeszcze jedna rzecz, której Bailey nie chciała zakwalifikować jako czarną lub białą. Nie miała kochanka. Nie było w jej życiu nikogo, na kim by jej tak zależało - i komu by na niej tak zależało - żeby się zdecydować na intymność. Może w przeszłości była zbyt wybredna, zbyt nietolerancyjna, zbyt zajęta sobą, żeby w pełni zaakceptować mężczyznę.

A może była zbyt pospolita, zbyt nudna, zbyt mało pociągająca, żeby jakiś mężczyzna zapragnął wziąć ją w ramiona?

Jakkolwiek było - teraz miała już kochanka.

Dlaczego sam akt miłosny nie wydał jej się ani obcy, ani przerażający, co przecież byłoby normalne u osoby bez doświadczenia? Wprost przeciwnie: z Cade'em wszystko wydało jej się tak naturalne jak oddychanie.

Naturalne, podniecające i doskonałe.

Powiedział jej, że ją kocha, ale jak mogła w to wierzyć? Przecież nie wiedział, jaka ona jest, nie znał jej przeszłości, nie miał pojęcia, skąd się wywodzi. Kiedy odzyska pamięć, może się okazać, że Cade nie będzie w stanie jej zaakceptować.

To, co jej wyznał, nie ma na razie znaczenia. Cade musi najpierw poznać prawdziwą Bailey.

A jej uczucia? Z bladym uśmiechem odłożyła ołówek. Coś przyciągało ją do niego już od pierwszej chwili. Zaufała mu, gdy tylko wziął ją za rękę. A zakochała się w nim, kiedy zobaczyła, jak w kuchni rozbija jajka do miski.

Niestety, i w tym przypadku nie mogła ufać własnemu sercu. Im bardziej byli bliscy prawdy, tym bardziej przybliżał się moment, w którym być może odwrócą się do siebie plecami, i każde pójdzie w swoją stronę.

Bez względu na to, jak bardzo tego pragnęła, nie mogła po prostu zostawić płócienną torbę w sejfie Cade'a i zapomnieć o jej istnieniu.

- Zapomniałaś o czymś.

Drgnęła, a potem szybko odwróciła głowę i spojrzała mu w twarz. Jak długo stał za nią, czytając ponad jej ramieniem notatki, podczas gdy ona o nim myślała?

- Przyszło mi do głowy, że dobrze byłoby zapisać wszystko, co wiem.

- Zawsze masz dobre pomysły. - Cade podszedł do lodówki i wyjął dla siebie piwo, a Bailey nalał mrożonej herbaty.

Siedziała z niewyraźną miną, zaciskając dłonie. Czy naprawdę niespełna godzinę temu kochali się na skąpanej w słońcu pościeli? I jak zachować tę intymność w czystej kuchni, nad szklanką zimnego napoju i plikiem notatek?

Cade wydawał się nie mieć z tym najmniejszego problemu. Usiadł naprzeciw Bailey, położył nogi na wolnym krześle i sięgnął po notatnik.

- Lubisz się zamartwiać.

- Naprawdę?

- Tak. - Przejrzał kilka stron, a potem zaczął spisywać nową listę. - W tej chwili też się martwisz. Nie wiesz, co powinnaś powiedzieć facetowi, który został twoim kochankiem i który jest w tobie nieprzytomnie zakochany, i chce spędzić z tobą resztę życia.

- Cade...

- Ja tylko stwierdzam fakt. - Jeżeli będzie go stwierdzał wystarczająco często, Bailey w końcu go zaakceptuje. - Nasza miłość była wspaniała i łatwa, więc i to cię martwi. Czemu pozwoliłaś facetowi, którego znasz od trzech dni, na to, na co nie pozwoliłaś dotąd żadnemu innemu mężczyźnie? - W oczach Cade'a pojawiły się wyzywające błyski. - Odpowiedź jest prosta i oczywista. Jesteś we mnie równie szaleńczo zakochana jak ja w tobie, tylko boisz się przyjąć to do wiadomości.

Bailey podniosła szklanekę do ust i upiła łyk zimnej herbaty, żeby ochłodzić sobie gardło.

- Więc jestem tchórzem?

- Nie, Bailey, nie jesteś tchórzem, ale nieustannie żyjesz w strachu, że nim jesteś. Jesteś mistrzem zamartwiaczy. A także, jak mi się wydaje, kobietą, która ma mało wiary we własne siły i mało tolerancji dla własnych słabości. Osobą niesłychanie samokrytyczną.

Zapisał te stwierdzenia, a Bailey skrzywiła się na widok tych słów.

- Wydaje mi się, że osoba w mojej sytuacji powinna przynajmniej spróbować osądzić siebie samą.

- Praktyczna, racjonalna - pisał dalej Cade. - Teraz, na jakiś czas, zostaw ocenę mnie. Jesteś odpowiedzialna, zorganizowana, zdolna do współczucia. Jesteś także zwolenniczką pewnej rutyny. Powiedziałbym, że piastujesz jakieś stanowisko, które prócz intelektu wymaga także tych cech. W pracy jesteś zdyscyplinowana i precyzyjna. Masz także wyrafinowany gust i jesteś estetiką.

- Skąd ta pewność?

- Bailey, to, że zapomniałaś, jaka jesteś, wcale nie znaczy, że się zmieniłaś. I to jest właśnie najslabszy punkt twojej argumentacji. Jeżeli przedtem nie znosiłaś na przykład brukselki, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie będziesz jej nadal lubić. Jeżeli byłaś uczulona na sierść kotów, nadal będziesz kichać w ich obecności. A jeśli miałaś gorące,

wrażliwe serce i byłaś z gruntu osobą moralną, nie zmieniałaś się, a to samo serce bije i teraz w twojej piersi. Tutaj chciałbym zakończyć.

Wyciągnęła szyję, próbując czytać do góry nogami.

- Co tam piszesz?

- Masz strasznie słabą głowę. Może to wynik jakichś kłopotów z przemianą materii. W związku z tym proponuję, żebyśmy się później napili wina, tak bym mógł wykorzystać tę twoją słabość. - Posłał jej łobuzerski uśmiech. - I często się czerwienisz. To taka słodka, staroświecka reakcja. Jesteś schludna. Rozwieszasz starannie ręcznik po kąpieli, spłukujesz po sobie talerze, codziennie ścielisz swoje łóżko.

Były też inne szczegóły, pomyślał. Kręciła stopą, kiedy była zdenerwowana, jej oczy robiły się złote, gdy była podniecona, a głos stawał się lodowaty, kiedy czuła się urażona.

- Odebrałaś staranne wykształcenie, prawdopodobnie na północy, sądząc po twoim słownictwie i akcencie. Podejrzewam też, że pilnie studiowałaś, i nieczęsto chodziłaś na randki. Inaczej nie byłabyś do dzisiejszego dnia dziewicą. O, znowu się zarumieniała. Bardzo mi się to podoba.

- Co to ma do rzeczy?

- Aha, znowu ten chłodny, uprzejmy ton. Wybacz mi - dodał, a potem pociągnął łyk piwa. - Masz szczupłe ciało, gładką skórę. Albo bardzo o nie dbasz, albo to wynik genetycznych uwarunkowań. A tak przy okazji, podoba mi się ten twój jednorożec.

Bailey chrząknęła.

- Dziękuję.

- Nie dziękuj - powiedział ze śmiechem Cade. - Tak czy inaczej, masz dość pieniędzy, żeby się elegancko ubierać. Te skórzane włoskie pantofelki, w których przyszłaś do mojego biura, kosztują w domach towarowych dwieście pięćdziesiąt dolarów. Nosisz też jedwabną bieliznę. Powiedziałbym, że jedwabna bielizna i jednorożec świadczą o tym, że lubisz być troszkę prowokacyjna.

Bailey otworzyła usta.

- Przeszukiwałaś moje rzeczy? Moją bieliznę? - wydyszała z oburzeniem.

- Tak, to, co miałaś, a wszystko wyłącznie dla dobra śledztwa. Nosisz piękną bieliznę - powiedział. - Bardzo podniecającą, a zarazem prostą i drogą. Myślę, że brzoskwiniowy jedwab wygląda na tobie wspaniale.

Bailey cicho jęknęła, a potem umilkła. Co mogła na to powiedzieć?

- Nie znam przeciętnych rocznych dochodów gemmologa albo projektanta biżuterii, ale przypuszczam, że jesteś albo tym, albo tym. Śmiem twierdzić, że jesteś naukowcem z zawodu, a artystką z powołania.

- To duży krok. Cade.

- Wcale nie. To tylko kolejny krok. Próbuje poskładać wszystkie kawałki. Czy nie uważasz, że diament taki jak ten w sejfie potrzebuje konsultacji gemmologa? Ktoś przecież musi zweryfikować jego autentyczność i oszacować wartość. Tak jak ty to zrobiłaś wczoraj.

Bailey znowu zaczęły drżeć ręce, więc splotła je na kolanach.

- Jeżeli to prawda, to wzrasta prawdopodobieństwo, że go ukradłam.

- Nie, wcale nie. - Zniecierpliwiony, zaczął stukać ołówkiem w notatnik. - Spójrz na inne fakty. Dlaczego nie potrafisz zobaczyć samej siebie? Nie zdołałabyś ukraść nawet gumy do żucia. Czy to, że czujesz wyrzuty sumienia na samą myśl o tym, nie daje ci nic do myślenia?

- Ale faktem jest, że mam ten kamień.

- Owszem. Czy nigdy nie przyszło ci do tej twojej rozsądnej i uporządkowanej głowy, że może go chronisz?

- Ja go chronię? A przed czym?

- Przed tym kimś, kto zabił, żeby go dostać. Przed tym kimś, kto zabiłby i ciebie, gdyby cię znalazł. Wszystko doskonale pasuje do siebie, Bailey. Jeżeli rzeczywiście są trzy klejnoty, ty możesz wiedzieć, gdzie znajdują się dwa pozostałe. Może nawet chronisz wszystkie trzy.

- Jak?

Cade miał na ten temat swoją własną teorię, ale nie sądził, żeby Bailey była gotowa jej wysłuchać.

- Nad tym jeszcze popracujemy. A tymczasem muszę zadzwonić w parę miejsc. Jutro czeka nas pracowity dzień. Rano przyjdzie rysownicza z policji i spróbuje pomóc ci stworzyć portret pamięciowy twoich przyjaciółek. Udało mi się też namówić jednego z pracowników Smithsonian Institute i jesteśmy umówieni na jutro, na pierwszą.

- Umówili się na wolny dzień?

- W tym miejscu właśnie przydało się nazwisko i majątek Parrisów. Mała wzmianka o darowiźnie otwiera wiele starych, zardzewiałych zamków. Sprawdzimy też, czy ten butik nie będzie otwarty. Może uda nam się znaleźć kogoś, kto zapamiętał, jak kupowałaś zielony kostium.

- Mam wrażenie, że ciągle za mało się staramy.

- Kochanie, przeszliśmy bardzo długą drogę w bardzo krótkim czasie.

- Masz rację. - Bailey wstała i podeszła do okna. Jakiś ptaszek w gałęziach klonu wyśpiewywał na całe gardło. - Nawet nie potrafię powiedzieć, jak bardzo jestem ci wdzięczna.

- Za moje usługi profesjonalne wystawię ci rachunek - powiedział. - A za resztę nie chcę żadnej wdzięczności.

- Ale ja jestem ci winna wdzięczność, czy chcesz ją przyjąć, czy nie. Dzięki tobie moje obecne życie stało się znośne. A nawet znacznie więcej niż znośne. Nie wiem, ile razy śmiałam się i płakałam dzięki tobie, ile razy zapomniałam o dręczących mnie koszmarach, bodaj na krótką chwilę. Myślę, że bez ciebie bym oszalała, Cade.

- Zawsze chcę być z tobą, Bailey. Nawet gdybyś zamierzała się mnie pozbyć, to ci się nie uda.

- Przywykłeś dostawać to, co chcesz - mruknęła. - Ciekawe, czyja też. Niestety, mam wrażenie, że ze mną jest inaczej.

- To akurat potrafisz zmienić.

Miał rację. To jedynie kwestia cierpliwości, wytrwałości, kontroli. Oraz tego, by chcieć właściwych rzeczy. Pragnęła go, chciała myśleć, że któregoś dnia usiądzie w tym ogrodzie, słuchając śpiewu ptaków, podczas gdy Cade będzie spokojnie drzemać w hamaku. To mogłoby być ich wspólny dom. Ich życie. Ich rodzina.

Jeśli to jest ta właściwa rzecz, a jej nie zabraknie wytrwałości.

- Mogę ci coś obiecać. - Wiedziona impulsem, odwróciła się i pozwoliła, by serce wzięło górę nad rozumem. Cade był wszystkim, czego potrzebowała, kiedy tak siedział boso i w rozdartych na kolanie dżinsach, a za długie włosy opadały mu na kark. - Gdy już będzie po wszystkim, kiedy wszystkie fragmenty zostaną złożone w jedną całość... jeżeli wtedy nadal będziesz mnie chciał, wyjdę za ciebie.

Serce podskoczyło mu w piersi. Ostrożnie odstawił na bok butelkę i wstał.

- Powiedz mi, że mnie kochasz.

Miała to w sercu i tak bardzo chciała powiedzieć, ale potrząsnęła głową.

- Kiedy już będzie po wszystkim, gdy będziesz wszystko wiedział. I jeżeli nadal będziesz mnie chciał.

- Takie przyrzeczenie wcale mi nie odpowiada. Żadnych warunków, Bailey. Żadnych „kiedy” i żadnych „Jeżeli”. Chodzi mi tylko o ciebie.

- Tylko to mogę ci dać. To wszystko, co mam.

- We wtorek możemy pojechać do Maryland i wziąć tam licencję. Wtedy ślub jest już tylko kwestią paru dni.

Mógł ich sobie wyobrazić, jak szaleńczo zakochani wyciągają z łóżka w środku nocy jakiegoś prowincjonalnego sędziego.

A potem, w saloniku, gdzie stary pies drzemie w kącie na macie, żona sędziego gra na pianinie, a on i kobieta jego snów wymieniają przysięgę, trzymając się za ręce.

A kiedy włoży jej na palec obrączkę, a ona jemu, połączą się na wieki.

- W Maryland nie trzeba robić badania krwi - ciągnął. - Trzeba tylko wypełnić kilka formularzy i już po wszystkim.

Mówił serio. Patrząc w jego zielone oczy, stwierdziła ze zdumieniem, że mówi to, co myśli. Że wzięłby ją tak, jak stała, nie wiedząc, kim jest. I kochałby bez zastrzeżeń.

Jak mogła mu na to pozwolić?

- A jakie nazwisko wpisałabym w formularz?

- To nie ma znaczenia. Ja dałbym ci swoje nazwisko. - Chwyił ją za rękę i przyciągnął do siebie. W całym swoim życiu nie spotkał nikogo, kogo by tak bardzo potrzebował. - Przyjmij moje nazwisko, Bailey.

Jakie to proste, pomyślała, kiedy dotknął wargami jej ust. Wystarczy przyjąć to, co oferował - miłość, bezpieczeństwo, obietnice. Niech przeszłość przyjdzie, kiedy chce, a teraz trzeba cieszyć się życiem.

- Przecież wiesz, że tak nie można. - Przytuliła policzek do jego policzka. - Oboje musimy poznać moją przeszłość.

Może i tak. Bez względu na to, jak atrakcyjny wydawał się pomysł szybkiego ślubu i podania fałszywych danych Bailey, nie była to odpowiedź, jakiej którekolwiek z nich oczekiwało.

- To mogłoby być zabawne - powiedział, starając się wprowadzić lżejszy nastrój. - Coś jakby wstępna praktyka. - Odsunął Bailey i uważnie wpatrywał się w jej twarz. Delikatną i zatroskaną. Śliczną. - Chcesz mieć wianek z kwiatów pomarańczy, Bailey? Białą suknię i muzykę organową?

Uśmiechnęła się, bo serce jej rwało się do tej wizji.

- Chyba tak. Wydaje mi się, że lubię tradycję.

- Wobec tego powinienem ci kupić tradycyjny diament.

- Cade...

- Tak sobie tylko mówię - mruknął, unosząc jej lewą rękę.

- Nie, choćbyś była nie wiem jaką tradycjonalistką, jeżeli chodzi o biżuterię, gust masz wyjątkowy. Znajdziemy coś, co ci się spodoba. Ale najpierw powinienem cię poznać z moją rodziną.

- Spojrzał jej w oczy i roześmiał się. - I niech cię Bóg ma w swojej opiece.

To tylko gra, pomyślała, trzeba udawać. Odpowiedziała mu uśmiechem.

- Marzę o tym, żeby poznać twoją rodzinę. A zwłaszcza zobaczyć Camille, jak kręci piruety w baletowej spódniczce.

- Jeżeli potrafisz przez to przejść i nadal będziesz chciała wyjść za mnie, to jesteś zakochana we mnie równie beznadziejnie jak ja w tobie. Poddadzą cię surowej próbie, kochanie. A będą to robić bardzo wytwornie, w białych rękawiczkach. Gdzie chodziłaś do szkoły, co robi twój ojciec, czy twoja matka gra w brydża, czy w tenisa? A tak przy okazji, do jakich klubów należysz, i czy aby nie spotkali cię na zakupach w St. Moritz?

Bailey wcale nie wydawała się przerażona tą wizją.

- No to będę musiała przygotować sobie odpowiedzi - powiedziała ze śmiechem.

- Uwielbiam je wymyślać. Kiedyś przyprowadziłem pewną policjantkę na przyjęcie z okazji dziesiątej rocznicy ślubu Muffy. Nie mogłem się od tego wykręcić. Powiedzieliśmy wszystkim, że ona jest siostrzenicą premiera Włoch i kształciła się w szkole z internatem w Szwajcarii, a przyjechała do Waszyngtonu, żeby kupić sobie małe *pied - a - terre*.

Bailey ściągnęła brwi.

- Ach, tak?

- Wszyscy wręcz rzucili się na nią. Zresztą myślę, że to samo zrobiliby, gdyby poznali prawdę.

- To znaczy...?

- Była zwykłą policjantką, która urodziła się we włoskiej dzielnicy Nowego Jorku, a do Waszyngtonu przeprowadziła się po rozwodzie z facetem, który miał małą pizzerię na jednej z bocznych uliczek od Broadwayu.

- Czy ona była ładna?

- Jasne. - Cade błysnął zębami w uśmiechu. - Była cudowna. A potem była ta piosenkarka z restauracji, która...

- Nie chcę już tego słuchać. - Bailey odwróciła się, wzięła pustą szklanekę i umyła ją starannie, robiąc z tego cały spektakl. - Musiałeś się spotykać z całą masą kobiet.

- To zależy, co rozumiesz przez „masę”. Chyba mógłbym ci przygotować listę nazwisk, adresów i rysopisów. Zechcesz mi ją przepisać?

- Nie.

Cade z zadowoleniem musnął ustami jej kark.

- Ale tylko jedną kobietę poprosiłem o rękę.

- Dwie - poprawiła go, po czym z hałasem odstawiła kryształowo czystą szklanę na blat.

- Jedną. Nie prosiłem o to Carli. To jakoś tak samo wyszło. A teraz - o ile wiem - ona jest szczęśliwą żoną jakiegoś zamożnego adwokata i dumną mamą małej, tłustej córeczki imieniem Eugenia. Tak czy inaczej, to się nie liczy.

Bailey przygryzła wargę.

- Nie chciałeś mieć dzieci?

- Ależ chciałem. Nadal chcę. - Cade odwrócił się i delikatnie ją pocałował. - Ale nie nazwiemy żadnego z naszych dzieci Eugenia. A teraz, co byś powiedziała na kolację w jakimś spokojnym miejscu, żebyśmy się mogli całować przy stoliku? A potem popatrzeć na fajerwerki. Zastanów się nad tym.

- Jest jeszcze za wcześnie na kolację.

- Dlatego mówię, że trzeba się nad tym zastanowić. - Pociągnął ją za sobą. - Najpierw musimy iść na górę i znowu się pokochać.

Serce podskoczyło jej w piersi. Zarzuciła Cade'owi ręce na szyję.

- Musimy?

- To nam pomoże przetrwać czas do kolacji. Chyba że wolisz zagrać w pokera?

Bailey pocałowała go w szyję.

- No, jeżeli nie mam wyboru...

- Wiesz co, moglibyśmy zagrać w rozbieranego pokera. Ha, ale byśmy wtedy oszukiwali.

Cade, z głową pełną pomysłów, jak będą się kochać, był już w połowie drogi na górę, kiedy nagle rozległ się dzwonek ; u drzwi. Posadził Bailey na schodach, a sam poszedł otworzyć.

Wystarczył jeden rzut oka przez szklaną płytkę w drzwiach. Jęknął z rozpaczu.

- Jak zwykle, w samą porę. - Z ręką na klamce odwrócił się do Bailey. - Kochanie, ta kobieta po drugiej stronie drzwi to moja matka. Zdaję sobie sprawę, że wyraziłaś uprzejmą chęć poznania mojej rodziny, ale dam ci tę jedyną szansę, bo cię kocham. Naprawdę. Radzę ci, uciekaj, schowaj się gdzieś i nie pokazuj się, póki ona sobie nie pójdzie.

Bailey, mocno zdenerwowana, wyprostowała się z godnością.

- Przestań zachowywać się jak głupek i otwórz drzwi.

- Dobrze, ale pamiętaj, że cię ostrzegałem. - Pociągnął za klamkę i z promiennym uśmiechem otworzył. - Mama! - Tak jak tego po nim oczekiwano, pocałował ją w gładki, lśniący policzek. - Co za miła niespodzianka.

- Nie musiałabym robić ci takich niespodzianek, gdybyś choć raz odpowiedział na moje telefony. - Leona Parris dumnie wkroczyła do holu. Była to niesamowita kobieta. Na jej widok Bailey wręcz osłupiała. Jako matka trójki dorosłych dzieci i babcia kilkorga wnucząt Leona Parris musiała już przekroczyć sześćdziesiąt lat, a tymczasem wyglądała stosunkowo młodo i atrakcyjnie.

Jej lśniące, ciemnobrązowe włosy z modnymi, złotawymi pasemkami upięte były na karku w elegancki węzeł, który świetnie podkreślał jej cerę koloru kości słoniowej oraz twarz o zimnych, zielonych oczach, prostym nosie i nadąsanych ustach. Ubrana była w szykowny brązowy kostium, dopasowany w talii.

W uszach miała topazy o kwadratowym szlifie, wielkości kciuka. Bailey z niemym zachwytem patrzyła na kolczyki.

- Byłem zajęty - zaczął Cade. - Miałem kilka dość trudnych przypadków oraz pewną sprawę osobistą.

- Z całą pewnością nie chcę słuchać o twoich tak zwanych przypadkach. - Leona położyła torebkę na stoliczku. - A co do twoich spraw osobistych - jakiegokolwiek one są nie usprawiedliwia zaniebywania obowiązków rodzinnych. Postawiłeś mnie w bardzo kłopotliwym położeniu. Musiałam przeproszać Pamelę w twoim imieniu. To żałosne.

- Nie musiałabyś jej przeproszać, gdybyś mnie w to nie wpakowała. Przecież to był wyłącznie twój pomysł. - Cade poczuł, że wzbiera w nim dawna złość, ale postanowił nie dać się sprowokować. - Mimo to przykro mi. Chcesz się napić kawy?

- Chcę usłyszeć od ciebie wyjaśnienie, Cade. Na wczorajszym garden party u Muffy - na którym także nie raczyłeś się pojawić - Ronald opowiedział mi jakąś zwariowaną historyjkę o tym, że jesteś zaręczony z kobietą, o której nigdy nie słyszałam, a która ma być spokrewniona z księstwem Kentu.

- Bailey. - Cade zdążył już o niej prawie zapomnieć. Teraz odwrócił się z przepaszającym uśmiechem i wyciągnął rękę.

- Bailey, bądź łaskawa podejść. Oto moja matka.

O Boże, tylko tyle była Bailey w stanie pomyśleć, kiedy schodziła na dół po schodach.

- Leona Parris, a to moja narzeczona Bailey.

- Miło mi panią poznać. - Bailey drżał lekko głosem. - Cade tyle mi o pani opowiadał.

- Doprawdy? - Całkiem atrakcyjna, pomyślała Leona. I widać, że dobrze wychowana.
- Za to mnie ani słowem nie wspomniał o pani. Przepraszam, ale chyba nie dosłyszałam pani nazwiska.

- Bailey jest w Stanach dopiero od kilku miesięcy - wtrącił się Cade, cały w uśmiechach. - Chowałem ją tylko dla siebie.

- Otoczył ramieniem jej talię i uściskał gestem posiadacza. - Przeżyliśmy błyskawiczny romans, nieprawdaż, najdroższa?

- O, tak - wyjąkała Bailey. - Błyskawiczny. Rzeczywiście, można tak powiedzieć.

- Słyszałam, że jest pani projektantką biżuterii. Wspaniałe pierścionki - zauważyła Leona. - Unikatowe i piękne. Podobno jest pani także krewną księżną Kentu.

- Bailey nie lubi szermować nazwiskami - szybko wtrącił Cade. - Kochanie, czy nie powinnaś teraz zadzwonić? Pamiętaj o różnicy czasu między Stanami a Londynem.

- Gdzie się poznaliście? - drążyła Leona.

Bailey otworzyła usta, usiłując sobie przypomnieć, jaką wersję przygotowali dla Ronalda.

- Prawdę mówiąc...

- W Smithsonian Institute - gładko podsunął Cade. - Przed gablotą z Diamentem Nadziei. Ja prowadziłem właśnie pewną sprawę, a Bailey robiła szkice. Przez dwadzieścia minut mówiłem bez przerwy i chodziłem za nią po całym muzeum - pamiętasz, najdroższa, jak zagroziłaś mi, że wezwiesz strażnika? - ale w końcu oczarowałem ją na tyle, że dała się zaprosić na filiżankę kawy. A jeżeli już mowa o kawie...

- To śmieszne - przerwała mu Bailey. - Absolutnie śmieszne. Cade, przecież to twoja matka. Ja nie mogę się zgodzić na coś takiego. - Odwróciła się i zaczęła mówić wprost do Leony: - Nie poznaliśmy się w Smithsonian Institute i nie jestem spokrewniona z księstwem Kentu. A przynajmniej mocno w to wątpię. Poznałam Cade'a w piątek rano, kiedy przyszedłam do jego biura, żeby go wynająć. Musiałam zatrudnić prywatnego detektywa, ponieważ cierpię na amnezję i nie wiem, skąd mam niebieski diament oraz ponad milion dolarów w gotówce.

Leona odczekała całe dziesięć sekund, stukając niecierpliwie nogą. Potem mocno zacisnęła usta.

- No cóż, jak widzę, żadne z was nie zamierza powiedzieć mi prawdy. Skoro wolicie częstować mnie tymi skandalicznymi wymysłami, mogę tylko powiedzieć, że dobraliście się jak w korcu maku.

Chwyciła torebkę i pomaszerowała do drzwi, a każdy jej krok świadczył o urażonej godności.

- Cade, spodziewam się twojego telefonu, kiedy uznasz, że przyszła pora wyjawić mi prawdę.

Bailey stała bez ruchu i patrzyła, jak rozbawiony Cade śmieje się od ucha do ucha wpatrzony w drzwi, które zatrzasnęła za sobą jego matka.

- Nic z tego nie rozumiem. Przecież powiedziałam jej prawdę.

- A ja nareszcie zrozumiałem, co oznacza powiedzenie „prawda będzie twoim wyzwoleniem”. - Cade wybuchnął śmiechem, a potem porwał Bailey na ręce. - Jest taka urażona, że da mi święty spokój przez najbliższy tydzień. Albo i dwa. - Pocałował ją z zapalem i ruszył ku schodom. - Jesteś absolutnie fenomenalna. Kto by pomyślał, że wystarczy powiedzieć prawdę, żeby mieć ją z głowy? - Nie przestając się śmiać, wniósł Bailey do sypialni i położył na łóżku. - Trzeba to oblać. Mam butelkę zamrożonego szampana i zamierzam cię znowu upić.

Bailey usiadła i odgarnęła włosy z czoła.

- Cade, przecież to twoja matka. Nie masz wstydu.

- Nie, ja tylko walczę o przeżycie. - Nachylił się i obdarzył ją długim pocałunkiem. - No cóż, kochanie, teraz oboje jesteśmy czarnymi owcami. Nie masz pojęcia, jak się z tego cieszę.

- Nie wydaje mi się, że bym chciała zostać czarną owcą! - zawołała za nim, kiedy ruszył do drzwi.

- Już za późno! - odkrzyknął ze śmiechem.

ROZDZIAŁ 9

Mimo wszystko udało im się wyjść z domu, ale nieoczekiwanie wylądowali na wiejskim festynie w Maryland, gdzie zafundowali sobie steki z grilla i frytki smażone w orzechowym oleju. Cade myślał z początku o kolacji w małej, przytulnej restauracyjce, po której mieli się wybrać na pokaz ogni sztucznych w centrum miasta.

A potem nagle go olśniło. Diabelski młyn i strzelnice. Skoczna muzyka, migoczące lampki, robaczki świętojańskie na okolicznych polach, a na zakończenie ognie sztuczne.

Tak powinna wyglądać pierwsza randka.

Kiedy powiedział to Bailey, w chwili gdy tuliła się do niego w wagoniku rozpędzonej kolejki, wybuchnęła śmiechem, zacisnęła powieki, a potem jeszcze mocniej do niego przywarła.

Cade chciał spróbować wszystkiego i ciągnął ją z miejsca na miejsce, jak dziecko, które niecierpliwie szarpie rodziców za ręce. Bailey trzęsła się, wirowała i wlatywała w górę, aż wreszcie zakreśliło jej się w głowie, a żołądek podjechał do gardła.

A potem Cade uniósł ku sobie jej twarz i stwierdził, że skoro nie jest zielona, mogą zacząć wszystko od nowa.

I tak też się stało.

- Teraz należy ci się nagroda - powiedział, kiedy na miękkich nogach wygramoliła się z ośmiornicy.

- Ach, błagam cię, mam już dość cukrowej waty.

- Myślałem raczej o słoniu. - Otoczył ją ramieniem i pociągnął w stronę strzelnicy. - O tym wielkim czerwonym.

Słoń miał chyba z metr wysokości, uniesioną trąbę i paznokcie u nóg polakierowane na jaskraworożowy kolor. Bailey uśmiechnęła się promiennie.

- Jaki śliczny. - Uwodzicielsko zatrzepotała rękami. Cade, muszę go mieć.

- Wobec tego moim obowiązkiem jest upolować go dla ciebie. Odsuń się, panienko. - Wykupił żetony i wybrał wiatrówkę. Oczekał, aż zaczną się przed nimi przesuwać rząd różowych króliczków i kaczek ściganych przez wilka, a potem wycelował i zaczął strzelać.

Bailey roześmiała się, zaklaskała w ręce, a potem spojrzała na rząd trafionych zwierzątek.

- Nie spudłowałeś ani razu! - wykrzyknęła, a oczy zrobiły jej się całkiem okrągłe. - Ani razu!

Na widok jej pełnej podziwu twarzy Cade poczuł się dumny jak nastolatek.

- Pani życzy sobie słonia - powiedział do obsługującego strzelnicę i roześmiał się, kiedy Bailey rzuciła mu się w ramiona.

- Dziękuję, jesteś cudowny! Jesteś naprawdę wspaniały!

A ponieważ każdemu wykrzyknikowi towarzyszył grad pocałunków, Cade pomyślał, że Bailey może chciałaby też dostać brązowego psa o wielkich, oklapniętych uszach.

- Chcesz jeszcze coś?

- Człowieku, wykończysz mnie - mruknął mężczyzna ze strzelnicy, a potem z westchnieniem wręczył Cade'owi garść nowych żetonów.

- A może ty masz ochotę spróbować? - Cade podał Bailey wiatrówkę.

- Może i tak. - Przygryzła wargę i zaczęła oglądać strzelbę. Wszystko wyglądało tak prosto, kiedy Cade to robił. - Dobrze, spróbuję.

- Musisz tylko popatrzeć przez tę małą szczelinę w kształcie litery V na końcu lufy - wytłumaczył Cade i stanął za nią żeby pomóc jej zająć pozycję strzelecką.

- Widzę ją. - Bailey wstrzymała oddech i nacisnęła spust. Po wystrzale wzdrygnęła się, ale kaczki dalej płynęły, a króliczki nie przestawały podskakiwać. - Czy chybiłam?

- Tylko o kilka metrów. - Był już w stu procentach pewien, że Bailey nigdy w życiu nie miała w ręku broni. - Spróbuj jeszcze raz.

Więc próbowała i próbowała. Kiedy wreszcie udało jej się strącić kilka piórek i musnąć królicze futerko, Cade musiał wypłacić rozpromienionemu pracownikowi strzelnicy dwadzieścia dolarów.

- To wydawało mi się takie łatwe, kiedy ty to robiłeś.

- Nie przejmuj się, kochanie. To tylko zabawa. Co moja dziewczyna wygrała?

Pracownik sięgnął do najniższego rzędu nagród, zazwyczaj rezerwowanych dla dzieci poniżej dwunastu lat, i wręczył Bailey plastikową kaczuszkę.

- Jaka śliczna. - Bailey, zachwycona, wsunęła ją do kieszeni. - To moje pierwsze trofeum.

Trzymając się za ręce, ruszyli środkiem wesołego miasteczka, pośród gwaru, głośnej muzyki i świszczących odgłosów rozpędzonej karuzeli. Bailey podobały się jaskrawe dekoracje i kolorowe lampki, połyskujące jak klejnoty pośród balsamicznej nocy. Nie przeszkadzał jej także zapach smażonej oliwy, palonego cukru i pikantnych sosów. Wszystko wydawało się takie proste, jakby na świecie nie istniały żadne kłopoty - tylko światła, muzyka i śmiechy.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek byłam na wiejskim festynie - powiedziała do Cade'a. - Ale nawet jeżeli byłam, to ten jest najlepszy ze wszystkich.

- Wciąż jestem ci winny kolację przy świecach. Odwróciła głowę i uśmiechnęła się do niego.

- Chciałabym jeszcze raz przejechać się na diabelskim młynie.

- Jesteś pewna, że to wytrzymasz?

- Chcę się jeszcze raz przejechać. Z tobą.

Stała w kolejce i zaczęła kokietować małego chłopczyka, który oparł główkę na ramieniu ojca i patrzył na nią olbrzymimi, niebieskimi oczami. Zastanawiała się, czy dobrze radzi sobie z dziećmi i czy miała kiedykolwiek taką szansę. A potem oparła głowę na ramieniu Cade'a i oddała się marzeniom.

Jeżeli tak wyglądały zwyczajne noce w zwyczajnym życiu, mogliby je spędzać razem. Trzymaliby się za ręce, jak teraz, i nic więcej by ich nie obchodziło. Nie bałaby się niczego, a jej życie byłoby tak pełne i bogate, i barwne jak karnawał.

A zresztą, czemu by nie udawać, że tak jest, choćby przez tę jedną noc? Co w tym złego?

Wsiadła do rozchybotanego wagonika za Cade'em i oparła mu głowę na ramieniu. A potem wzniesli się w niebo. Pod nimi ludzie przechadzali się po trawie. Nastolatki grupkami, dorośli parami, a dzieci biegały, krzycząc głośno z podniecenia. Wiatr przynosił rozmaite zapachy, tworząc mieszankę, którą Bailey mogłaby wdychać przez całe wieki.

Droga w dół była szybka i ekscytująca. Włosy wlatywały jej do góry, a żołądek podskoczył do gardła. Odchyliła głowę i zamknęła oczy w oczekiwaniu, aż znowu złączą się wznosić do góry. Oczywiście Cade ją pocałował, czego też bardzo chciała. Pragnęła tego słodkiego, niewinnego spotkania warg, kiedy mknęli nad wyrosniętą letnią trawą, a światła wokół nich tworzyły tężowy łuk.

Wykonali kolejny obrót, gdy pierwsze fajerwerki błysnęły złotem na tle czarnego nieba.

- Jakie to piękne. - Bailey chwyciła go za rękę. - Jak klejnoty wrzucone do morza. Szmaragdy, rubiny, szafiry.

Wielobarwny snop trysnął w niebo, a potem opadł blednącą fontanną i zgasł z głośnym trzaskiem. Ludzie w dole klaskali i gwizdali, napełniając powietrze harmidrem, jakieś dziecko głośno się rozpłakało.

- Boi się - mruknęła Bailey. - To brzmi jak wystrzał albo grzmot.

- Mój ojciec miał setera, który każdego roku na czwartego lipca chował się pod łóżko.
- Cade bawił się palcami Bailey, podczas gdy ona oglądała pokazy. - Trzął się potem godzinami.

- Huk pękających ogni sztucznych jest tak głośny, że można umrzeć ze strachu, jeśli się nie wie, co to jest.

Kiedy znaleźli się na samej górze koła, z nieba posypała się kaskada diamentów. Bailey poczuła, że serce zaczyna jej bić jak oszalałe, a w głowie wzbiera pulsujący ból. Wszystko przez ten hałas i wstrząsy przy wysiadaniu pasażerów z kolejnych wagoników.

- Bailey? - Cade przysunął się bliżej i spojrzał na nią z niepokojem. Drżała, blada na twarzy, a oczy dziwnie jej pociemniały.

- Wszystko w porządku. Trochę mi się zakręciło w głowie.

- Zaraz będziemy wysiadać. Jeszcze tylko kilka wagoników.

~ Nic mi nie jest. - Właśnie w tym momencie w niebo wystrzelił następny snop światła, a ją poraził natłok brutalnych obrazów.

- Wyrzucił ręce do góry - wyszeptala z trudem. Nie widziała już światła ani wielobarwnych diamentów, rozsypanych po niebie. - Wyciągnął je w górę, żeby chwycić nóż. Chciałam krzyknąć, ale nie mogłam. Nie mogłam. Nie mogłam się ruszyć z miejsca. Było ciemno, tylko lampa paliła się na biurku. Był tylko jeden strumień światła. Oni są jak cienie i krzyczą, aleja nie mogę. A potem była błyskawica. Taka jasna. To trwało tylko ułamek sekundy, ale oświetliła cały pokój. A on... o Boże, jego gardło! On poderznął mu gardło!

Ukryła twarz na ramieniu Cade'a.

- Nie chcę na to patrzeć. Nie mogę.

- Nie myśl już o tym. Złap mnie mocno za szyję i oddychaj głęboko. - Wziął ją na ręce i wyniósł z wagonika, a potem ruszył przez trawnik. Bailey drżała, jakby nagle powietrze zrobiło się lodowate. Słyszał jej zdławiony szloch.

- Nic ci się nie może stać, Bailey. Nie jesteś już sama. Przeszedł przez pole, na którym urządzono parking, i klął za każdym razem, kiedy kolejny wystrzał przyprawiał ją o dygot. Kiedy wsadził ją do samochodu, zwinęła się w kłębek na siedzeniu, kiwając jak małe dziecko, a on szybko usiadł za kierownicą.

- Wypłacz się - powiedział, przekręcając kluczyk w stacyjce. - Jeżeli masz ochotę, krzycz. Nie pozwól, żeby to cię zadreńczyło.

Ponieważ nie starał się jej zawstydzić, popłakała trochę, a potem oparła obolałą głowę o oparcie fotela. Tymczasem Cade pędził wąską krętą szosą w kierunku miasta.

- Wciąż widzę klejnoty - powiedziała po długim milczeniu. Głos miała schrypnięty, ale pewny. - Piękne kamienie. Całe masy. Lapis - lazuli i opale, malachity i topazy. Różnych kształtów, szlifowane i surowe. Mogę sobie wybrać, jakie chcę. Wiem, jak się nazywają i jakie to uczucie, kiedy się je trzyma w ręku. Jest tam długi kawałek chalcedonu, gładki w dotyku, w kształcie miecza. Leży na biurku jako przycisk do papierów. I ten śliczny rutilowy kwarc ze srebrnymi nitkami, które wyglądają jak spadające gwiazdy. Widzę je bardzo wyraźnie. Są mi dobrze znane.

- Czujesz się wśród nich bardzo dobrze. Jesteś szczęśliwa.

- Tak, chyba tak. Kiedy o nich myślę, gdy widzę je przed oczami, mam takie miłe uczucie. Kojące. Jest też słoń, ale nie ten.

- Przytuliła się do pluszowego słonia. - Wyrzeźbiony z alabastru, a na grzbiecie ma derkę wysadzaną klejnotami, i ma też jaskrawoniebieskie oczy. Jest taki majestatyczny, a zarazem głupkowaty.

- Urwała na chwilę, próbując przebić się przez ścianę bólu, który rozsadzał jej skronie. - Są też inne kamienie, wszystkie możliwe rodzaje, ale one nie należą do mnie. Mimo to też są kojące. Kiedy o nich myślę, nie czuję strachu. Widzę nawet ten niebieski diament. Jest taki piękny. Istny cud natury. To zdumiewające, że właściwe pierwiastki, właściwe minerały, odpowiednie ciśnienie i odpowiedni czas potrafią tak się połączyć, by stworzyć coś tak absolutnie doskonałego. Oni się o nie kłócą A raczej o ten diament - ciągnęła po krótkiej przerwie. Zacisnęła mocno powieki, próbując przywołać widziane kiedyś obrazy. - Słyszę ich, jestem zła i oburzona. Niemal widzę siebie, jak idę do pokoju, w którym trwa kłótnia. Jestem wściekła, ale zarazem mam satysfakcję. To taka dziwna kombinacja uczuć. A do tego boję się... tylko troszkę. Pewnie zrobiłam coś... ale nie wiem co.

Zacisnęła mocno pięści, usiłując sobie to przypomnieć.

- Postąpiłam pochopnie, impulsywnie, a może nawet nierozsądnie. Idę do drzwi. Są otwarte, a ich głosy odbijają się echem na zewnątrz. Podchodzę do drzwi i czuję, że cała drzę. Ale to nie tylko strach, nie wydaje mi się, żeby to był tylko strach. Jest w tym też trochę złości. Zaciskam w dłoni kamień. Mam go w kieszeni i czuję się lepiej, kiedy trzymam go w ręku. Jest tam też płócienna torba - stoi na stole, przy drzwiach. Jest otwarta i widzę, że są w niej pieniądze. Chwytam torbę, a oni nadal się kłócą.

Kiedy wjechali z przedmieść do centrum, blask światła poraził jej oczy. Znowu zacisnęła powieki.

- Oni nie wiedzą, że ja tam jestem. Są tak zajęci sobą, że nawet mnie nie zauważyli. A potem widzę, że on ma w ręku nóż o lśniącym, zakrzywionym ostrzu. A ten drugi wyciąga

ręce, żeby chwycić za nóż. Biją się o niego, są już poza zasięgiem światła, ale wiem, że się biją. Nagle widzę krew i jeden z cieni się potyka. Za to drugi nadal się porusza. Nie przestaje się poruszać. Nie przestaje. A ja zastygam bez ruchu, ściskając w rękach torbę. I tylko patrzę. Nagle światło gaśnie i zapada kompletna ciemność. A potem błyskawica rozdziera ciemności i natychmiast robi się przeraźliwie jasno. On znowu przesuwa mu nożem po gardle i wtedy mnie widzi. Widzi mnie, a ja uciekam.

- Dobrze już, w porządku. - Ruch był o tej porze morderczy, co chwila trzeba było zatrzymać i uruchamiać samochód Cade nie mógł wziąć Bailey za rękę, przytulić jej i pocieszyć. - Nie szarżuj, Bailey. Porozmawiamy o tym w domu.

- Cade, to ta sama osoba - mruknęła, a z piersi wyrwał jej się na poły szloch, na poły śmiech. - Oni są tacy sami.

Przeklinając zatłoczone ulice, Cade dokonywał karkołomnych sztuczek, żeby wyprzedzić wlokące się przed nim pojazdy.

- Tacy sami jak co?

- Są identyczni. To ta sama osoba. Ale przecież to niemożliwe. Wiem, że to niemożliwe, bo jeden nie żyje, a drugi jest żywy. Boję się, że zwariowałam.

Znowu symbole, a może prawda? - pomyślał Cade.

- Co to znaczy, że oni są tacy sami?

- Mają taką samą twarz.

Bailey wniosła wypchanego słonia do domu, ściskając go w ramionach, jakby to była lina łącząca ją z rzeczywistością. W okolicach skroni czaił się ból, gotów w każdej chwili wybuchnąć z dawną siłą.

- Masz się teraz położyć. Zrobię ci herbatę.

- Nie, ja to zrobię. Czuję się znacznie lepiej, kiedy mam jakieś zajęcie. Jakikolwiek. Przepraszam cię, Cade. To był taki cudowny wieczór. - Kiedy znaleźli się w kuchni, postawiła uśmiechniętego słonia na stole. - Oczywiście do czasu - dodała.

- To był wspólny wieczór. A jeżeli cokolwiek może nam się przydać w ułożeniu wszystkich kawałków w jedną całość, warto się trochę pomęczyć. Wiem, że cię to boli - ujął ją za ręce - i jest mi bardzo przykro, ale musisz przejść przez to wszystko, jeżeli mamy dotrzeć do celu.

- Wiem. - Bailey oswobodziła się z jego uścisku, a potem nastawiła czajnik. - Ja się nie załamie, Cade. Boję się tylko, że nie jestem dość zrównowazona. - Przyłożyła palce do skroni i roześmiała się. - Śmieszne stwierdzenie w ustach osoby, która nawet nie pamięta swojego nazwiska.

- Ale zauważ, że coraz więcej sobie przypominasz, Bailey. I jesteś najbardziej zrównoważoną osobą, jaką kiedykolwiek poznałem.

- Martwię się też o ciebie, Cade, i o twój gust co do kobiet. Ustawiła filiżanki na spodeczkach, koncentrując się na najprostszych czynnościach. Torebki herbaty, łyżeczki, cukiernica.

Ptaszek, który zamieszkał w gałęziach klonu, znowu rozpoczął swój koncert, a jego trele były jak płynne srebro. Pomyślała o kapryfolium oplatającym ażurowe ogrodzenie i nasycającym wieczorne powietrze słodkim aromatem, gdy nocny ptak wabił śpiewem partnerkę.

A także o młodej dziewczynie płaczącej pod wierzbą.

Wzdrygnęła się. Może to jedno ze wspomnień z dzieciństwa - gorzkie, a zarazem słodkie. Miała nadzieję, że te ilustracje z przeszłości zaczną teraz napływać szybciej.

- Wiem, że chciałbyś mi zadać kilka pytań. - Postawiła herbatę na stole, wyprostowała się i spojrzała na Cade'a. - Nie zadajesz mi ich, bo się obawiasz, że mogłabym się załamać. Ale nie bój się o to. Chcę, żebyś mnie o wszystko pytał. Łatwiej mi sobie przypomnieć, kiedy to robisz.

- Najpierw usiądźmy. - Cade podsunął Bailey krzesło i starannie mieszał w filiżance cukier, żeby zyskać na czasie. - Wiemy już, że w tamtym pokoju jest szary dywan, okno, stolik przy drzwiach. Jest też lampa na biurku. Jak wygląda to biurko?

- To biblioteczne biurko z drewna satynowego. Z czasów Jerzego III. - Odstawiła z brzękiem spodek. - O, to dobre pytanie. Nie spodziewałam się, że zapytasz o biurko, więc o nim nie myślałam. Ono po prostu tam było.

- Skoncentruj się na biurku, Bailey. Spróbuj mi je opisać.

- To piękny mebel. Błat ma intarsjowany różanym drewnem i bukszpanem. Z jednej strony znajduje się długa szuflada z fałszywymi panelami. Kiedy się ją otworzy, w środku są półki. Co za sprytne urządzenie. Uchwyty są mosiężne i starannie wypolerowane.

Bailey zapatrzyła się w swoją herbatę.

- Teraz mówię zupełnie jak antykwariusz.

Nie, pomyślał Cade, raczej jak ktoś, kto kocha piękne przedmioty. I kto bardzo dobrze zna to biurko.

- Co jest na tym biurku?

- Lampa. Mosiężna, z zielonym, szklanym kloszem. Włącza się ją, pociągając za staroświecki łańcuszek. Są też papiery, równo poukładane stosy papierów na rogach biurka. Na środku leży oprawna w skórę księga, jest też pojemnik.

- Co?

- Pojemnik, mały papierowy kubek, w którym trzyma się pojedyncze kamienie. Są w nim szmaragdy, trawiaszzielone, różniące się szlifem i liczbą karatów. Jest jubilerska lupa i mała mosiężna waga, a także kryształowa szklanka, z lodem topniejącym w whisky I... nóż...

- Bailey oddychała z wielkim trudem. - Jest tam nóż, z rzeźbioną rękojeścią z kości słoniowej i zakrzywionym ostrzem, stary i bardzo piękny.

- Czy ktoś siedzi przy biurku?

- Nie, fotel jest pusty. - Czuła, że lepiej nie patrzeć na nóż, lecz gdziekolwiek indziej. - Jest z ciemnoszarej skóry. Stoi zwrócony oparciem do okna. Na dworze szaleje burza. Błyskawice, ulewny deszcz. Oni starają się przekrzyczeć grzmoty.

- Gdzie oni są?

- Przed biurkiem. Stoją zwrócenii twarzami do siebie.

Cade odsunął filiżankę i wziął Bailey za rękę.

- Co oni mówią, Bailey?

- Nie wiem. Coś o depozycie.

Weź depozyt i wyjedź Z kraju. To zły interes. Zbyt niebezpieczny. On już - podjął decyzję.

Słyszała wyraźnie ich głosy. Wykrzykiwali gniewne, brutalne słowa.

Podstępny sukinsyn.

Chcesz Z nim gadać, proszę bardzo. Ja w to nie wchodzę.

My obaj. Razem. Nie ma odwrotu.

Ty weź kamienie i załatw to z. nim. Bailey zrobiła się podejrzliwa. Ona nie jest taka głupia, jak myślisz.

Nie wyjdiesz, stąd. z. tymi kamieniami. Nie wystawisz mnie do wiatru.

- On go odpycha. Biją się, popychają, szarpią, kopią. To przerażające, jak bardzo się nienawidzą. Nie rozumiem, jak oni mogą czuć do siebie taką nienawiść, skoro są tak do siebie podobni, że aż identyczni. Są tacy sami.

Nie chciał, żeby raz jeszcze przechodziła przez to, co nastąpiło potem. Postanowił ominąć opis zbrodni i wykonać następny krok.

- Co to znaczy, że oni są tacy sami?

- Mają takie same twarze. Takie same ciemne oczy i ciemne włosy. Wszystko mają takie same. Są jak lustrzane odbicie. Nawet ich głosy mają ten sam timbre. To ten sam człowiek, Cade. Nie wiem, jak to możliwe. Chyba że to się wcale nie zdarzyło. Może ja nie tylko straciłam pamięć, ale i postradałam zmysły?

- Nie, widzisz, jakie to proste, Bailey? Proste i całkiem oczywiste. - Cade ponuro się uśmiechnął, ale oczy mu zalsniły. - Przecież to bliźniaki.

- Bliźniaki? Bracia? - Wszystko w jej wnętrzu protestowało, każda cząsteczka jej jestestwa krzyczała: nie. Mogła tylko potrząsać głową i wciąż powtarzać: „nie, nie, nie”. Nie potrafiła zaakceptować tej prawdy. Nie chciała. - Nie, to nie to. To niemożliwe. - Odsunęła się gwałtownie od stołu. Krzesło zazgrzytało na kamiennej posadzce. - Nie wiem, co widziałam. - Zdecydowana zatrzymać atakujące ją obrazy, chwyciła filiżankę, rozlewając herbatę na stół, a resztę wylała do zlewu. - Było ciemno. Nie pamiętam, co zobaczyłam.

Widocznie nie chce pamiętać, pomyślał Cade. Nie jest jeszcze gotowa. A on nie miał zamiaru bawić się w psychoanalityka, póki Bailey nie dojdzie do siebie.

- Zostawmy to już. Miałaś ciężki dzień. Teraz musisz odpocząć.

- Tak - Jej umysł rozpaczliwie domagał się spokoju, domagał się zapomnienia. Jednak bała się zasnąć, bała się swoich snów. Odwróciła się i przytuliła do Cade'a. - Chodź się ze mną kochać. Nie chcę myśleć. Chcę tylko, żebyś mnie kochał.

- Ależ kocham cię, kocham. - Poszukał ustami jej ust. - I też chcę się z tobą kochać.

Wyprowadził ją z kuchni, przystając co jakiś czas, żeby jej dotknąć albo ją pocałować. U stóp schodów rozpiął Bailey bluzkę, wsunął ręce pod materiał i nakrył dłońmi jej piersi.

Zachłysnęła się, chwyciła go za włosy i przyciągnęła jego głowę ku swojej.

Chciał być łagodny i delikatny. Ale jej usta były dzikie i zdesperowane. Zrozumiał, że tego właśnie potrzebowała. I przestał nad sobą panować.

Zdarł z niej stanik, patrząc, jak jej oczy płoną pożądaniem. A kiedy jego ręce wzięły ją w posiadanie, były natarczywe i szorstkie.

- Jest jeszcze tyle rzeczy, których nie zdążyłem ci pokazać. - Poszukał ustami delikatnego łuku między szyją i ramieniem:, Tyle jest rzeczy, których nie zna, pomyślał ogarnięty dziką żądzą. - Możesz nie być jeszcze na to gotowa.

- To mi je pokaż. - Odchyliła głowę, a puls jej drżał jak u strwożonego ptaka. Jednak ten strach miał w sobie nagłą, wyzwalającą moc. - Chcę cię.

Jednym szarpnięciem zsunął jej spodnie i zawładnął jej kobiecością. Wbiła się paznokciami w jego ramiona, wzbierający w jej gardle jęk przeszedł w krzyk radości i trwogi.

Z chrapliwym oddechem patrzył, jak wlatywała coraz wyżej i wyżej. A wstrząśnięte spojrzenie jej oczu sprawiało mu przewrotną satysfakcję. Była kompletnie bezradna, zdana na jego łaskę - jeśli chciał ją taką mieć.

A bardzo chciał. Szybko wyłuskał ją z ubrań, a jego ręce były zręczne i pewne siebie. Kiedy już stała przed nim naga i drżąca uśmiechnął się. Obwiodł palcami jej sutki i zobaczył, że kurczowo zaciska drżące powieki.

- Należysz do mnie. - Głos miał niski, schrypnięty. - Chcę usłyszeć, jak to powiesz. Teraz należysz już tylko do mnie.

- Tak. - Była gotowa powiedzieć mu, co tylko chciał. Obiecać mu duszę i czego tylko zażąda. To już nie była leniwie płynąca rzeka, tylko istna powódź rozszałanych namiętności, Chciała, by te wzburzone wody uniosły ją ze sobą - Jeszcze - jęknęła.

Więc dał jej jeszcze więcej. Jego usta pospieszyły w dół jej ciała, a potem wpiły się chciwie w źródło jej pragnień.

Drżała i dygotała, aż wreszcie przyszła eksplozja. Feeria kolorów eksplodowała jej w głowie - barwne światła z festynu i klejnoty, gwiazdy i tęcze. Przycisnęła plecy do poręczy i wczepiła się w nią rękami, żeby nie stracić równowagi, a świat wokół niej wirował jak na oszalałej karuzeli.

Potem przyszło uczucie rozkoszy tak potężnej, że aż bolesnej.

Cade chwycił ją w ramiona, a jej słabość napawała go radością. Zostawiwszy ubrania na schodach, chwycił Bailey na ręce i wniósł na górę. Tym razem w moim łóżku, pomyślał ogarnięty dzikim pragnieniem, żeby tam właśnie ją osiąść.

Opadł wraz z nią na łóżko, czując, jak trawi go wewnętrzny żar.

To było cudowne. A zarazem nie do zniesienia. Usta Cade'a i jego ręce niszczyły ją, a zaraz potem pomagały jej się odrodzić. Pot zraszał jej skórę, która stawała się coraz bardziej śliska - a kiedy zrzucił z siebie ubranie, także jego skórę. Ciało Bailey wygięło się w łuk, błagając o więcej i wychodząc naprzeciw jego potężnemu pragnieniu.

Kiedy pociągnął ją do góry, na klęczki, objęła go udami, a potem odchyliła do tyłu, gdy sięgnął ustami do jej piersi. A gdy dotknęła głową materaca, zanurzył się w nią aż po kres.

Z ust Bailey wyrwał się gardłowy jęk - bezrozumny odgłos najwyższej rozkoszy. Czując, jak serce wali mu z całych sił w piersi, przyspieszył. Żadnych myśli, żadnych wątpliwości, nic, tylko rozpalona, oszalała jedność.

Twarz Bailey skąpana była w świetle księżyca, które malowało srebrem jej włosy i odbijało się w wilgotnej skórze. Nawet kiedy mgła przysłoniła mu świat, wciąż miał ten obraz przed oczyma, zamknął go pod powiekami.

Czekał tak długo, aż nabrał pewności, że zasnęła. Przez jakiś czas patrzył tylko na nią, oczarowany jej osobą i tym, co sobie nawzajem ofiarowali. Żadnej kobiecie, której dotykał, i

żadnej kobiecie, która go dotykała, nie udało się nigdy osiągnąć tak głęboko, żeby chwycić go za serce i utrzymać je, oszalałe, w swojej dłoni.

Żądał od niej, aby mu powiedziała, że do niego należy. Ale prawdą było również to, że i on do niej należał. Ten cud sprawił, że poczuł się bardzo pokorny.

Przytulił usta do jej skroni. Kiedy ją opuszczał, leżała na brzuchu, z ręką wyciągniętą w jego stronę. Może zmęczenie sprawi, że będzie miała spokojniejsze sny. Zostawił drzwi otwarte, żeby móc ją usłyszeć, gdyby krzyczała przez sen albo go wołała.

Zaparzył sobie dzbanek kawy i zabrał go ze sobą do biblioteki. W bibliotece uśmiechnął się szyderczo do komputera, a potem go włączył. Zegar w rogu wybił północ, a później następne pół godziny, zanim Cade wreszcie odnalazł swój rytm.

Potrzebował zaledwie dwa razy tyle czasu co wyspecjalizowany haker, żeby na ekranie pojawiły się informacje, o które mu chodziło.

Eksperci od biżuterii. Teren wielkiej metropolii.

Przemknął wzrokiem przez listę, wspomagając się kofeiną, a potem przez dłuższą chwilę nastawiał drukarkę.

Boone i Syn.

Kleigmore - wycena diamentów.

Landis - projektowanie biżuterii artystycznej.

Komputer dostarczył mu informacji bardziej szczegółowej niż książka telefoniczna. Po raz pierwszy w życiu błogosławił technologię. Przeglądał dane, nazwiska, daty - ale wciąż bez skutku.

Salvini.

Salvini. Kiedy zaczął przeglądać tekst, cicho gwizdnął. Eksperci od wyceny i gemmolodzy. Specjalizacja - biżuteria i antyki. Firma została założona w roku 1952 przez nieżyjącego już Charlesa Salviniiego.

Certyfikaty i przyjmowanie w komis. Zastawy. Konsultanci muzeów, a także prywatnych kolekcji. Projektowanie biżuterii na specjalne zamówienie. Naprawy i konserwacja. Wszystkie prace wykonywane w lokalu firmowym.

Jakiś adres z Chevy Chase, pomyślał. Czyli niedaleko. Firma cieszy się dobrą opinią. Właściciele - Thomas i Timothy Salvini. T.S. - bracia.

Bingo!

ROZDZIAŁ 10

Zastanów się, przecież nikt cię nie popędza - uspokoił Cade. Bailey wzięła głęboki oddech i spróbowała być tak opanowana i precyzyjna, jak sobie życzył Cade.

- Wydaje mi się, że jej nos jest trochę bardziej szpiczasty.

Policyjny rysownik okazał się bardzo wyrozumiałą i cierpliwą młodą kobietą, imieniem Sara. Musi być bardzo zdolna, pomyślała Bailey, inaczej Cade wezwałby kogoś innego. Sara siedziała teraz przy stole w kuchni, ze swoim blokiem i ołówkami oraz kubkiem parującej kawy.

- A teraz lepiej? - Kilkoma szybkimi ruchami ołówka poprawiła kontury nosa.

- Tak, tak mi się wydaje. Oczy też są trochę inne. Jej oczy były większe i bardziej skośne.

- O migdałowym kształcie? - Sara wymazała gumką zarys oczu, a potem poprawiła ich wielkość i kształt.

- Chyba tak - westchnęła Bailey. - Trudno mi to sobie dokładnie przypomnieć.

- Wystarczy mi ogólne wrażenie. - Sara uśmiechnęła się zachęcająco. - Od tego zaczniemy.

- Wydaje mi się, że ona miała szerokie usta, delikatniejsze niż reszta twarzy. Poza tym pamiętam tylko zarys kości policzkowych.

- Całkiem niezła twarz - skomentował Cade, kiedy Sara wykonała prowizoryczny szkic. - Interesująca. Seksy.

Podczas gdy Bailey udzielała Sarze dalszych instrukcji, on uważnie przyglądał się powstającemu rysunkowi. Zaokrąglone kości policzkowe, krótko przycięte włosy z długą, postrzępioną grzywką, ciemne, mocno wygięte brwi, przenikliwy wzrok. Egzotyczna i zdecydowana, pomyślał, próbując dopasować osobowość do rysów.

- Tak, to jest bardzo podobne do tego, co pamiętam. - Bailey wzięła szkic z rąk Sary. Dobrze znała tę twarz i teraz, patrząc na nią, miała ochotę zarazem śmiać się i płakać.

MJ. Kim była MJ i co je łączyło?

- Chcesz sobie zrobić małą przerwę? - zapytał Cade, kładąc jej ręce na ramionach, żeby rozmasować napięte mięśnie.

- Nie, chciałabym, żebyśmy dalej nad tym popracowali. Jeśli pani nie ma nic przeciwko temu - zwróciła się do Sary.

- Ach, mogę to robić przez cały dzień. Muszę tylko mieć pod ręką gorącą kawę. - Sara podała Cade'owi pusty kubek z uśmiechem, który jednoznacznie świadczył o tym, że musieli znać się bardzo dobrze.

- Pani... to bardzo ciekawa praca - zaczęła Bailey.

Sara odrzuciła na plecy długi, rudy warkocz. Miała na sobie swobodny, letni strój. Dżinsowe szorty i prosty, biały podkoszulek tworzyły wyjątkowo seksowną kombinację.

- Żyję z tego - powiedziała do Bailey - chociaż komputery powoli wypierają mnie z branży. To zdumiewające, co można zrobić z ich pomocą. Ale wielu policjantów i detektywów nadal woli odręczne rysunki. - Wzięła z rąk Cade'a świeży kubek kawy. - Na przykład Parris jest gotów zrobić prawie wszystko, byle tylko uniknąć komputera.

- No, no, zaczynam się do niego powoli przyuczać. Sara prychnęła.

- Kiedy to nastąpi, będę zarabiała na życie, rysując karykatury w barach. - Wzruszyła ramionami, pokręciła głową, a potem sięgnęła po ołówek. - Chce pani teraz spróbować z tą drugą osobą?

- Tak, oczywiście. - Starając się nie myśleć o tym, jak dobrze znali się Sara i Cade, Bailey zamknęła oczy i usiłowała się skoncentrować.

Grace. Parokrotnie powtórzyła w myślach to imię, z nadzieją, że pociągnie to za sobą kolejne obrazy.

- Miękka - zaczęła. - W jej twarzy jest jakaś miękkość. Jest bardzo piękna, niewiarygodnie piękna. Twarz ma owalną, o klasycznych rysach. Włosy czarne i bardzo długie, opadają na plecy łagodną falą. Przypominają mięsisty, ciemny jedwab. Oczy szeroko rozstawione, o ciężkich powiekach i gęstych rzęsach. Są błękitne. Nos krótki i prosty. Idealny.

- Czuję, że przestaję ją lubić - mruknęła Sara, czym rozśmieszyła Bailey.

- Taka piękność ma niełatwe życie, nie uważa pani? - zapytała Bailey. - Ludzie widzą tylko jej urodę.

- Myślę, że jakoś bym sobie z tym poradziła. Jakie ona ma usta?

- Miękkie. Pełne.

- A niech ją.

- O, tak, właśnie takie. - Bailey poczuła, że krew zaczyna jej żywiej krążyć w żyłach. Sara szybko kończyła szkic. - Brwi są trochę grubsze, a pod lewą brwią ma maleńkie znamię. O, tutaj - wskazała miejsce na swojej twarzy.

- No, teraz to już jej nienawidzę - stwierdziła Sara. - Nie chcę nawet wiedzieć, czy ciało ma równie piękne. Może chociaż ma słoniowe uszy?

- Nie, obawiam się, że nie. - Bailey z sympatią uśmiechnęła się do szkicu i znowu zachciało jej się płakać. - Jest uderzająco piękna.

- Jej twarz wydaje mi się znajoma. Bailey znowu się zaniepokoiła.

- Naprawdę?

- Mogłabym przysiąc, że już ją gdzieś widziałam. - Sara zacisnęła wargi i machinalnie stuknęła ołówkiem w stół. - Może w jakimś piśmie. Wygląda jak jedna z tych modelek, które reklamują kosztowne perfumy albo krem. Jak się ma taką twarz, głupstwem byłoby nie zrobić z niej użytku.

- Modelka. - Bailey przygryzła wargę, próbując sobie przypomnieć. - Nie wiem.

Sara oderwała z bloku zarysowaną kartkę i podała ją Cade'owi.

- Co ty o tym sądzisz?

- Pożeraczka męskich serc - powiedział po chwili. - Pan Bóg musiał być w doskonałym humorze, kiedy ją stwarzał. Niestety, z niczym mi się nie kojarzy, a przecież jest to twarz, której żaden mężczyzna nie zapomni.

Ona ma na imię Grace, powtórzyła w myślach Bailey. I jest więcej niż piękna. To nie tylko twarz.

- Dobra robota, Saro. - Cade położył oba rysunki na stole.

- Masz trochę czasu?

Sara zerknęła na zegarek.

- Mogę wam poświęcić jeszcze pół godziny.

- A ten mężczyzna? - Cade nachylił się i zajrzał Bailey w oczy. - Czy teraz już wiesz, jak wyglądał?

- Janie...

- Wiesz, wiesz - powiedział zdecydowanie i z naciskiem, mimo że jego ręce łagodnie spoczywały na jej ramionach. - To bardzo ważne. Powiedz Sarze, co widzisz.

Wiedziała, że to będzie bardzo bolesne. Mięśnie żołądka już zaczynały jej się kurczyć na samą myśl o tym, że ma przywołać z pamięci wizerunek tego człowieka.

- Nie chcę go więcej widzieć.

- Ale chcesz poznać odpowiedzi. Chcesz, żeby już było po wszystkim. To kolejny krok w przód. Musisz zrobić ten krok.

Zamknęła oczy. Skronie zaczęły jej boleśnie pulsować. Znowu była w tym pokoju z szarym dywanem, a za oknami szalała burza.

- To brunet - powiedziała cicho. - Ma podłużną twarz, ściągniętą gniewem. Jego wąskie, uparte usta są mocno zaciśnięte. Nos ma lekko haczykowaty. Nie jest brzydki. Z jego

twarzy bije jakaś siła. To bardzo charakterystyczna twarz, z głęboko osadzonymi oczami. Ciemnymi. Bardzo ciemnymi.

Gorejącymi z wściekłości. Czai się w nich zbrodnia. Bailey wzdygnęła się, mocno zacisnęła powieki i spróbowała się skoncentrować.

- Zapadnięte policzki i wysokie czoło. Brwi ciemne, proste. Włosy też ma proste i ciemne, starannie przystrzyżone. U góry dłuższe, za to wygolone za uszami. To przystojna twarz, choć trochę psuje ją zarys szczęki, zbyt miękki i znamionujący słabość.

- Czy to on, Bailey? - Cade znowu położył jej rękę na ramieniu, żeby jej dodać otuchy.

Otworzyła oczy i spojrzała na szkic. Nie był dokładny, daleki od ideału. Oczy powinny być szerzej rozstawione, a usta pełniejsze. Ale i tak na widok tej twarzy zdrząła.

- Tak, jest bardzo do niego podobny. ~ Próbując wziąć się w garść, uniosła się powoli z krzesła. - Przepraszam na chwilę - mruknęła, po czym wyszła z pokoju.

- Ta dziewczyna jest przerażona - skomentowała Sara, chowając ołówki do pudełka.

- Wiem.

- Powiesz mi, jakie ma kłopoty?

- Nie jestem tego pewny. - Cade wsunął rękę do kieszeni.

- Wkrótce będę wszystko wiedział. Odwaliłaś kawał dobrej roboty, Saro. Jestem twoim dłużnikiem.

- Przyślę ci rachunek. - Sara pozbierała swoje rzeczy i wstała. Lekko pocałowała Cade'a, patrząc mu uważnie w twarz.

- Nie wydaje mi się, żebyś miał jeszcze kiedyś ochotę zaprosić mnie na kolację.

- Jestem w niej zakochany - powiedział Cade.

- Tak, to widać. - Sara zarzuciła torbę na ramię, a potem musnęła palcami jego policzek. - Będzie mi ciebie brak.

- Przecież będę pod ręką.

- Tak, będziesz pod ręką - przyznała. - Ale tamte dzikie, zwariowane czasy już się dla ciebie skończyły, Parris. Ona mi się podoba. Mam nadzieję, że wam się uda. - Odwróciła się ze smutnym uśmiechem. - Sama trafię do drzwi.

Cade mimo wszystko odprowadził ją do wyjścia, a kiedy zamknął za nią drzwi, miał wrażenie, że rzeczywiście raz na zawsze zakończył pewien etap w swoim życiu. Etap, w którym przychodził i odchodził, kiedy miał na to ochotę i do kogo tylko zechciał. Czasy szalonych nocy w klubach, z miłą perspektywą niezobowiązującego seksu. Czasy, w których nie odpowiadał za nikogo prócz siebie.

Spojrzał w górę. Tam, na piętrze, była Bailey. Odpowiedzialność, stabilizacja, obowiązki. Od tej pory już jedyna kobieta, aż do końca życia. Kobieta w tarapatkach. Kobieta, która miała dopiero powiedzieć mu upragnione słowa i poczynić upragnione obietnice.

Mógł jeszcze odejść, a ona nie żywiłaby do niego najmniejszych pretensji. Szczerze mówiąc, był nawet pewny, że tego się po nim spodziewała. Widocznie ktoś musiał już kiedyś ją porzucić.

Potrząsając głową, ruszył do niej na górę z uczuciem, że niczego nie żałuje.

Bailey była w sypialni. Stała przy oknie, skrzyżowawszy ręce na piersiach.

- Wszystko w porządku?

- Tak, przepraszam. Byłam niegrzeczna dla twojej przyjaciółki. Nawet się z nią nie pożegnałam i nie podziękowałam.

- Sara to zrozumie.

- Dobrze się znacie.

- Tak, od kilku lat.

Bailey zawahała się, nim zapytała:

- Byliście ze sobą?

Cade uniósł brwi i podszedł do Bailey.

- Tak, byliśmy ze sobą. Zanim ciebie poznałem, byłem z innymi kobietami. Z kobietami, które lubiłem, na których mi zależało.

- Wiedziałam - powiedziała z naciskiem, a w jej oczach zapaliły się niepokojące błyski.

- Wiedziałaś. - Cade pokiwał głową.

- To wszystko jest bez sensu. - Bailey przeczesła palcami włosy. - Ty i ja to bez sensu. Jak to się ma do reszty naszego życia? To nie powinno się zdarzyć.

- Ale jednak się zdarzyło. - Wsunął ręce do kieszeni, czując, że same zaciskają mu się w pięść. - Masz zamiar tak stać i mówić mi, że jesteś przygnębiona, bo poznałaś kobietę, z którą kiedyś sypiałem? Bo nie przyszedłem do ciebie w taki sam sposób jak ty do mnie?

- Czysty. - Słowo to wystrzeliło z jej ust jak pocisk. - Nie przyszedłeś do mnie czysty. Masz rodzinę, przyjaciół, kochanki. Swoje życie. A ja nie mam nic prócz fragmentów, które do siebie nie pasują. A poza tym nie obchodzi mnie ani trochę, z iloma kobietami sypiałeś. - Głos jej wzniósł się, a potem przeszedł w syk. - Chodzi mi wyłącznie o to, czy je pamiętasz. Pamiętasz je?

- Mam ci powiedzieć, że mnie nie obchodzą? - . Nagle ogarnęła go złość i panika. Bailey zaczynała się od niego oddalać. - Oczywiście, że mnie kiedyś obchodziły. Nie potrafię wymazać mojej przeszłości - nawet dla ciebie, Bailey.

- Wcale tego nie chcę. - Ukryła na moment twarz w dłoniach. Podjęła już decyzję. Teraz musiała skupić wszystkie siły, żeby przy niej wytrwać. - Przepraszam cię, Cade. Twoje prywatne życie przed tym, nim się poznaliśmy, to nie moja sprawa. Nie mogę mieć do ciebie żadnych pretensji. Chodzi mi tylko o to, że je w ogóle miałeś.

- Przecież ty też miałaś swoje życie.

- Tak - Skinęła głową i pomyślała, że to właśnie tak bardzo ją przerażało. - Dzięki tobie jestem bliska poznania mojej przeszłości. Ale zdaję też sobie sprawę, że od razu powinnam iść na policję. Skomplikowałam sobie życie. I tobie też. Dlatego postanowiłam zrobić to teraz.

- Nie ufasz mi na tyle, żeby mi pozwolić, abym doprowadził tę sprawę do końca?

- Nie o to chodzi...

- Pewno, że nie - przerwał jej ze wzburzeniem. - Wiem, że nie chodzi o żadną policję, tylko o nas. O mnie i o ciebie. Myślisz, że uda ci się stąd tak po prostu wyjść? Uciec od tego, co zrodziło się między nami? - Wyjął ręce z kieszeni i chwycił ją za ręce. - Zastanów się.

- Ktoś nie żyje, a ja jestem w to wplątana - wyjąkała, drżąc. Nie była w stanie patrzeć mu w oczy. - Zrozum mnie, ja nie chcę cię mieszać w te sprawy.

- Teraz już za późno. W chwili gdy stanęłaś w progu mojego biura, było już za późno. Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

- Usta Cade'a zaczęły miażdżyć jej usta, a jego pocałunek miał smak frustracji i furii. Tulił Bailey w ramionach, aż wreszcie poczuł, że słabnie w jego objęciach.

- Nie rób tego - wydyszała, kiedy wziął ją na ręce. Ale i na to również było za późno, bo oto leżała pod nim na łóżku, a wszystkie jej zmysły szalały pod dotykiem jego dłoni.

- Guzik mnie obchodzi, czego nie pamiętasz. - Z pociemniałymi oczyma zdierał z niej ubranie. - Postaram się za to, żebyś dobrze zapamiętała tę chwilę.

Czuła, że traci kontrolę nad sobą, nad czasem i nad miejscem. Cade wprowadził ją w świat doznań niepohamowanych i dzikich, o których dotąd nie miała pojęcia i którym nie potrafiła się oprzeć. Jego usta atakowały jej piersi, śląc rozkosz do najdalszych zakątków jej ciała.

Z ust Bailey wyrwał się krzyk. Ale nie był to okrzyk przerażenia czy protestu, lecz świadectwo szaleńczej, bezrozumnej namiętności. Wpiła paznokcie w plecy Cade'a,

otworzyła mu się kompletnie i bez reszty. W głowie kołatała jej tylko jedna myśl - teraz, teraz, teraz.

Wtargnął w nią, czując, jak konwulsyjnie zaciska się wokół niego, gdy pokonują kolejny próg. To była nieprzytomna, desperacka pasja. To wszystko było nie tak. Ale nie sposób było się temu oprzeć.

Uwięził jej dłonie w swoich i patrzył, jak na jej twarzy malują się kolejne fazy rozkoszy. Drzemiące w nim zwierzę wyzwoliło się wreszcie i zaatakowało ich oboje. Dlatego jego usta brutalnie miażdżyły jej usta a jego ciało - jej ciało, aż wreszcie wykrzyknęła ze szlochaniem jego imię, a jemu oślepiająca mgła do reszty zaćmiła rozum.

Pusty, wypalony, opadł na jej ciało, wstrząsane rytmicznym dreszczem. Z jej gardła wydobywał się jęk. Leżała osłabła, z rękami rozrzuconymi na skłębionej pościeli. Patrząc na nią poczuł dojmujący wstyd.

Nigdy jeszcze nie brał kobiety w tak prymitywny sposób. Nigdy nie stawiał żadnej kobiety w sytuacji kompletnie bez wyboru. Przewrócił się na wznak i wbił wzrok w sufit, przerażony tym, co nagle odkrył w sobie.

- Przepraszam. - Zabrzmiało to wyjątkowo żałośnie i niepotrzebnie. Usiadł i ukrył twarz w dłoniach. - Sprawilem ci ból, Nie ma na to żadnego usprawiedliwienia. - Wstał i wyszedł z pokoju, zostawiając ją samą.

Usiadła, przyciskając dłoń do oszalałego serca. Ciało miała osłabłe i wciąż rozpalone, a głowę pełną rozkosznej mgły, która wcale nie chciała się rozwiać. Jedyne, czego była teraz świadoma, to że została brutalnie wzięta w posiadanie - przez nie znane jej dotąd doznania, przez niewyobrażalne namiętności - i przez Cade'a.

I było jej z tym cudownie.

Cade dał jej dość czasu, żeby mogła ochłonąć, a sam wykorzystał go na przeprowadzenie kolejnych kroków. Trudno mu było skupić myśli, tak był wzburzony. Przedtem był zły, nawet wściekły. Potem zraniony, zawstydzony. Kiedy jednak zobaczył, jak Bailey schodzi na dół, starannie ubrana i uczesana, a zarazem zdenerwowana, znowu załapała go fala pretensji.

- Dobrze się czujesz, Bailey?

- Tak. Cade ja...

- Zrobisz, co zechcesz - przerwał jej zimno. - Podobnie jak ja. Przepraszam, że potraktowałem cię w taki sposób.

Pod Bailey ugięły się nogi.

- Jesteś na mnie zły?

- Na ciebie i na siebie. Tyle że z samym sobą jakoś sobie poradzę. Ale najpierw muszę się uporać z tobą. Podobno chcesz ! odejść?

- Wcale tego nie chcę. - W jej głosie zabrzmiała błagalna nuta. - Natomiast wydaje mi się, że powinnam tak zrobić. Bóg jeden wie, w co cię wplątałam.

- Przecież mnie wynajęłaś.

Westchnęła, zniecierpliwiona. Jak on może być taki ślepy i uparty!

- Cade, to się tylko tak zaczęło.

- Masz rację. To sprawa osobista. Dlatego nie wyjdiesz stąd, powodowana bzdurnym poczuciem winy. Jeżeli masz jakieś inne powody, możesz sobie odejść, ale dopiero wtedy, gdy doprowadzimy tę sprawę do końca. Kocham cię, Bailey. - Słowa te, pełne furii, podkreśliły tylko kryjące się za nimi uczucie. - Jeżeli ani trochę cię nie obchodzi, jeżeli nie chcesz albo nie potrafisz mnie kochać, będę musiał z tym jakoś żyć. Jeśli jednak wyjdiesz w tym momencie, to nie jest żadne rozwiązanie.

- Ja tylko chcę...

- Chcesz iść na policję. - Przerwał na chwilę, a potem wsunął ręce do kieszeni, żeby ich nie wyciągnąć do Bailey. - W porządku, to twoja decyzja. Wynajęłaś mnie, żebym wykonał pewne zadanie, którego jeszcze nie skończyłem. I bez względu na osobiste odczucia twoje czy moje, zamierzam je doprowadzić do końca. A teraz weź torebkę.

Jak miała się zachować? Ten stojący przed nią wyniosły, rozwścieczony mężczyzna był jej bardziej obcy niż tamten, którego zobaczyła w zabałaganionym biurze zaledwie parę dni wcześniej.

- Jesteśmy umówieni w Smithsonian Institute, pamiętasz? - zaczęła.

- Przełożyłem to spotkanie. Najpierw musimy pójść gdzie indziej.

- Gdzie?

- Weź torebkę - powtórzył. - Następny krok należy do mnie.

Przez całą drogę nie odezwał się ani słowem. Bailey rozpoznała kilka budynków, obok których już wcześniej przejeżdżali. Kiedy jednak wyjechali z miasta i znaleźli się w Maryland, zaczęła się denerwować.

- Wolałabym wiedzieć, dokąd jedziemy - odezwała się, czując narastającą panikę. Przerazały ją drzewa rosnące zbyt blisko drogi. Były za duże i za bardzo zielone.

- Wracamy - powiedział Cade. - Czasami trzeba tylko otworzyć drzwi i zobaczyć, co jest po drugiej stronie.

- Mieliśmy porozmawiać z kustoszem w muzeum - upierała się przez ściśnięte gardło. Dałaby wszystko za szklanekę wody.

- Powinniśmy zakręcić i wracać do miasta.

- Wiesz, dokąd jedziemy?

- Nie - zaprzeczyła ostro, kategorycznie. - Nie, nie mam pojęcia.

Zielone oczy Cade'a błysnęły w jej stronę.

- Po nowe fragmenty układanki, Bailey.

Kiedy skręcił z głównej drogi w lewo, usłyszał, jak jej oddech staje się ciężki, urywany. W pierwszym odruchu chciał ją, uspokoić, potem jednak zmienił zdanie. Wiedział już, że Bailey jest silniejsza, niż mu się wydawało. I potrafi przebrnąć przez to wszystko, a on jej w tym pomoże.

Jeśli to miejsce było obserwowane, Bailey znajdzie się na widoku. Musiał wziąć pod uwagę i tę możliwość, ale nie mógł już zrezygnować z zadania, które sobie wyznaczył. W końcu Bailey wynajęła go po to, żeby pomógł jej ułożyć w całość części pewnej układanki. A tutaj znajdował się ostatni brakujący fragment. Był tego pewny.

Przecież Bailey nie mogła dalej żyć w małym, bezpiecznym światku, który dla niej stworzył. Nadszedł czas, by każde z nich. wykonało następny ruch.

Zacisnął zęby i wjechał na parking Salvinich.

- Wiesz, gdzie jesteśmy.

Skóra Bailey pokryła się potem. Niecierpliwym ruchem wytarła mokre dłonie w materiał spodni.

- Nie, nie wiem.

Był to stary, piętrowy budynek z cegły. Miał piękne, wysokie witryny, obramowane dobrze utrzymanymi krzewami azalii, które będą pięknie kwitły na wiosnę. Miejsce to było tak eleganckie, że prawdę mówiąc, Bailey nie powinna wzdygnać się na jego widok.

Na parkingu stał tylko jeden samochód. Ciemnoniebieska limuzyna marki BMW. Chromowane części karoserii lśniły w blasku słońca.

Budynek stał na rogu ulicy, a za nim, po drugiej stronie dużego parkingu, ciągnął się elegancki pasaż handlowy.

- Nie chcę tu być. - Bailey odwróciła wzrok, jakby nie chciała patrzeć na umieszczony na dachu szyld z napisem: SALVINI. - Widzisz, że mają dziś zamknięte - zwróciła się do Cade'a. — Nie ma tu nikogo. Chodźmy stąd.

- Przecież na parkingu stoi jakiś samochód - stwierdził Cade, biorąc ją za rękę. - Co nam szkodzi zobaczyć? To nie boli.

- Nie! - Bailey wyszarpnęła dłoń i mocno wcisnęła się w fotel. - Ja tam nie idę! Nie idę i już!

- Co tam jest, Bailey?

- Nie wiem. - Trwoga. Czysta trwoga. - Nie wejść do środka.

Wolałby raczej uciąć sobie rękę niż zmuszać Bailey, by zrobiła to, co zamierzał. Mając jednak na względzie jej dobro, wysiadł z wozu, obszedł go wokół i otworzył drugie drzwiczki.

- Będę z tobą przez cały czas. Chodźmy.

- Już mówiłam, że tam nie wejść.

- Tchórz - powiedział z pogardą. - Chcesz się ukrywać do końca życia?

Łzy trysnęły jej z oczu.

- Nienawidzę cię! - krzyknęła z furią i jednym szarpnięciem rozpięła pas.

- Wiem - mruknął, ujmując ją mocno za ramię, a potem podprowadził do wejścia.

W środku było ciemno. Przez okna widać było niewiele. Tylko gruby dywan i szklane gabloty, w których połyskiwało złoto i szlachetne kamienie. Był to mały salon recepcyjny, bardzo elegancki, ze ścianami zawieszonymi lustrami i z kilkoma wyściełanymi fotelami, na których klienci mogli zasiąść, aby podziwiać swój zakup.

Bailey, ukryta za plecami Cade'a, drżała jak liść.

- Obejrzyjmy sobie ten dom od tyłu - powiedział.

Tyły budynku wychodziły na małą uliczkę dla personelu i dostawców. Cade obejrzał służbowe wejście, a zwłaszcza zamek w drzwiach, i uznał, że potrafi sobie z nim poradzić. Sięgnął do kieszeni i wyjął skórzany portfel z narzędziami.

- Co ty wyrabiasz? - Bailey aż się cofnęła, kiedy wybrał cienki pręt i zabrał się do pracy. - Chcesz się włamać? Nie wolno ci!

- Myślę, że sobie z tym poradzę. Ćwiczę otwieranie zamków co najmniej przez cztery godziny w tygodniu. Bądź cicho przez chwilę.

Teraz to już tylko sprawa koncentracji, dobrego wyczucia w palcach oraz kilku nerwowych minut. Jeżeli alarm był włączony, uruchomi się w momencie sforsowania pierwszego zamka. Jednak to nie nastąpiło, więc Cade zmienił narzędzie i zabrał się do drugiego zamka.

Może mają tu bezgłośny alarm, pomyślał, nie przerywając pracy. Jeżeli zjawi się policja, będzie się musiał grubo tłumaczyć.

- Chyba postradałeś zmysły. - Bailey cofnęła się o kilka kroków. - Włamujesz się do budynku w biały dzień. Nie możesz tego zrobić, Cade.

- Już to zrobiłem - powiedział z pewną satysfakcją, kiedy otworzył ostatni zatrzask. Szybko pozbierał narzędzia i schował je do kieszeni. - Takie zamki powinny mieć też zabezpieczającą fotokomórkę.

Przeszedł przez drzwi. W przyćmionym świetle dostrzegł skrzynkę alarmową tuż nad drzwiami. Była wyłączona.

Oczyrna duszy widział, jak kolejny fragment układanki wpasowuje się na swoje miejsce.

- Co za nieostrożność - mruknął. Chwycił Bailey za ramię i siłą wciągnął do środka. - Nikt ci nie zrobi krzywdy, kiedy ja tu jestem. Mnie też nic się nie stanie.

- Nie mogę tego zrobić.

- Już to robisz. - Trzymając ją mocno za rękę, zapalił światło.

Pomieszczenie było wąskie, przypominało korytarz, o drewnianej podłodze i nagich, białych ścianach. Pod jedną z nich stała chłodziarka do napojów i mosiężny wieszak. Na jednym z haczyków wisiał damski, szary płaszcz przeciwdeszczowy.

W poprzedni czwartek zapowiadano burzę, pomyślał Cade. Kobieta praktyczna, taka jak Bailey, nie wyszłaby do pracy bez płaszcza przeciwdeszczowego.

- To twój płaszcz, prawda?

- Nie wiem.

- Jest w twoim stylu. Doskonałej jakości, elegancki i drogi.

- Sprawdził kieszenie i znalazł w nich rolkę dropsów, krótką listę zakupów oraz paczkę chusteczek do nosa. - To twoje pismo - powiedział, podając jej karteczkę.

- Nie wiem. - Nawet nie chciała na nią spojrzeć. - Nie pamiętam.

Schował kartkę do kieszeni i poprowadził Bailey do następnego pomieszczenia.

Była to pracownia, mniejsza wersja tej, którą już widział w firmie szwagra. Domyślając się przeznaczenia poszczególnych mebli, uznał, że gdyby miał dość czasu, by otworzyć zamki w szufladach wysokiego, drewnianego sekretarzyka, na pewno znalazłby w nim drogie kamienie. Tę masę klejnotów, którą Bailey widziała we śnie. Kamienie, które dawały jej szczęście, były wyzwaniem dla jej twórczej wyobraźni, koily jej duszę.

Na stole do pracy panowała sterylna czystość i pedantyczny porządek. Wszystkie przedmioty - nawet najcieńsze złote łańcuszki - leżały na swoim miejscu.

Cade miał absolutną pewność, że to warsztat pracy Bailey.

- Ktoś utrzymuje tu piękny porządek - powiedział łagodnym tonem. Dłoń Bailey zrobiła się lodowata. Przed nimi wznosiły się schody. - Zobaczmy, co jest za drzwiami numer dwa.

Tym razem nie zaprotestowała. Była zbyt przerażona, by znaleźć potrzebne słowa. Kiedy fala światła zalała schody, zadrżała. Mimo to Cade pociągnął ją na górę.

Powyżej pierwszego podestu schody były wyłożone ciemnoszarym dywanem. Bailey poczuła mdłości. Korytarz na piętrze był na tyle szeroki, że mogli iść obok siebie, a w odpowiednio wybranych kąciach stały lśniące, antyczne stoliki. W srebrnym wazonie wędły czerwone róże. Ich intensywny zapach przyprawiał ją o zawrót głowy.

Cade uchylił drzwi, a potem szeroko je otworzył. Już na pierwszy rzut oka poznał, że to gabinet Bailey. Wszystko leżało na swoim miejscu. Wypolerowane biurko - ładne damskie biureczko z czasów królowej Anny - lśniło pod cieniutką warstewką kilkudniowego kurzu. Na biurku spoczywał podłużny, mleczny kryształ, zakrzywiony na końcu, jak złamane ostrze szabli. Bailey mówiła, że to chalcedon, przypomniał sobie Cade. A leżący obok gładki, wielokątny kamień to musiał być rutyłowany kwarc.

Na ścianach wisały romantyczne akwarele w cienkich, drewnianych ramkach. Przed sofą obitą różowym materiałem i zarzuconą bladozielonymi poduszkami, ustawiono mały stolik, a na nim szklany wazonik z fiołkami oraz kilka fotografii w srebrnych ramkach.

Cade sięgnął po pierwszą z brzegu. Bailey musiała mieć na niej jakieś dziesięć lat. Trochę łobuziakowata i nie uformowana, ale oczy były niewątpliwie te same. A poza tym, wyrosła na kobietę wyjątkowo podobną do osoby, która siedziała obok niej na zdjęciu.

- Oto twoja przeszłość, Bailey. - Sięgnął po następną fotografię, przedstawiającą trzy roześmiane kobiety, trzymające się pod rękę. - Ty, MJ i Grace. Twój dzień dzisiejszy. - Odstawił ją i wziął następną. Przedstawiała przystojnego, jasnowłosego mężczyznę o ciepłym, krzepiącym uśmiechu.

Czy to jest jej przyszłość?

- On nie żyje. - Słowa wyrwały jej się z piersi, rozdzierając serce. - To mój ojciec. On nie żyje. Samolot rozbił się w Dorset. On nie żyje.

- Tak mi przykro. - Cade odstawił fotografię.

- Nigdy nie wrócił do domu. - Bailey ciężko opierała się o biurko. Nogi pod nią drżały, a serce mocno biło w piersi, kiedy walczyła z natłokiem obrazów bombardujących uporczywie jej mózg. - Wyjechał w interesach i nigdy nie wrócił. Zawsze jedliśmy razem lody na werandzie. To on pokazywał mi wszystkie skarby. Chciałam się wszystkiego nauczyć. Przepiękne, stare przedmioty. Pachniał mydłem sosnowym i pszczelim woskiem. Lubił sam polerować meble.

- Miał antyki - cicho podpowiedział Cade.

- To był spadek. Otrzymał je po swoim ojcu, a potem zapisał wszystko mnie. Sklep. Był pełen pięknych rzeczy. On umarł, zginął w Anglii, tak daleko od domu. Moja matka musiała sprzedać firmę. Musiała ją sprzedać, kiedy...

- Powoli, nie denerwuj się. Wyrzuć to wszystko z siebie.

- Wyszła po raz drugi za męża. Miałam wtedy czternaście lat. Ona była wciąż młoda i czuła się bardzo samotna. Nie potrafiła prowadzić firmy. On tak mówił. Ona tego nie umiała. Powiedział, że sam się wszystkim zajmie, żeby się nie martwiła.

Zająknęła się i umilkła. A potem jej spojrzenie spoczęło na stojącym na biurku alabastrowym słoniu, z wysadzaną klejnotami derką.

- MJ dała mi go na urodziny. Lubię takie śmieszne rzeczy. Zbieram figurki słoni. Czy to nie dziwne? Dałeś mi słonia w wesołym miasteczku, a ja zbieram słonie. - Przesunęła dłonią po oczach, próbując się skoncentrować. - Śmiałyśmy się, kiedy go odpakowałam. Cała nasza trójka. MJ, Grace i ja, zaledwie przed kilkoma tygodniami. Urodziny obchodzę w czerwcu. Dziewiętnastego czerwca. Mam dwadzieścia pięć lat. - Spojrzała na Cade'a. W głowie jej wirowało. - Mam dwadzieścia pięć lat. Nazywam się Bailey James. Bailey Anne James.

Cade ostrożnie posadził ją w fotelu i położył dłoń na jej ręce.

- Miło mi panią poznać, Bailey Anne James.

ROZDZIAŁ 11

Wszystko miesza mi się w głowie. - Bailey przycisnęła palce do oczu, przed którymi przelatywały jej tysięczne wizje, nakładając się na siebie i blednąc, zanim zdążyła je pochwycić.

- Opowiedz mi o swoim ojcu.

- O moim ojcu... On nie żyje.

- Wiem, kochanie. Opowiedz mi o nim.

- On... on kupował i sprzedawał antyki. To była rodzinna firma. Rodzina była wszystkim. Mieszkaliśmy w Connecticut. Firma wywodziła się stamtąd. Tam był też nasz dom. Ojciec... rozwinął interes. Otworzył filię w Nowym Jorku i w Waszyngtonie. Jego ojciec założył firmę, a mój ojciec ją rozbudował. Miał na imię Matthew. - Przycisnęła dłoń do serca, które omal nie wyskoczyło jej z piersi. - To tak, jakbym go znowu traciła. On był dla mnie wszystkim, on i moja matka. Mama nie mogła mieć więcej dzieci. Podejrzewam, że mnie rozpieszczali. Tak bardzo ich kochałam. Na podwórku za domem rosła wierzba. Tam właśnie poszłam, kiedy mama powiedziała mi o katastrofie, w której zginął. Wyszłam wtedy z domu, usiadłam pod wierzbą i próbowałam go przywołać.

- A twoja mama znalazła cię pod drzewem, tak? - zgadł Cade, próbując pomóc jej pokonać ból.

- Tak, wyszła na dwór i obie długo siedziałyśmy pod wierzbą. Słońce dawno już zaszło, a my wciąż tam siedziałyśmy. Bez niego czułyśmy się kompletnie zagubione. Cade. Ona starała się, tak bardzo się starała utrzymać firmę, zajmować się mną i domem. Ale to było ponad jej siły. Nie mogła sobie poradzić. Wtedy poznała ... poznała Charlesa Salviniego.

- To jest jego budynek.

- Był. - Bailey wierzchem dłoni otarła usta. - On był jubilerem, specjalizował się również w nieruchomościach i antykach. Mama zasięgała u niego konsultacji w sprawie części naszego majątku. I tak to się zaczęło. Czuła się samotna, a on był dla niej bardzo dobry. Mnie też bardzo dobrze traktował. Podziwiałam go. Myślę, że on bardzo kochał moją mamę. Nie wiem, czy i ona go kochała, w każdym razie bardzo go potrzebowała. Ja chyba też. Sprzedała resztę antyków i wyszła za niego.

- Czy był dla was dobry?

- O, tak. To był bardzo dobry człowiek. I podobnie jak mój ojciec - kryształowo uczciwy. Uczciwość w interesach, w sprawach osobistych - to było dla niego najważniejsze. Pragnął mojej matki, ale dostał mnie na dodatek i zawsze był dla mnie bardzo dobry.

- Kochałaś go?

- Tak. Łatwo było go kochać, być mu wdzięcznym za to, co robił dla mnie i dla mojej matki. Był bardzo dumny ze swojej firmy. Kiedy się zorientował, że interesują mnie kamienie szlachetne, bardzo mi pomógł. Praktykowałam tutaj, podczas wakacji. Po maturze wysłał mnie do college'u. Kiedy byłam na studiach, zmarła moja matka. Nie było mnie przy niej. Byłam daleko.

- Kochanie. - Cade objął ją i mocno przytulił. - Tak mi przykro.

- To był wypadek. Wszystko stało się tak szybko. Pijany kierowca przejechał środkową linię jezdną i zderzył się czołowo z samochodem matki. I tyle. - Ból znowu był dojmujący i świeży. - Charles kompletnie się załamał. Nigdy już nie doszedł do siebie. Był od niej starszy o piętnaście lat i po jej śmierci stracił zainteresowanie życiem. Odszedł na emeryturę, stał się odludkiem, i w niecały rok potem zmarł.

- A ty zostałaś zupełnie sama?

- Miałam moich braci. - Bailey wzdrygnęła się i chwyciła Cade'a za rękę. - Timothy'ego i Thomasa, synów Charlesa. Moich przyrodnych braci. - Z jej piersi wyrwał się głuchy szloch. - Bliźniaków. - Dłonie zaczęły spazmatycznie ścisnąć rękę Cade'a. - Chcę już stąd iść. Proszę, ja muszę stąd wyjść.

- Opowiedz mi o twoich braciach - powiedział ze spokojem. - Są od ciebie starsi, prawda?

- Chcę już iść. Muszę stąd wyjść.

- Pracowali tutaj - ciągnął Cade. - Przejęli interes po twoim ojczymie. Ty też tu z nimi pracowałaś.

- Tak, oni przejęli firmę, a ja zaczęłam tu pracować po ukończeniu studiów. Jesteśmy rodziną. To moi bracia. Mieli dwadzieścia lat, kiedy ich ojciec ożenił się z moją matką. Mieszkaliśmy w jednym domu. Tworzymy rodzinę.

- Jeden z nich próbował cię zabić.

- Nie, nie. - Znowu zakryła rękami twarz, żeby nie spojrzeć prawdzie w oczy. - To jakaś straszliwa pomyłka. Mówiłam ci, że to moi bracia. Moja rodzina. Razem mieszkaliśmy, razem pracowaliśmy. Nasi rodzice nie żyją. Mamy tylko siebie. Owszem, bywali czasami niecierpliwi albo szorstcy, ale przecież nigdy by mnie nie skrzywdzili. Ani siebie nawzajem. Nie mogliby.

- Są tu jakieś biura? W tym budynku, na tym piętrze? Bailey potrząsnęła głową, ale umknęła spojrzeniem gdzieś w bok.

- Muszę tam zajrzeć. - Cade ujął w dłonie jej twarz i spojrzał w oczy. - Wiesz, że muszę tam zajrzeć. Zostań tu. Nie ruszaj się stąd.

Położyła głowę na oparciu fotela i zamknęła oczy. Zaczeka tu. Nie ma tam nic, co chciałaby zobaczyć, czego chciałaby się dowiedzieć. Znała już swoje nazwisko, odzyskała tożsamość, rodzinę. Czy to nie wystarczy?

Ale obrazy z tamtej nocy, scena po scenie, zaczęły przesuwać się przed jej oczyma, przy wtórze błyskawic. Jęknęła, zdjęta trwogą.

Nie poruszyła się, kiedy Cade wrócił do pokoju. Otworzyła tylko oczy i zobaczyła, że ma to wszystko wypisane na twarzy.

- To Thomas - powiedziała głuchym tonem. - To Thomas leży martwy w swoim biurze na końcu korytarza.

Cade wcale się nie dziwił, że próbowała wymazać z pamięci to, co zobaczyła. Atak był gwałtowny, pełen nienawiści. Już sam widok jego skutków, nawet dla osoby obcej, tak jak on, był przerażający. A Bailey musiała na to patrzeć z odległości kilku kroków, wiedząc, że to jeden z braci morduje okrutnie drugiego. Żeby coś takiego opisać... na to nie było słów...

- Thomas - powtórzyła i zalała się łzami. - Biedny Thomas. Zawsze chciał być we wszystkim najlepszy. I często był. Oni nigdy nie byli dla mnie niedobrzy. Na ogół po prostu nie zwracali na mnie uwagi, pewnie jak to starsi bracia. Wiem, że byli niezadowoleni, gdy Charles zostawił mi część majątku, ale się z tym pogodzili.

Urwała i spojrzała na swoje dłonie.

- Nie da się już nic dla niego zrobić, prawda?

- Nie. Chodź, zabieram cię stąd. - Wziął ją za rękę i pomógł wstać. - Trzeba zawiadomić policję.

- Oni chcieli ukraść Trzy Gwiazdy Mitry. - Bailey nagle poczuła grunt pod nogami. Zrozumiała, że potrafi to wszystko znieść. Dlatego musi teraz wszystko powiedzieć. - Poproszono nas o weryfikację i ekspertyzę trzech diamentów. A raczej mnie, bo to moja specjalność. Często wystawiałam opinie dla Smithsonian Institute. Miały być częścią wystawy klejnotów. Pochodzą z Persji. Są bardzo stare i kiedyś były osadzone w trzech wierzchołkach złotego trójkąta, który statua Mitry trzymała w otwartych dłoniach. - Bailey chrząknęła, a kiedy znowu zaczęła mówić, głos jej brzmiał spokojnie, niemal obojętnie. - To staroperski bóg słońca. Mitra miał zabić boskiego byka, z którego ciała zrodziły się rośliny i zwierzęta.

- Opowiesz mi o tym w samochodzie.

Pociągnął ją do drzwi, ale ona nie chciała ruszyć się z miejsca, póki tego wszystkiego z siebie nie wyrzuci.

- Kult Mitry pojawił się w Rzymie dopiero w 68 roku przed narodzeniem Chrystusa, i bardzo szybko się rozprzestrzenił, głównie w wojsku. Mitraizm przyjmował za zasadę bytu odwieczną walkę dobra ze złem i samodyscyplinę. - Głos jej się załamał. Umilkła na chwilę. - Trzy Gwiazdy uważano za mit, legendę zrodzoną z pojęcia Trójcy, choć niektórzy uczeni głęboko wierzyli w ich istnienie i opisywali je jako symbole miłości, hojności i wiedzy. Uważano, że ten, kto będzie miał wszystkie trzy klejnoty, zdobędzie władzę i nieśmiertelność.

- Chyba w to nie wierzysz.

- Wierzę, że są na tyle potężne, by wzbudzić wielką miłość, wielką nienawiść i wielką chciwość. Odkryłam, co robili moi bracia. Timothy chciał wyprodukować fałszywe kamienie w swoim laboratorium. - Potarła powieki. - Może i udałoby mu się ukryć to przede mną, gdyby był bardziej uporządkowany, bardziej ostrożny. Ale z nich dwóch to on zawsze był tym niecierpliwym i nierozsądnym. - Nagle wszystko sobie przypomniała. Opuściła głowę. - Już kilka razy miał kłopoty. Pobił parę osób. Jest bardzo porywczy.

- A tobie nigdy nie próbował zrobić krzywdy?

- Nie, nigdy. Choć może parę razy sprawił mi przykrość. - Próbowała się uśmiechnąć. - On podejrzewał, że moja matka wyszła za jego ojca tylko po to, żeby sobie i mnie zapewnić opiekę. Myślę, że było w tym żdźbło prawdy. Dlatego tak bardzo mi zależało, żeby się sprawdzić.

- Przecież się tu sprawdziłaś - powiedział Cade.

- Nie, chodziło mi o niego. Timothy nigdy nikogo nie pochwalił. Ale nie był też chamski czy zbyt szorstki. Nigdy nie podejrzewałabym żadnego z nich o nieuczciwość. Stało się to dopiero po tym, jak poproszono nas o ekspertyzę Trzech Gwiazd.

- Takiej pokusie nie potrafili się oprzeć.

- Niestety. Co prawda, nie dałoby się nikogo oszukać na dalszą metę, ale zanim fałszerstwo zostałoby odkryte, moi bracia zdążyliby ulotnić się z pieniędzmi. Nie wiem, kto im płacił, ale jestem pewna, że działali na czyjeś zlecenie.

Przystanąła na schodach i spojrzała w dół.

- On gonił mnie po tych schodach, a ja biegłam. Było zupełnie ciemno. O mały włos nie spadłam ze schodów. Słyszałam, jak mnie goni. I wiedziałam, że mnie zabije. Odkąd skończyłam czternaście lat, wspólnie spędzaliśmy wszystkie święta. A on zabiłby mnie tak samo, jak zabił Thomasa. Dla pieniędzy.

Schodząc na dół, trzymała się kurczowo poręczy.

- Kochałam go, Cade, kochałam ich obu. - U podnóża schodów odwróciła się i wskazała małe drzwi. - Tam jest zejście do piwnicy. Ciasne i ciemne. Tam właśnie pobiegłam. Pod schodami jest mała komórka z ażurowymi drzwiami. Kiedy byłam nastolatką, buszowałam po całym budynku. Wtedy właśnie odkryłam ten schowek i lubiłam w nim przesiadywać, bo panował tam taki spokój. Czytałam książki o drogich kamieniach, które dał mi Charles. Nie wydaje mi się, żeby Timothy wiedział, że tam się schowałam. Bo gdyby wiedział, byłabym teraz martwa.

Wyszli na dwór, na słońce.

- Szczerze mówiąc, nie pamiętam, jak długo siedziałam tam w ciemnościach, czekając, aż mnie znajdzie i zabije. Nie wiem, w jaki sposób dotarłam do hotelu. Część drogi przebyłam chyba na piechotę. Nie jeżdżę samochodem do pracy. Mieszkamy o kilka przecznic stąd.

Chciał jej powiedzieć, że już po wszystkim, ale to nie byłaby prawda. Żeby zdała się na niego i zapomniała o przeżytych horrorze, ale to nie było jeszcze możliwe. Wziął ją za rękę i odwrócił ku sobie.

- Bailey, gdzie są pozostałe dwie gwiazdy?

- One... - Bailey śmiertelnie pobladła, jakby miała zaraz zemdleć. Cade chwycił ją w objęcia.

- O mój Boże, mój Boże, co ja najlepszego zrobiłam, Cade - wyszeptwała, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami. - On wie, gdzie one mieszkają. Zna ich adres.

- Dałaś je MJ i Grace? - Cade szarpnął drzwiczki wozu. Policja będzie musiała zaczekać. - Powiedz mi, dokąd mam jechać.

- Byłam taka zła - powiedziała, kiedy pędzili zatłoczonymi ulicami. - Zdałam sobie sprawę, że posłużyli się mną, moim nazwiskiem, moją wiedzą i reputacją, żeby poświadczyć prawdziwość tych kamieni. Potem zamierzali je ukraść i uciec, zostawiając firmę, którą założył ich ojciec, oraz mnie. Po tym wszystkim, co Charles zrobił, żeby rozbudować interes, firma Salvini byłaby skończona. Uważam, że zasłużył sobie na naszą lojalność. Byłam mu to winna. I - niech mnie diabli - oni też.

- Więc zabrałaś te kamienie.

- To był czysty impuls. Miałam zamiar powiedzieć im, co o tym wszystkim myślę, ale najpierw chciałam zabezpieczyć Gwiazdy. Pomyślałam sobie, że te klejnoty nie powinny być w jednym miejscu. Bo jak długo były, ktoś mógł je zabrać. Dlatego jeden wysłałam do MJ, a drugi do Grace, nocną kurierską pocztą.

- Święty Boże, Bailey, wysłałaś te bezcenne diamenty pocztą?

Bailey zacisnęła powieki.

- Używamy stale pewnych firm kurierskich do przesyłania klejnotów - powiedziała urażonym tonem. Jak już wiedział, potrafiła być dosyć szorstka. - Nie mogłam myśleć o niczym innym poza tym, że Grace i MJ to jedyne dwie osoby na świecie, którym mogę zaufać. Nie zdawałam sobie sprawy, że narażam je na wielkie niebezpieczeństwo. Nie miałam pojęcia, że sprawy zajdą tak daleko. Byłam pewna, że kiedy dojdzie do poważnej rozmowy z braćmi i powiem im, że dla bezpieczeństwa rozdzieliłam diamenty i sama zajmę się dostarczeniem ich do muzeum - to wystarczy.

Mocno chwyciła się drzwiczek, kiedy Cade wziął ostry zakręt.

- To ten budynek. Mieszkamy na trzecim piętrze. MJ i ja zajmujemy mieszkania naprzeciw siebie.

Nim zdążył do końca zahamować, wyskoczyła z wozu i już Spędziła w stronę wejścia. Klnąc, wyrwał kluczyki ze stacyjki pomknął za nią. Dogonił ją na schodach.

- Idź za mną! - powiedział. - To rozkaz.

Zamek i blokada w drzwiach do mieszkania numer 324 były wyłamane. Na środku drzwi naklejono policyjną taśmę.

- MJ! - krzyknęła Bailey. Odepchnęła Cade'a i szarpnęła za klamkę.

- O, jesteś, kochanie. - Korytarzem szła tęga kobieta w różowym szlafroku i futrzanych kapciach. - Już się o ciebie martwiłam.

- Pani Weathers. - Bailey kurczowo zacisnęła palce na - klamce. - Gdzie jest M J... Co się stało z MJ?

- Co tu się działo! - Pani Weathers potrząsnęła sztywno wylakierowanym hełmem utlenionych włosów i obrzuciła Cade'a taksującym wzrokiem. - Czegoś takiego nigdy bym się nie spodziewała w naszej porządnej kamienicy. Świat się kończy, moja droga.

- Gdzie MJ?

- Kiedy ją ostatni raz widziałam, uciekała z jakimś facetem. Biegli po schodach i przeklinali na cały głos. Ale to było już po tej awanturze z wybijaniem szyb i rozbijaniem mebli. Słyszałam nawet jakieś strzały. - Pani Weathers aż zatrzęsła się z podniecenia.

- Strzelanina? Czy MJ została ranna?

- Nie wyglądała mi na ranną. Była wściekła, jeszcze nigdy nie widziałam jej w takim stanie.

- A mój brat? Czy była może z moim bratem?

- Nie, na pewno nie. Tego młodego człowieka widziałam po raz pierwszy. Gdybym go kiedykolwiek spotkała, tobym go zapamiętała, jestem tego pewna. Był wysoki, włosy miał związane w kucyk, spojrzenie ostre i przenikliwe. Miał też dziurkę w brodzie, jak gwiazdor filmowy. Dobrze mu się przyjrzałam, bo o mało co nie zwałił mnie z nóg.

- Kiedy to było, pani Weathers? - wtrącił się Cade. Kobieta utkwiała wzrok w Cade'a i z promiennym uśmiechem wyciągnęła rękę.

- Nie miałam jeszcze przyjemności pana poznać.

- Nazywam się Cade i jestem przyjacielem Bailey. - Cade błysnął zębami w uśmiechu, choć nerwy miał napięte jak struny. - Nie było nas przez parę dni, a chcielibyśmy się zobaczyć z MJ.

- Niestety, nie widziałam jej od soboty - od tej awantury. Uciekała tak, że nawet nie zamknęła za sobą drzwi. To znaczy tak myślałam, póki nie zobaczyłam, że zostały wyłamane. Więc zajrzałam do środka i aż się przeraziłam. Jej mieszkanie to była jedna ruina. Wiem, że ona nie jest taka porządna jak ty, Bailey, ale tam wszystko było przewracane do góry nogami i... - zrobiła dramatyczną pauzę - na podłodze leżał jakiś człowiek! Był nieprzytomny. Wielkie chłopotisko, jak tamten pierwszy. Pobiełam do telefonu i wezwałam policję. Co mogłam innego zrobić? A on pewnie doszedł do siebie i zmył się, zanim przyszła policja. Bóg mi świadkiem, że nie przestąpiłam progu jej mieszkania, póki policjanci nie sprawdzili, że już go tam nie ma.

Cade otoczył Bailey ramieniem. Drżała tak silnie, jakby miała zaraz upaść.

- Pani Weathers - zapytał - może ma pani zapasowy klucz do mieszkania Bailey? Bo ona swój zostawiła u mnie, a chcielibyśmy zabrać kilka rzeczy.

- Ach, to tak. - Pani Weathers uśmiechnęła się chytrze, potrząsnęła tlenioną koafiurą i karcącym tonem zwróciła się do Bailey: - Najwyższy czas wrócić do domu, kochasiu. Jak można tak się włóczyć po nocach? Zaraz zobaczę. Właśnie podlewałam begonie pana Hollistera, więc mam tu wszystkie klucze. O, jest, masz.

- Nie przypominam sobie, żebym dawała pani moje klucze.

- Ależ oczywiście, że mi je dałaś, kochasiu. To było w zeszłym roku, kiedy pojechałaś z dziewczętami do Arizony. Zrobiłam sobie wtedy duplikat, tak na wszelki wypadek. - Mruczając pod nosem, otworzyła mieszkanie Bailey, ale zanim zdążyła wejść do środka, Cade odsunął ją i zastawił sobą drzwi.

- Bardzo pani dziękuję.

- Nie ma za co. Nie mam pojęcia, dokąd poszła ta dziewczyna - powiedziała pani Weathers, wyciągając szyję, żeby zajrzeć do środka. - Mówiłam już policji, że uciekała, jakby sam diabeł ją gonił. Ach, a skoro już o tym mowa, Bailey, widziałam twojego brata.

- Timothy'ego - wyszeptała Bailey.

- Nie mogę tego powiedzieć na pewno. Oni są dla mnie jak dwie krople wody. Wstąpił tu, zaraz, zaraz... to musiało być w sobotę wieczorem. Powiedziałam mu, że cię nie widziałam i że pewnie wyjechałaś na weekend. Był trochę zdenerwowany. Wszedł do twojego mieszkania i zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

- Nie wiedziałam, że i on miał klucz - powiedziała Bailey, a potem przypomniała sobie, że kiedy uciekała, zostawiła w biurze torebkę. Pomyślała, że to byłby kompletny bezsens zmieniać teraz zamki. - Dziękuję pani, pani Weathers. Gdybym się znowu minęła z MJ, będzie pani uprzejma powtórzyć jej, że jej szukałam.

- Ależ oczywiście, kochanie. A jeżeli... - Urwała, urażona, bo Cade mrugnął do niej znacząco, wciągnął Bailey do środka i zatrzasnął drzwi.

Jeden rzut oka wystarczył mu, żeby stwierdzić, że i tu ktoś był przed nimi. Jego schludna Bailey nigdy by nie zostawiła w mieszkaniu rozprutych poduszek i pootwieranych szuflad, których zawartość poniewierała się na podłodze.

Widocznie Salvini nie zadowolili się samym przeszukaniem mieszkania, lecz chciał je również zdemolować.

- Pieprzony wandal - mruknął Cade, gładząc Bailey po plecach.

Bailey bez słowa patrzyła na otaczający ją bałagan. To była ta sama furia. Ten sam dziki brak samokontroli, którego była świadkiem, gdy Timothy chwycił antyczny nóż do otwierania listów i zaczął nim na oślep zadawać bratu śmiertelne ciosy.

To tylko przedmioty, pomyślała. Choćby nawet bardzo cenne i ulubione, ale tylko przedmioty.

A przecież ona na własne oczy widziała, co Timothy jest w stanie zrobić ludziom.

- Muszę natychmiast zadzwonić do Grace. MJ mogła pójść do Grace.

- Czy na podstawie opisu twojej sąsiadki możesz powiedzieć, z kim była MJ?

- Nie. Nie znam nikogo takiego, a przecież znam większość jej przyjaciół. - Przeskakując ponad połamanymi meblami, dotarła do telefonu i sięgnęła po słuchawkę. Światelko automatycznej sekretarki migotało, ale ona nie zwróciła na to uwagi, tylko szybko wystukała numer. - Ma włączoną sekretarkę - mruknęła i z napięciem słuchała, jak gardłowy głos recytuje zapowiedź. A potem zawołała: - Grace, jeżeli tam jesteś, odbierz. To bardzo

ważne. Mam kłopoty. MJ też ma kłopoty. Nie wiem, co się z nią dzieje. Masz iść na policję i dać im paczuszkę, którą ci przesłałam. Zadzwoń do mnie, jak tylko wrócisz.

- Podaj jej mój numer - powiedział Cade.

- Kiedy go nie znam.

Cade sięgnął po telefon, wyrecytował swój numer, a potem zwrócił słuchawkę Bailey.

To było wykalkulowane ryzyko, podawać namiary Bailey, ale diament był w bezpiecznym miejscu, a Cade nie chciał w żaden sposób ograniczać Grace możliwości skontaktowania się z nimi.

- To sprawa życia i śmierci - mówiła dalej Bailey. - Nie zostawaj sama w domu. Idź na policję. I broń Boże nie rozmawiaj z moim bratem ani go nie wpuszczaj do mieszkania. Zadzwoń do mnie, błagam, zadzwoń jak najszybciej.

- Gdzie ona mieszka?

- W Potomacu - powiedziała Bailey, kiedy Cade wziął delikatnie z jej rąk słuchawkę i odłożył na widełki. - Ale może wcale jej tam nie być. Ona ma też domek na wsi, w zachodnim Maryland. To właśnie tam wysłałam diament. Nie ma tam telefonu, i tylko wtajemniczeni wiedzą kiedy ona tam jeździ. Bo na ogół, gdy ma ochotę wyjechać z miasta, wsiada po prostu w samochód i jedzie przed siebie tak długo, aż znajdzie miejsce, które się jej spodoba. W tej chwili może być właściwie wszędzie.

- A jeśli Grace wyjeżdża, jak długo się z nikim nie kontaktuje?

- Nie więcej niż parę dni. W końcu zawsze dzwoni albo do mnie, albo do MJ.

Nagle coś sobie przypomniała, i klnąc rzuciła się do automatycznej sekretarki. Wcisnęła klawisz. Rozległ się głos Grace.

„Bailey, co to ma znaczyć? Czy to cacko jest prawdziwe? Bawisz się w przemytnika? Słuchaj, wiesz, jak nienawidzę tych maszynek. Będziemy w kontakcie”.

- Sobota, godzina czwarta. - Bailey uczepiła się tej myśli.

- Zgodnie z tym, co mówi maszynka, o czwartej w sobotę ona była bezpieczna.

- Nie wiemy, skąd dzwoniła.

- Nie, ale w sobotę wszystko było u niej w porządku. - Bailey znowu włączyła sekretarkę, żeby odsłuchać następną wiadomość. Tym razem rozległ się głos MJ.

„Posłuchaj, Bailey, nie wiem, o co chodzi, ale mamy cholerne kłopoty. Nie zostawaj w mieszkaniu. On może tam wrócić. Dzwonię z budki przed jakąś knajpą koło...” - usłyszeli hałas i głośne przekleństwo - „...łapy przy sobie, ty sukinsynu...”. Rozległ się sygnał przerwanej rozmowy.

- Sobota, druga rano. Co ja narobiłam, Cade? - jęknęła Bailey. Cade bez słowa włączył następny komunikat. Tym razem był to męski głos.

„Słyszysz mnie, ty dziwko? Znajdę cię i odbiorę to, co do mnie należy. On mi pociął twarz. Kazał im, żeby mi poharatali twarz. A wszystko przez ciebie. Teraz ja zrobię ci to samo”.

- To Timothy - szepnęła Bailey.

- Tego sam się domyśliłem.

- On postradał zmysły, Cade. Widziałam to tamtej nocy. Coś go opętało.

Cade nie miał co do tego cienia wątpliwości. Jak mógł mieć po tym, co zobaczył w gabinecie Thomasa Salviniego?

- Czy potrzebujesz stąd jakies rzeczy? - zapytał, a kiedy Bailey rozejrzała się nieprzytomnie wokoło, wziął ją za rękę.

- Później się tym zajmiemy. Chodźmy.

- Ale gdzie?

- W jakieś spokojne miejsce, gdzie będziesz mogła usiąść i o wszystkim mi opowiedzieć. A potem zadzwonimy na policję.

Park był zielony i pełen cienia. Na małych ławeczkach pod drzewami nie czuło się aż tak bardzo upału. Od paru dni nie padało i powietrze było duszne.

- Musisz nad sobą panować, kiedy pójdziemy na policję - powiedział Cade. - Musisz mieć jasny umysł.

- Tak, masz rację. Ale najpierw chciałabym ci wszystko wyjaśnić.

- Mnie samemu udało się jakoś poskładać w całość fragmenty twojej historii. W końcu to moja praca.

- Tak - mruknęła Bailey i spojrzała na swoje dłonie. - To twoja praca.

- Straciłaś ojca, kiedy miałaś dziesięć lat. Twoja matka starała się jak mogła, ale nie miała głowy do interesów. Walczyła o to, żeby utrzymać dom, wychować córkę i prowadzić firmę antykwaryczną. A potem poznała mężczyznę starszego od niej, człowieka sukcesu, kompetentnego, zamożnego i atrakcyjnego, który zakochał się w niej i zgodził się przyjąć do rodziny również jej córkę.

Bailey cicho westchnęła.

- Tak mniej więcej było, mówiąc ogólnie.

- Każde dziecko chce mieć rodzinę, więc zaakceptowałaś ojczyma i przyrodnich braci.

Tak?

- Tak. Tęskniłam za moim ojcem. Charles mi go nie zastąpił, ale zaspokoił moją potrzebę posiadania ojca. A poza tym, był dla mnie bardzo dobry.

- Za to braciszek trochę kręcili nosem, kiedy oprócz macochy dostali na dodatek siostrzyczkę. Ładną, bystrą, miłą siostrzyczkę.

Otworzyła usta, żeby zaprzeczyć, a zaraz je zamknęła. Pora spojrzeć w oczy prawdzie, której nie chciała dostrzec przez tyle lat.

- Tak, chyba tak. Starłam się nie wchodzić im w drogę. Nie chciałam konfliktów. Kiedy nasi rodzice się pobrali, oni byli w college'u, a gdy wrócili i zamieszkali w domu, ja wyjechałam. Nie mogę powiedzieć, że byliśmy sobie bliscy, ale zdawało mi się... miałam zawsze wrażenie, że stanowimy rodzinę. Nigdy mi nie dokuczali, nie traktowali mnie źle i nie dawali mi odczuć, że jestem niemile widziana.

- A czy dawali ci odczuć, że jesteś mile widziana? Bailey potrząsnęła głową.

- Póki żyła moja matka, nie było żadnych spieć. Dopiero gdy Charles zamknął się w sobie i odsunął od wszystkich, oni przejęli firmę. To było zupełnie naturalne. W końcu to była ich firma. Wiedziałam, że zawsze będę miała u nich pracę, ale nigdy nie spodziewałam się procentowego udziału. Kiedy Charles ogłosił, że dostanę dwadzieścia procent, urządzili mu scenę. Każdy z nich dostał po czterdzieści procent, ale uważali, że to za mało.

- Z tobą też się kłócili?

- Trochę - przyznała z westchnieniem. - Byli wściekli. Na ojca, na mnie. Thomas wycofał się dość prędko. Bardziej interesowała go sprzedaż niż projektowanie biżuterii, a wiedział, że to moja działka. W sumie, nie było między nami większych konfliktów. Timothy dłużej był niezadowolony, ale doszedł do wniosku, że szybko się znudzę i znajdę sobie bogatego męża, a wtedy i tak im wszystko zostawię.

Na wspomnienie, jak na nią krzyczał, poczuła dojmujący żal.

- Charles założył dla mnie konto. Będę mogła podjąć pieniądze, które mi zostawił, dopiero gdy skończę trzydzieści lat. Nie jest to jakaś wielka suma, ale wystarczająco przyzwoita. Dostanę więcej, niż naprawdę potrzebuję. Ojczym zafundował mi studia, stworzył mi dom, dał mi pracę, którą kocham. A kiedy wysłał mnie do college'u, dał mi tym samym Grace i MJ. To tam je poznałam. Byłyśmy w jednej grupie na pierwszym semestrze. Potem zamieszkałyśmy we wspólnym pokoju. Miałam wrażenie, że znamy się od zawsze. To najlepsze przyjaciółki, jakie w życiu miałam. O mój Boże, co ja najlepszego zrobiłam?

- Opowiedz mi o nich.

Po chwili Bailey opanowała się, i zaczęła mówić dalej:

- MJ jest bardzo ruchliwa. Zmieniała specjalizacje tak często, jak niektóre kobiety zmieniają fryzury. Zapisywała się na wszelkiego rodzaju tajemnicze kursy. Egzaminę albo oblewała, albo dostawała pierwszą lokatę, w zależności od humoru. Jest wysportowana, niecierpliwa, hojna, wesoła i nieugięta. Na ostatnim roku studiów prowadziła bar w college'u i tak jej się to spodobało, że postanowiła mieć własny. Kupiła sobie mały lokal dwa lata temu. To pub w pobliżu Georgia Avenue, niedaleko metra.

- Nie zauważyłem go.

- To taki mały bar, znany głównie w sąsiedztwie. Przychodzą bywalcy. W weekendy gra irlandzka kapela. MJ na ogół sama pilnuje porządku. Jeżeli jest jakaś awantura i ktoś nie daje się uspokoić albo nie chce wyjść, MJ potrafi go wykopać na ulicę. Ma czarny pas karate.

- Będę musiał uważać, żeby jej nie zdenerwować.

- Zobaczysz, że cię polubi. Potrafi sobie radzić w każdej sytuacji, zawsze to sobie powtarzam. Nikt nie radzi sobie lepiej niż ona.

- A Grace?

- Jest piękna. Widziałeś jej portret. Większość ludzi dostrzega tylko jej urodę i niewiele ponadto. A ona posługuje się swoją urodą, kiedy uzna za stosowne. Nie znosi tego robić, ale jednak robi.

Patrząc na drepczące po ścieżce gołębie, Bailey dała się ponieść fali wspomnień.

- Wcześniej została sierotą, wcześniej nawet niż ja. Wychowywała się u ciotki w Wirginii. Miała się nauczyć dobrych manier i być kimś. W końcu to spadkobierczyni Virginia Fontaine.

- Fontaine? Chodzi o tę sieć domów towarowych?

- Tak, pieniądze, masa starych pieniędzy. A przynajmniej na tyle starych, żeby miały tę co najmniej stuletnią patynę, z której bierze się prestiż. Ponieważ jest piękna, bogata i z dobrej rodziny, spodziewano się po niej, że zdobędzie stosowne wykształcenie, będzie się obracać wśród właściwych ludzi i wyjdzie dobrze za mąż. Ale Grace miała inny pomysł na życie.

- Czy ona przypadkiem nie pozowała do...? - Cade przerwał i chrząknął znacząco.

Bailey uniosła tylko brwi.

- Do rozkładówki „Playboya”? Owszem, kiedy była w colleges. Uniwersytecka Miss Kwietnia. Zrobiła to, nie mrugnawszy nawet okiem, żeby zgorszyć rodzinę. Jak to powiedziała - żeby wyzyskać wyzyskiwaczy. Zarobiła pierwsze duże pieniądze, kiedy miała dwadzieścia jeden lat, więc nie dbała o to, co pomyśli jej rodzina.

- Nigdy nie widziałem tych zdjęć - powiedział Cade, zastanawiając się, czy w tej sytuacji powinien się z tego cieszyć, czy martwić. - Ale słyszałem, że wywołały niezłe zamieszanie.

- Oto jej właśnie chodziło. - Bailey znowu się uśmiechnęła. - Grace lubi robić zamieszanie. Była przez krótki czas modelką, bo ją to bawiło. Ale nie dawało jej satysfakcji. Myślę, że ona wciąż jeszcze nie znalazła swojej pasji. Udziela się w instytucjach charytatywnych, bardzo dużo podróżuje. Nazywa siebie ostatnią z dyletantek, ale to nieprawda. Robi wiele dobrego dla dzieci niepełnosprawnych, ale nie życzy sobie rozgłosu. Ona bardzo współczuje ludziom pokrzywdzonym przez los i jest dla nich niezwykle hojna.

- Właścicielka baru, społeczniczka i gemmolog - co za niewiarygodna trójka.

Bailey uśmiechnęła się.

- To rzeczywiście może tak wyglądać. My... nie chcę, żeby to zabrzmiało dziwnie, ale my poznałyśmy się na sobie od pierwszego wejrzenia. To było takie proste. Zresztą, nie oczekuję, że to zrozumiesz.

- A kto może to lepiej zrozumieć? Przecież ja także poznałem się na tobie od pierwszej chwili.

Bailey spojrzała mu w oczy.

- Wiesz już, kim jestem, ale to niczego nie rozwiązało. Moje życie to jeden wielki chaos. Naraziłam przyjaciółki na straszliwe niebezpieczeństwo i nie wiem, jak im pomóc, jak zatrzymać tę maszynę, którą sama wprawiłam w ruch.

- Robiąc kolejny krok do przodu. - Cade musnął ustami jej dłoń. - Wrócimy teraz do domu, weźmiemy płócienną torbę i skontaktujemy się z moim kumplem z policji. Znajdziemy twoje przyjaciółki, Bailey.

Spojrzał na niebo i na chmury, które właśnie zasłoniły słońce.

- Wygląda na to, że wreszcie spadnie deszcz.

Timothy Salvini potknął kolejny środek przeciwbólowy. Twarz tak bardzo go bolała, że nie był w stanie zebrać myśli. A przecież w tej chwili musiał się głęboko zastanowić, co robić. Człowiek, który nasłał na niego swoich zbirów, przysłał potem swojego osobistego lekarza, żeby mu pozszywał twarz. I dał mu też ostatnią szansę.

Jeżeli do wieczora nie uda mu się odnaleźć Bailey i przynajmniej jednego z trzech diamentów, nie ma czego szukać na tym świecie.

A strach był silniejszy niż ból.

Nie mógł pojąć, jak doszło do tego, że sprawy przybrały tak katastrofalny obrót. Przecież wszystko starannie zaplanował, do najdrobniejszych szczegółów. I wszystkiego

pilnował, nawet kiedy Thomas schował głowę w piasek. To on załatwiał kontakty i prowadził rozmowy. Bo to on był tym mądrzejszym, i wiedział, jak rozegrać partię.

I to jemu udało się przeprowadzić transakcję.

Thomas był z początku zachwycony. Połowa z dziesięciu milionów dolarów całkowicie usatysfakcjonowałaby jego brata, a i jego też.

Takich dochodów nigdy nie udałoby im się uzyskać z firmy, bez względu na to, jak świetnie by prosperowała. To miały być prawdziwe pieniądze. Fortuna, o której mogli dotąd jedynie marzyć.

Potem jednak Thomasa obleciał strach. Zaczekał do ostatniej chwili, kiedy wszystko było dopięte na ostatni guzik, i wtedy postanowił go przechytrzyć. Swojego własnego brata, swoją krew.

Był taki wściekły, kiedy się dowiedział, że Thomas planuje wyjąć milion z konta i wyjechać za granicę, obarczając go wszelkim ryzykiem i odpowiedzialnością za całą operację.

Przeklęty tchórz, pomyślał Timothy. Przestraszył się Bailey i tego, co mogła wiedzieć. Ta mała, pazerna dziwka, zawsze wchodziła mu w paradę. Ale on gotów był ją załatwić - sam by się wszystkim zajął - gdyby tylko ten idiota Thomas nie zaczął mu grozić.

Niestety, ich kłótnia przerodziła się w awanturę. Wszystko wymknęło mu się z rąk. Krzyki, szal wściekłości, burza z piorunami, błyskawice.

A potem nie wiadomo skąd wziął się ten nóż. Może po prostu tam był. I jakim cudem znalazł się w jego ręku. Nim dotarło do niego, co się dzieje, ostrze już ociekało krwią.

Nie był w stanie nad sobą zapanować. Po prostu nie potrafił przestać. Rzeczywiście, na chwilę wpadł w szal. To wszystko przez ten stres, poczucie zdrady, świadomość, że został nikczemnie oszukany przez własnego brata.

Ona też tam była i patrzyła na niego tymi swoimi wielkimi oczyma. Patrzyła na niego w ciemnościach.

Gdyby nie burza i piekielne ciemności, znalazłby ją na pewno i zrobił z nią porządek. Miała szczęście, i tyle. Ta pieprzona dziwka zawsze miała szczęście.

To nie była jego wina, wszystko starannie zaplanował. Nie był niczemu winien. Tymczasem to jego obarczono winą za niepowodzenie i w efekcie to jego życie wisi na włosku, a wszystko przez tchórzostwo brata i spisek kobiety, której nienawidził od lat.

Był pewny, że wysłała gdzieś co najmniej jeden z kamieni. W torebce, którą zostawiła w biurze, znalazł kwit nadania przesyłki kurierskiej. Myślała, biedaczka, że jest taka sprytna.

Zawsze jej się wydawało, że zjadła wszystkie rozumy. Pedantka, lizuska, ósmy cud świata. Tanimi babskimi sztuczkami omotała ich ojca. Zapłacił nawet za studia i był taki dumny z jej nagród i dyplomów. Ale w biznesie nie liczą się nagrody i dyplomy. Liczy się spryt, odwaga, przebiegłość. A Timothy Salvini je ma.

Mógł również mieć pięć milionów dolarów, gdyby jego brat nie stchórzył i nie zaalarmował Bailey. I gdyby nie próbował przechytryć ich klienta.

Klienta, pomyślał z goryczą, dotykając obandażowanej twarzy. Teraz był to raczej jego pan, ale i to się wkrótce zmieni.

Będzie miał pieniądze i diament, odszuka też pozostałe dwa. A wtedy ucieknie na koniec świata, gdzie nikt go nie znajdzie. On, Timothy Salvini, patrzył już diabłu w oczy i miał na tyle rozumu, żeby wiedzieć, że gdy tylko wszystkie trzy diamenty znajdą się w ręku diabła, jego zasługi przestaną się liczyć.

Czyli praktycznie był już martwy.

Chyba że okaże się mądrzejszy.

Spędził całe godziny przed domem Bailey, czekając, aż wróci. I w końcu się doczekał. Była przecież znaną pedantką i wiodła wyjątkowo regularne życie. Wszystko chodziło u niej zawsze jak w zegarku. Tym razem także nie sprawiła mu zawodu.

Kto by się spodziewał, że ktoś tak... zwyczajny może pokrzyżować mu plany? Rozdzielić diamenty i nadać je pocztą w różne strony świata. Nigdy by jej nie podejrzewał o tyle sprytu. Sprawiała mu tym tyle niepotrzebnych kłopotów.

Teraz miał przed sobą jedno zadanie - musi skoncentrować się na Bailey. Tamtymi kobietami zajmie się kto inny. On nie ma na razie na to czasu. Jego cierpliwość już się wyczerpała.

Wszystko okazało się takie proste. Elegancki wóz zajechał przed dom, Bailey wysiadła. A tamten gość popędził za nią i w pośpiechu nawet go nie zamknął. Znalezienie dowodu rejestracyjnego w skrytce na desce rozdzielczej zajęło mu niecałe pół minuty. Wystarczyło odpisać adres.

A teraz włamywał się przez wybite okienko kuchennych drzwi do pustego domu.

Za pasem miał zatknięty nóż, którym już wcześniej zabił brata. To broń cichsza niż rewolwer, a równie skuteczna.

ROZDZIAŁ 12

Mick to dobry policjant - zwrócił się Cade do Bailey, kiedy zatrzymali się na podjeździe. - On cię wysłucha i pomoże nam znaleźć odpowiedzi na dręczące cię pytania.

- Gdybym od razu do nich poszła...

- Nie zaszłabyś dalej, niż nam się udało - przerwał jej Cade.

- A może nawet zostałabyś w tyle. Potrzebowałaś czasu, Bailey, po tym, przez co przeszłaś. - Na samą myśl o tym poczuł, że ściska mu się serce. - Zrób sobie małą przerwę, - Z głębokim poczuciem winy przypomniał sobie, jak bezlitośnie ciągnął ją przez budynek, w którym była świadkiem tak okrutnej zbrodni.

- Przepraszam cię, kochanie, że byłem taki brutalny.

- Gdybyś mnie do tego nie zmusił, pewnie bym stamtąd uciekła. Nie potrafiłabym stawić czoła mojej przeszłości. Jestem ci za to wdzięczna.

- Musiałem zadać ci ból. - Cade otoczył dłońmi jej twarz.

- Gdybym cię nie zmusił do tamtej wyprawy, poleciałabyś prosto do domu, jak gołąb pocztowy, i zadzwoniła do twoich przyjaciółek. A wtedy on by cię znalazł. Znalazłby całą waszą trójkę.

- On by mnie zabił. Nie chciałam pojąć tej prawdy. A może po prostu nie mogłam. Przez ponad dziesięć lat myślałam o nim jako o bracie, a nawet broniłam jego i Thomasa przed Grace i MJ. A on mimo to by mnie zabił. I moje przyjaciółki. Zadrżała. Cade pokiwał głową.

- Najlepsze, co mogłaś zrobić dla całej waszej trójki, to zniknąć na jakiś czas. Tutaj nikt by cię nie szukał. Kto by na to wpadł?

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

- Ja wiem, że mam rację. Następny krok to telefon na policję. Muszą wydać nakaz aresztowania Salviniego. A on jest przerażony i zdesperowany. Znalezienie go nie potrwa długo.

- On powie im, kto go wynajął. - Bailey trochę się uspokoiła. - Nie jest wystarczająco silny, żeby postąpić inaczej. Jeżeli uzna, że uda mu się wytargować coś od policji, nie będzie się wahał. A Grace i MJ...

- Będą bezpieczne. Cieszę się, że je poznam. - Cade nachylił się i otworzył drzwiczki wozu. Nagle zagrzmiało. Bailey wzdrygnęła się, zaniepokojona, a on uściskał jej rękę. - Chodź, pójdziemy do pubu. Strzelimy sobie kilka piw.

- Czy to ma być randka? - Rozradowana tą perspektywą Bailey wysiadła i podała mu rękę. - Kiedy to wszystko się skończy, będziesz mógł mnie bliżej poznać.

- Kochanie, ile razy mam ci powtarzać, że poznałem się na tobie, jak tylko weszłaś do mojego biura? - Wyjął z kieszeni klucze i wsunął jeden z nich w zamek.

Życie ocalił mu ślepy instynkt i wrodzona potrzeba, by wszystkich chronić.

Kątem oka dostrzegł jakiś zamazany ruch. Błyskawicznie zwrócił się w tamtą stronę, odpychając do tyłu Bailey. Gwałtowny ruch jego ciała sprawił, że nóż ześlizgnął mu się po ramieniu, zamiast utkwąć w plecach.

Ból był gwałtowny i palący. Nim zdążył uświadomić sobie, co się dzieje, krew zmoczyła koszulę, spływając aż do nadgarstka. W głowie kołatała mu tylko jedna myśl: Bailey!

- Uciekaj! - krzyknął, czując kolejny cios. - Uciekaj, Bailey!

Ale ona zastygła w bezruchu.

Wszystko stało się tak szybko. Była pewna, że trwało to najwyżej ułamek sekundy. Zobaczyła twarz brata, z opatrunkami na policzkach i krwawą szramą nad lewą brwią.

W jego wzroku znowu czaiła się żądza mordy.

Rzucił się na Cade'a. Cade zrobił unik i chwycił Timothy'ego za przegub uzbrojonej ręki. Zaczęli się mocować, z twarzą tuż przy twarzy, jak kochankowie. W powietrzu unosił się zapach krwi, potu i zbrodni.

Przez krótką chwilę byli jak dwa cienie w mroku holu. Słysząc było ich chrapliwe, przyspieszone oddechy. Na dworze biły pioruny.

Bailey widziała, jak nóż zbliża się do Cade'a, a jego ostrze niemal dotyka jego gardła. A oni mocują się na zakrwawionej podłodze holu, niby w jakimś obscenicznym tańcu.

Jej brat znowu zabije, a ona znowu będzie stać i patrzeć.

Rzuciła się na Timothy'ego.

To był bezmyślny, zwierzęcy odruch. Wskoczyła mu na plecy i zaczęła szarpać za włosy, przeklinając z płaczem. Nagłe uderzenie odrzuciło Cade'a do tyłu. Potknął się, ręka mu się poślizgnęła, a w oczach pociemniało.

Bailey wpiła palce w poranioną twarz Salviniego. Zawył z bólu i zrzucił ją na podłogę. Padając, uderzyła głową o poręcz schodów tak mocno, że gwiazdy stanęły jej przed oczami. Zaraz jednak poderwała się na nogi i zaatakowała go ze zdwojoną furiją.

To Cade odciągnął ją na bok, ostrze śmignęło o milimetry od jej twarzy. A potem siła uderzenia Cade'a rzuciła jego i przeciwnika na stół. Spleceni w śmiertelnym uścisku przewrócili się na podłogę, dysząc jak psy. Cade'owi w głowie kołatała tylko jedna myśl:

musi żyć tak długo, by zdążyć ocalić Bailey. Ale ręce miał śliskie od kiwi i nie mógł mocno chwycić Salviniego.

Z najwyższym wysiłkiem udało mu się wykręcić mu rękę, w której trzymał nóż, odsuwając ostrze od serca, a potem go odepchnął.

Kiedy przetoczył się na wznak, zrozumiał, że jest już po wszystkim.

Bailey czołgała się ku niemu, wołając wśród szlochów jego imię. Zobaczył jej twarz, siniec wykwitający na policzku. Udało mu się unieść rękę i delikatnie go dotknąć.

- Miałaś zostawić czyny bohaterskie mnie. - Jego własny głos zabrzmiał mu w uszach dziwnie odlegle i obco.

- Czy jesteś poważnie ranny? O Boże, jak ty krwawisz. - Zaczęła robić coś z jego ręką, wywołując w niej palący ból, ale to jakby nie miało znaczenia. Odwrócił głowę i spojrzał Salviniemu w twarz. Salvini także patrzył na niego, a choć oczy zachodziły mu już mgłą był przytomny.

Cade kaszlnął i wychrypiał:

- Kto cię wynajął, ty draniu?

Salvini uśmiechnął się leniwie, a w końcu jego uśmiech przerodził się w grymas. Twarz miał całą we krwi.

- Diabeł - wycharczał.

- No to pozdrów go ode mnie w piekle. - Cade znowu usiłował skupić wzrok na Bailey. Brwi miała ściągnięte z wyrazem najwyższej koncentracji.

- Do takiej pracy potrzebne ci okulary, kochanie.

- Leż spokojnie. Muszę powstrzymać krwotok, zanim wezwę pogotowie.

- Przypominam ci, że choć to tylko rana na ciele, szczerze mówiąc, boli jak diabli.

- Przepraszam, przepraszam. - Miała ochotę oprzeć mu głowę na ramieniu i płakać, płakać bez końca. Ale nie mogła sobie na to pozwolić. Grubym tamponem z oberwanego kawałka jego koszuli usiłowała zatamować krwawienie z długiej, głębokiej rany. - Zadzwoń po karetkę, jak tylko opatrzę ci ramię. Wszystko będzie dobrze.

- Wezwij detektywa Micka Marshalla. Koniecznie jego. Powołaj się na mnie.

- Dobrze, dobrze, bądź spokojny.

- Co się tu dzieje, na Boga!? Cade aż się wzdrygnął.

- Błagam cię, powiedz mi, że to halucynacje - mruknął do Bailey. - Tylko mi nie mów, że to moja matka.

- Dobry Boże, Cade, co ty wyprawiasz? Czy to krew? Cade zamknął oczy. Z oddali dobiegł go zdecydowany głos Bailey, nakazujący jego matce wezwać pogotowie. A potem, Bogu dzięki, zemdlął.

Kiedy się ocknął w karetce, Bailey trzymała go za rękę, a deszcz głośnie bębnił o dach. Po raz drugi odzyskał przytomność w izbie przyjęć, kiedy lampy świeciły mu w oczy, a jacyś ludzie głośnie krzyczeli. Ból był jak żarłoczna bestia, która kawałek po kawałku szarpała mu ramię.

- Można tu dostać jakiś narkotyk? - zapytał jak najuprzejmiej, po czym znowu zemdlął.

Kiedy ocknął się po raz kolejny, był w łóżku. Leżał przez chwilę bez ruchu, z zamkniętymi oczami, póki nie sprawdził poziomu bólu i przytomności. Bólowi dał ocenę sześć w dziesięciostopniowej skali, ale tym razem był już w pełni przytomny.

Otworzył oczy i ujrzał Bailey.

- Cześć. Miałem nadzieję, że ciebie pierwszą zobaczę, kiedy się obudzę.

Podniosła się z krzesła i wzięła go za rękę.

- Dwadzieścia sześć szwów, mięśnie nie uszkodzone. Straciłeś masę krwi, ale wpompowali w ciebie jeszcze więcej. - Przysiadła na brzegu łóżka i z ulgą się rozplakała.

Nie uroniła jednej łzy, kiedy Cade leżał na podłodze, a ona usiłowała powstrzymać krwotok. Nie płakała też w karetce, kiedy pędzili przez zalane deszczem ulice, wśród grzmotów i błyskawic.

Ani gdy podczas operacji Cade'a krążyła nerwowo po szpitalnym korytarzu, ani podczas ciężkiej próby, jaką była rozmowa z jego rodzicami. Nawet kiedy próbowała opowiedzieć policji o tym, co się stało.

Ale teraz mogła sobie wreszcie na to pozwolić.

- Przepraszam - szepnęła, kiedy się uspokoiła.

- To był ciężki dzień, prawda?

- Chyba najgorszy w moim życiu.

- Co z Salvinim?

Odwróciła wzrok i spojrzała w stronę okna, zalanego strugami deszczu.

- Nie żyje. Wezwałam policję. Poprosiłam detektywa Marshalla. Jest tutaj. Czeka, aż się obudzisz i lekarze wydadzą mu przepustkę. - Wstała i wygładziła prześcieradła. - Próbowałam mu wszystko opowiedzieć, jakoś to wyjaśnić. Nie wiem, czy mi się udało. W każdym razie porobił notatki i zadał mi masę pytań. On się o ciebie martwi. Cade.

- Doprowadzimy wszystko do korka, zobaczysz, Bailey.

- Cade znowu chwycił ją za rękę. - Wytrzymasz jeszcze trochę?
- Tak długo, jak będzie trzeba.
- Powiedz. Mickowi, żeby mnie stąd zabrał.
- To śmieszne. Jesteś tu na obserwacji.
- Przecież mam tylko szwy na ramieniu, a nie guza na mózgu. Chcę wrócić do domu i pić piwo, a Mick niech mi to jakoś załatwi.

Bailey uśmiechnęła się.

- Twoja matka uprzedzała mnie, że będziesz marudził.
- Ja wcale nie marudzę. Ja... - Cade nagle się poderwał.
- Co to znaczy, moja matka? Chcesz mi powiedzieć, że to nie były halucynacje?
- Nie. Ona przyszła, żeby dać ci szansę na przeprosiny. Podobno nie masz zwyczaju przepraszać.

- Świetnie. Doczekałem się. Widzę, że trzymasz jej stronę.

- Wcale nie trzymam jej strony. - Bailey potrząsnęła głową. Czy to możliwe, że ta rozmowa w ogóle ma miejsce? W takiej sytuacji? - Cade, ona była przerażona, kiedy się o wszystkim dowiedziała i zobaczyła, że jesteś ranny. Razem z twoim ojcem...

- Z moim ojcem? Co on tu robi? Myślałem, że łowi ryby w Montanie.

- Wrócił do domu dziś rano. Oboje są w poczekalni i zamartwiają się o ciebie.

- Bailey, jeżeli żywisz do mnie bodaj odrobinę uczucia, powiedz im, żeby sobie poszli.

- Z pewnością tego nie zrobię, a ty powinienes się wstydzić.

- Będę się wstydził później. Teraz mam dwadzieścia sześć szwów. - Nic z tego nie będzie, pomyślał. Widział to wyraźnie po jej minie. - No, dobrze, ubijmy interes - westchnął.
- Poproś tu moich rodziców, a ja postaram się z nimi jakoś dogadać. A potem chcę się widzieć z lekarzem. Ma mnie stąd wypisać. Z Mickiem będziemy rozmawiać w domu i tam załatwimy resztę spraw.

Bailey skrzyżowała ręce na piersi.

- Twoja matka ostrzegła mnie, że ty zawsze musisz postawić na swoim. - Odwróciła się i wymaszerowała z pokoju.

Kosztowało to masę wdzięczenia się, wiele argumentów i sporo uporów, ale już po trzech godzinach Cade leżał wygodnie rozparty na sofie w swoim pokoju. W ciągu następnych dwóch udało mu się zrelacjonować Mickowi przebieg wydarzeń, jakie miały miejsce.

- Pracowity z ciebie chłopak, Parris - stwierdził Mick.

- Praca detektywa nie polega najedzeniu pączków i picciu kawy, stary.

Mick chrząknął.

- Skoro już mowa o kawie - rzucił Bailey znaczące spojrzenie - sądzę, panno James, że...

- Och. - Bailey natychmiast się poderwała. - Zaraz zaparzę świeżą kawę. - Wzięła pusty dzbanek i wybiegła do kuchni.

- Sprytne posunięcie, Mick, bardzo sprytne.

- Posłuchaj. - Mick nachylił się nad nim. - Porucznik nie będzie zachwycony, kiedy się dowie o dwóch trupach i dwóch zaginionych diamentach.

- Buchanan nigdy nie jest zachwycony.

- On z zasady nie lubi, jak ktoś bawi się w policję, a poza tym, w tej sprawie jest cała masa niejasności. Na przykład dlaczego twoja przyjaciółka czekała aż cztery dni, zanim zgłosiła się na policję?

- Straciła pamięć.

- Powiedziała mi to samo. I ja jej wierzę. Ale czy porucznik...

- Jeżeli Buchanan będzie miał jakieś wątpliwości, przyślij go do mnie. - Cade usiadł, zirytowany, nie zwracając uwagi na pulsujący ból ręki. - Na Boga, Mick, przecież ona widziała, jak jeden z jej braci zabija drugiego, a potem rzuca się na nią. Idź tam i zobacz, na co musiała patrzeć, a potem powiedz mi, co miała zrobić w tej sytuacji.

- Dobrze już, dobrze. - Mick wyciągnął rękę. - A wysłanie diamentów?

- Chciała zapobiec kradzieży. Gdyby tego nie zrobiła, już by ich nie było. Masz jej oświadczenie; a także moje, w tej sprawie. Wiesz doskonale, o co chodzi. Odkąd do mnie przysłała, nie robiła nic innego, tylko usiłowała rozwikłać tę zagadkę.

- Ja też tak to widzę - powiedział Mick po chwili i spojrzał na stojącą przy jego krześle płócienną torbę. - Działaliście w obronie własnej. Salvini wybił szybę w drzwiach kuchennych, wszedł do domu i czekał na wasz powrót.

Mick przecesał palcami kędzierzawą czuprynę. Doskonale zdawał sobie sprawę, że wszystko mogło potoczyć się zupełnie inaczej. Niewiele brakowało, by stracił najlepszego przyjaciela.

- Mówiłem ci, żebyś sobie założył alarm. Cade wzmruszył ramionami.

- Może w końcu to zrobię. Zwłaszcza teraz, kiedy muszę chronić coś bardzo cennego.

Mick spojrzał w stronę drzwi.

- To twoja... dziewczyna?

- O, tak, wyłącznie moja. Posłuchaj, Mick, musimy odnaleźć MJ. O'Leary i Grace Fontaine. I to szybko.

- Musimy?

- Nie zamierzam siedzieć na tyłku. Mick znowu pokiwał głową.

- Wszystko, co wiemy o tej O'Leary, to że w jej mieszkaniu była jakaś karczemna awantura, po której uciekła z jakimś facetem uczesany w kucyk. Wygląda na to, że się zapadła pod ziemię.

- Albo ktoś ją tam przetrzymuje - mruknął Cade, spoglądając nerwowo w stronę drzwi, żeby się upewnić, czy Bailey go nie słyszy. - Mówiłem ci już o rozmowie nagranej na automatyczną sekretarkę.

- Tak. Nie da się namierzyć, skąd dzwoniło, ale założymy u niej podsłuch. A co do Fontaine, wysłałem ludzi, żeby przeszukali jej dom w Potomacu. Szukamy jej też w górach. W ciągu paru godzin powinienem już coś wiedzieć.

Wstał i sięgnął z uśmiechem po torbę.

- Na razie uszczęśliwię tym Buchanana i chętnie zobaczę, jak się będzie wił w Smithsonian Institute. - Roześmiał się na myśl o tym, jak bardzo jego porucznik nienawidzi bawić się w dyplomatę. - Jak myślisz, stary, ile mogą być warte te kamyki?

- Jak na razie, kosztowały już życie co najmniej dwóch osób - powiedziała Bailey, wnosząc tacę z kawą.

Mick głośno chrząknął.

- Przykro mi, że poniosła pani taką stratę, panno James.

- Mnie też. - Pomyślała, że jakoś będzie musiała z tym żyć.

- Nie ma ceny na Trzy Gwiazdy Mitry. Oczywiście jest kwestia ubezpieczenia, i tak dalej, więc Smithsonian Institute zwrócił się do nas z prośbą o ekspertyzę i określenie ceny rynkowej. Jakąkolwiek cenę w dolarach wyznaczyłabym jako gemmolog, to i tak bez znaczenia. Te kamienie symbolizują miłość, wiedzę i hojność. A na to nie ma ceny.

Nie wiedząc, jak się zachować w tej sytuacji, Mick stanął na baczność.

- Tak jest, proszę pani. Bailey blade się uśmiechnęła.

- Bardzo pan miły i wyrozumiały. Jeżeli trzeba, jestem gotowa iść z panem.

- Iść ze mną? A dokąd?

- Jak to: dokąd? Na komisariat. Przecież musi mnie pan aresztować.

Mick podrapał się po głowie. Po raz pierwszy w jego dwudziestoletniej karierze piękna kobieta podała mu kawę, a potem uprzejmie poprosiła, żeby ją aresztował.

- Miałbym kłopoty ze sformułowaniem zarzutów. Chciałbym tylko, żeby pani nie wyjeżdżała z miasta, ale rozumiem, że Cade już o to zadba. Przypuszczam też, że ludzie z muzeum będą chcieli z panią porozmawiać.

- Więc nie pójdę do więzienia?

- O Boże, ale zbladłaś. Usiądź, Bailey. - Cade chwycił ją zdrową ręką i pociągnął na sofę.

- Myślałam, że póki diamenty się nie odnajdą, jestem odpowiedzialna. ..

- Twoi bracia byli za to odpowiedzialni - przerwał jej Cade.

- Muszę się z tym zgodzić - powiedział Mick. - Bardzo pani dziękuję za kawę, panno James. Może będę jeszcze chciał z panią porozmawiać.

- A co z moimi przyjaciółkami?

- Pracujemy nad tym. - Mick zsalutował Cade'owi i wyszedł.

- Timothy nic może im już zrobić krzywdy - powiedziała cicho Bailey. - Ale ten, kto go wynajął...

- Jemu chodzi o diamenty, a nie o twoje przyjaciółki. Wszystko przemawia za tym, że Grace jest w swojej górskiej kryjówce, a MJ spuszcza łanie jakimś facetom.

Bailey blado się uśmiechnęła.

- Masz rację. Wkrótce się odezwą. Jestem tego pewna. Gdyby stało im się coś złego, wiedziałabym o tym. Czuję to. - Nalała kawy do filiżanki, ale jej nie tknęła. - To one są jedyną rodziną, jaką mam, odkąd straciłam rodziców. Oszukiwałam sarną siebie, wmawiając sobie, że jest inaczej.

- Nie jesteś już sama, Bailey. Nie udawaj, że o tym zapomniałaś.

- Powinieneś się położyć, Cade.

- Chodź tu do mnie.

Odwróciła się w samą porę, by dostrzec na jego twarzy łobuzerski uśmiech.

- Musisz teraz dużo odpoczywać.

- Nie jestem zmęczony.

Uśmiech zniknął z twarzy Bailey. Oczy jej pociemniały.

- Uratowałeś mi życie.

Cade przypomniał sobie, jak skoczyła na grzbiet Salviniemu, gryząc go i drapiąc jak wściekła kotka.

- To nie jest takie całkiem oczywiste, kto komu uratował życie.

- Ty uratowałeś mi życie - powtórzyła z naciskiem. - I to już wtedy, gdy pojawiłam się w twoim biurze. Bez ciebie byłabym zgubiona. Dziś zasłoniłeś mnie własnym ciałem, biłeś się o mnie. Ryzykowałeś życie, żeby mnie obronić.

- Zawsze marzyłem, żeby zabić smoka dla pięknej damy. A ty dałaś mi tę szansę.

- Nie było tu rycerza z bajki ani Sama Spade'a. - Bailey głos drżał ze wzruszenia. - Była za to prawdziwa krew tryskająca z twoich ran. Był też mój brat, który zwrócił przeciwko tobie swój nóż.

- I przeciwko tobie też - przypomniał jej Cade. - Nie ponosisz żadnej odpowiedzialności za to, co on zrobił. Jesteś zbyt rozsądna, żeby wierzyć w coś takiego.

- Przynajmniej się staram. - Odwróciła się na chwilę, żeby opanować wzruszenie. - Gdyby wszystko potoczyło się inaczej, gdybyś to ty zginął, kogo mogłabym za to winić? Przecież to ja przyszedłam do ciebie. Z całym moim balastem.

- Taką mam pracę. - Cade wstał i lekko się zachwiał. - Tak zarabiam na życie. Ryzyko jest w to wliczone.

- Nie myślałam o tym w ten sposób. - Bailey znowu się odwróciła i spojrzała na niego. - W moich oczach liczy się przede wszystkim to, co dla mnie zrobiłeś. I nigdy nie będę w stanie odwdzińczyć ci się za to.

Niecierpliwym gestem odrzucił włosy z czoła.

- Zagłaszczesz mnie na śmierć, Bailey.

- Nie. Ale muszę powiedzieć to wszystko, co leży mi na sercu. Od samego początku. Przyjąłeś mnie pod swój dach. Kupiłeś mi szczotkę do włosów. To taki drobiazg, ale ile osób pamiętałoby o czymś takim? Wysłuchałeś mnie i obiecałeś, że mi pomożesz. I dotrzymałeś słowa. A dziś omal nie zginąłeś z tego powodu.

- Chcesz, żebym ci powiedział, że umarłbym dla ciebie?

Chyba tak. Że zabiłbym dla ciebie? Z pewnością. Nie jesteś jakimś wytworem mojej fantazji, Bailey. Dzięki tobie wreszcie znalazłem się na właściwym miejscu.

Bailey poczuła dziwny ucisk w gardle. Znowu był na nią zły. Oczy w jego posiniaczonej twarzy spoglądały na nią ze zniecierpliwieniem. Ramię, zabandażowane od łokcia aż po pachę, musiało mu sprawiać straszliwy ból.

Należał do niej. Co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości.

- Chyba się domyślam dlaczego - powiedziała.

- Nie próbuj kierować się rozumem tam, gdzie rozum nie ma nic do powiedzenia. To nie jest fragment układanki, Bailey. To już gotowa układanka. - Z westchnieniem przeczesał włosy. - Pierwsza gwiazda to miłość, prawda? Czy już wreszcie wszystko rozumiałaś?

Więc to takie proste, pomyślała. Takie cudowne. Zaciskając usta, zrobiła krok w jego stronę.

- Nazywam się Bailey James - zaczęła. - Mam dwadzieścia pięć lat, mieszkam w Waszyngtonie i jestem gemmologiem. Jestem niezamężna. - Musiała przerwać, żeby się

opanować, a potem mówiła dalej: ~ Jestem schludna i pedantyczna. Jedna z moich najbliższych przyjaciółek mówi, że porządek jest moją religią. Obawiam się, że może mieć rację. Lubię, by wszystko było na swoim miejscu. Lubię gotować, ale nieczęsto to robię, bo mieszkam sama. Lubię stare filmy, zwłaszcza kryminały.

Cade patrzył na nią z uśmiechem, ale ona tylko pokręciła głową. Było jeszcze coś więcej ponad to, co powiedziała.

- Niech no się zastanowię - mruknęła, zniecierpliwiona. - Mam słabość do włoskich butów. Wolę nie jeść obiadów przez cały miesiąc niż odmówić sobie ładnych butów. Lubię eleganckie stroje i antyki. Wolę kupić jedną dobrą rzecz niż kilka gorszych. Ta sama przyjaciółka nazywa mnie snobką do kwadratu, i tu też ma rację. Wolę szukać drogocennych kamieni niż jechać do Paryża, choć najchętniej zrobiłabym jedno i drugie.

- Zabiorę cię do Paryża. Bailey znowu potrząsnęła głową.

- Jeszcze nie skończyłam. Mam wady, całą masę wad. Czasami czytam do późna w nocy i zasypiam przy świetle i włączonej telewizji.

- No cóż, jakoś sobie z tym poradzimy.

Zrobił krok w jej stronę, ale ona się cofnęła, unosząc rękę.

- Mrużę oczy i zezuję bez okularów, ale rzadko je noszę, ponieważ jestem próżna. Więc ciągle robię miny. Kiedy byłam w college'u, nie chodziłam na randki, bo byłam nieśmiała, zapracowana i nudna. Nie miałam żadnych doświadczeń seksualnych, aż, dopiero niedawno...

- Naprawdę? Jeżeli wreszcie zamkniesz buzię, zaoferuję ci kolejne doświadczenie seksualne.

- Jeszcze nie skończyłam - powiedziała ostro, jak nauczycielka besztająca niesforne go ucznia. - Jestem dobra w swoim fachu. To ja zaprojektowałam moje pierścionki.

- Zawsze się nimi zachwyciałem. Do twarzy ci z tą powagą, Bailey. Chciałbym cię już dostać w swoje ręce.

- Nie jestem pozbawiona ambicji - ciągnęła, cofając się. - Mam zamiar odnosić sukcesy zawodowe. Chcę też sama zapracować na swoje nazwisko.

- Jeżeli życzysz sobie, żebym cię gonił dookoła sofy, daj mi przynajmniej fory. Przecież wiesz, że mam dwadzieścia sześć szwów.

- Pragnę mieć kogoś, dla kogo będę najważniejsza. Chcę mieć dzieci i urządzać uroczyste kolacje w Święto Dziękczynienia. Chcę, żebyś zrozumiał, dlaczego to dla mnie takie ważne. Bo taka właśnie jestem. Jestem pedantyczna, praktyczna i - niestety - potrafię też być trochę nudna.

- Nigdy w życiu nie spędziłem tak nudnego weekendu - stwierdził sucho Cade. - Ciężko mi było utrzymać otwarte oczy.

Kiedy Bailey chrząknęła, zastąpił jej drogę i wziął ją w objęcia. I zaklął, gdy piekący ból przeszył mu ramię.

- Cade, jeżeli otworzyły ci się szwy...

- Skoro jesteś taka praktyczna, potrafisz mnie z powrotem zszyć. - Z uśmiechem uniósł jej podbródek. - Czy już wreszcie skończyłaś?

- Nie, nie zaznam spokoju, póki MJ i Grace się nie odnajdą, całe i zdrowe, a także póki Trzy Gwiazdy nie trafią do muzeum.

- Zapiszę to sobie, na wypadek gdyby mi wyleciało z pamięci. A teraz, może wzięłabyś mnie na górę? Moglibyśmy się pobawić w doktora.

- Jeszcze jedno - powiedziała, a kiedy Cade wzniosł oczy do góry, dodała: - Bardzo cię kocham.

Cade zamarł. Ogarnęła go fala dziwnej, potężnej słodyczy. Może i nie lśni w jej oczach gwiazdy, pomyślał, ale jest w nich jej serce. I to serce należy do niego.

- Długo trwało, zanim do tego doszłaś.

- Wydawało mi się, że zrobiłam to w samą porę i w stosownym i miejscu.

Cade obdarzył ją długim, delikatnym pocałunkiem.

- Znam pewne lepsze miejsce...

- Kocham cię, Cade - powtórzyła. - Nareszcie mogę zacząć nowe życie.

EPILOG

Jedna gwiazda była na razie poza jego zasięgiem. Wiedział o tym od chwili, gdy zyskał pewność, że przejęła ją policja. Ale nie wpadł w szal i nie przeklinał bogów. Czyż w końcu nie był cywilizowanym człowiekiem? Odesłał tylko tego roztrzęsionego posłańca jednym lodowatym spojrzeniem.

Siedział teraz w swoim skarbcu, wodząc palcem po brzegach złotego pucharu, napełnionego winem. Z głośników płynęła cicha muzyka, przynosząc mu ukojenie.

Uwielbiał Mozarta. Płynnym gestem zaczął łagodnie podkreślać miodowe frazy.

Ta kobieta przysporzyła mu kłopotów. Salvini jej nie doceniał. Twierdził, że jest tylko ozdobą, pupilką jego zmarłego ojca. Oczywiście nie pozbawioną inteligencji i bez wątpienia zdolną, jednak kompletnie wyzutą z odwagi. Mówił, że to taka cicha myszka, która nie widzi świata poza swoimi kamieniami.

Błąd polegał na tym, że zaufał opinii Salviniego na temat Bailey James.

Ale nie popełni już tego błędu po raz drugi. Roześmiał się drwiąco. Nie będzie to konieczne, skoro panna James i jej opiekun sami rozprawili się z Salviniem.

A skoro wyświadczyli mu tę przysługę, nic już nie łączy go z klejnotami i ze śmiercią obu braci. I nic też nie zdoła go odwieść od jego planów - oczywiście z pewnymi poprawkami. Bo on potrafi być elastyczny, jeśli zajdzie potrzeba.

Dwie gwiazdy wciąż były wolne - albo zaginęły, albo właśnie gdzieś wędrowały. Wystarczyło zamknąć oczy, a już je widział. Pulsowały niezwykłym światłem, czekając, żeby je wziął i połączył z trzecią. By przejął ich moc.

Już wkrótce będzie je miał. Jeśli ktoś spróbuje stanąć mu na drodze, zostanie zlikwidowany.

W gruncie rzeczy szkoda, że stało się tak, jak się stało. Nie było potrzeby uciekać się do przemocy. Nie było też potrzeby dopuszczać do rozlewu krwi. Ale skoro już do tego doszło no cóż...

Uśmiechnął się do siebie i pociągnął łyk rozgrzanego, czerwonego wina. Krew za krew, pomyślał.

Trzy kobiety, trzy kamienie, Trzy Gwiazdy. Jakie to poetyczne. ! I co za ironia. A kiedy złoty trójkąt będzie już kompletny, kiedy Trzy Gwiazdy Mitry będą już należały wyłącznie do niego i będzie mógł je dotykać na ołtarzu, wtedy pomyśli o tych kobietach, które próbowały pozbawić go tego, co było mu przeznaczone.

Będzie o nich myślał z sympatią, a nawet podziwem.

Miał też nadzieję że dla każdej z nich uda mu się wymyślić jakąś niezwykle poetycką śmierć.